

1933
rok założenia

EKA
JS
BLIN

KAMENA

KWARTALNIK KRESOWY

NR 3 (928) 1990

CENA 2000 ZŁ

W numerze:

Leszek Piątkowski: „Niemcy w dziejach Rosji” [1]

„Bez kompleksu”. Rozmowa z dr. Mieczysławem Pruszyńskim [5]

Roman A. Tokarczyk: „Anarchizm” [7]

Witold Graboś: „Pędzel mam, to jestem pan” [12]

Henryk Radej: „Weterynarz i muzy” [14]

Anna Achmatowa: wiersze [17]

Okolice sztuki

IJK: „Lin-Art i zmysły” [18]

Tadeusz Chróścielewski: wiersze [19]

Mieczysław Kseniak: „Dzwony archiereja Leontiusza” [20]

Władysław A. Serczyk: „Pokolenia straconych szans” [23]

Jerzy Kowalczyk: „Spotkanie z Aleksandrem” [27]

Aleksander Fedoruk: „Czas przemian” [28]

W przestrzeni

Jerzy Górny: „Dyrekcja” [32]

Felieton kwartalny

IJK „Prasowaczka” [33]

Miodrag Bulatović: „Hodża Merdanović broni swego ojcostwa” [34]

Antoni Giza: „Idea jugosłowiańska” [38]

Slobodan Selenič: „Narodowe paranoje i ekonomiczne szaleństwa” [41]

Notatnik słowiański

Mieczysław Buczyński: „Jugosławia - jedność czy pluralizm” [42]

Felieton obrazkowy [43]

Jerzy Górny: „Jesteśmy małą wyspą” [44]

Opinie [45]

Listy do redakcji [46]

„Rezydencje Smorczewskich” [47]

Rozmaitości Kresowe [48]

Kronika wschodnia [50]

Regionalny słownik biograficzny [52]

OD REDAKTORA: *Podobno jednostka to piasek Historii. Dlaczego więc, kiedy przychodzi „co do czego”, pod ścianę stawia się ludzi a nie Historię?*

NIEMCY W DZIEJACH ROSJI

LESZEK PIĄTKOWSKI

Duża ilość krwi niemieckiej w żyłach władców rosyjskich nie musi jednak o niczym świadczyć. A już najmniej o tym, że nie czuli się Rosjanami. Takiego zarzutu postawić im nie można. Nie stawiano im go też w przeszłości, a jeżeli już to sporadycznie i raczej pod wpływem emocji.

ANARCHIZM

ROMAN A. TOKARCZYK

Podstawową zasadą anarchizmu jest dobrowolność przy tworzeniu wszelkich organizacji wyrażających interesy grupowe, antyetycznym. Według niej najważniejszym miejscem dla jednostki jest spontanicznie, w sposób naturalny powstająca grupa społeczna, zaś właściwym miejscem dla grupy - społeczeństwo bezpaństwowe.

CZAS PRZEMIAN

ALEKSANDER FEDORUK

Jasne jest jedno: że pięć lat temu zmieniły się całkowicie poglądy na rolę i zadania sztuki, że w nowy sposób zaczęto rozumieć tradycje narodowe, że główną uwagę przeniesiono na indywidualnego człowieka, jego problemy i przeżycia, tj. na odkrycie i przedstawienie kameralnych, poetycznych strun duszy ludzkiej.

HODŻA MERDANOVIĆ BRONI SWEGO OJCOSTWA

MIODRAG BULATOVIĆ

General Besta zdumiał się na widok żołnierzy pokrytych kurzem, ale wypoczętych, wyprężonych pod masztami, na których powiewały flaga włoska i czarnogórska, po obu stronach szaletu. Czarne koszule strzegły wejścia. Karabinierzy i piechurzy pilnowali, by tłum, który najwidoczniej ściągnął z bocznych uliczek, nie przerwał trójbarwnych wstęg, jeszcze nie przeciętych.



Lin-Art to praktykowana idea artystyczna Janusza Przybylskiego, patronująca jego malarstwu, grafice i rysunkom od około 1986 roku i wyłożona pod publiczną uwagę także w krótkim tekście, stanowiącym coś w rodzaju lirycznej autobiografii wewnętrznej twórcy, rozwijanej w naturalnym rytmie od dzieciństwa do dojrzałości i dalej. Poszczególnym sekwencjom tego biologicznego rytmu odpowiada, zaznaczona przez autora, zmiana funkcji czegoś, co jest bardzo pospolite, a zarazem nabrzmiałe różnorodną symboliką — właśnie ze względu na użytek, jaki od tysięcy czynią ludzie z owego poręcznego przedmiotu. (O J. Przybylskim piszemy na str. 18).

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Ireneusz J. Kamiński – redaktor
naczelný

Jerzy Górny i Henryk Radej

ADRES REDAKCJI:

22—100 Chełm, ul. Lubelska
57

tel. 509-11

Nr indeksu 362573

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w tekstach przeznaczonych do publikacji. Materiałów nie zamówionych nie zwraca autorom.

Egzemplarze pisma do nabycia w kioskach „Ruch”. Prenumeraty nie prowadzimy.

Wydawca: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej z dotacji Funduszu Rozwoju Kultury

Skład: Spółka „Commet” Lublin. Druk: Spółdzielnia „Kartodruk” w Krasnymstawie

NIEMCY W DZIEJACH ROSJI

LESZEK PIĄTKOWSKI

Problematyka roli odegranej przez Niemców w dziejach Rosji cieszy się wciąż dużym zainteresowaniem społeczeństwa polskiego. Wynika to przede wszystkim z faktu, że chodzi tu o naszych sąsiadów. I to tych, z którymi nasze stosunki układały się często źle, a nawet bardzo źle. Nasze spojrzenie nacechowane jest więc dużą dozą emocji, co oczywiście nie sprzyja obiektywizmowi i prawdzie. Najczęściej prowadzi do wniosku, że w przeszłości zawsze istniała wspólna rosyjsko-niemiecka polityka skierowana przeciwko Polsce i Polakom. I zawsze znajdują się na to argumenty. Jednym z nich ma być rola, jaką politycy niemieckiego pochodzenia odegrali w dziejach imperium rosyjskiego. Wymienia się mnóstwo nazwisk o niemieckim brzmieniu, co wcale nie jest trudne, gdyż Rosjan pochodzenia niemieckiego rzeczywiście nie brakowało. Innym argumentem ma być duża ilość krwi niemieckiej płynąca w żyłach władców rosyjskich. I ta teza opiera się na prawdziwych przesłankach. Kolejnym wreszcie dowodem mają być konkretne posunięcia władców Rosji. I tu przykłady można tylko mnożyć.

Wbrew tym, zda się oczywistym, faktom, wydaje się, że wcale nie są one tak... oczywiste i jednoznaczne. Wnioski wysunięte na ich podstawie też nierzadko bywają tendencyjne, a przynajmniej kontrowersyjne. Spróbujmy omówić kolejno podane argumenty, starając się spojrzeć na nie z pewnego dystansu, bez emocji i uprzedzeń. Ramy niniejszej publikacji zmuszają nas do pewnych ograniczeń i skrótów. Nie wpłyną one jednak, być może, na całość przedstawianego zagadnienia. Wyjaśnić też należy, że problematyka naszych rozważań może być rozpatrywana począwszy od XVIII stulecia. To bowiem dopiero wówczas na terytorium imperium Romanowów pojawiła się większa liczba ludności niemieckiego pochodzenia i wtedy Niemcy zaczęli odgrywać jakąś rolę w polityce rosyjskiej. W tym samym czasie w żyłach władców rosyjskich zaczęła płynąć niemiecka krew. To wreszcie wówczas Rosja, Austria i Prusy zaczęły odgrywać decydującą rolę na arenie międzynarodowej. Rosja zaś w swej polityce zagranicznej zaczęła wchodzić w układy polityczne, nie da się ukryć, że także o antypolskim charakterze.

Wyjaśnijmy na początek sprawę krwi niemieckiej płynącej w żyłach władców rosyjskich. Rzeczywiście, począwszy od początku XVIII w. było jej coraz więcej. Nie dotyczyło to co prawda jeszcze Piotra I, lecz już jego następcy i wnuka, Piotra II. Jego matką była bowiem Zofia Szarlota Brunswick-Wolfenbuttel. Na Piotrze II (zmarł w 1730 r.) wygasła też faktycznie męska linia Romanowów. Jego męski następca na tronie rosyjskim — Piotr III, syn Anny, córki Piotra I oraz Karola Fryderyka ks. Szlezwik-Holsztyn-Gottorp, reprezentował już tylko niewiele krwi tej dynastii. Nie miał zresztą z tego powodu żalu, ani kompleksów. Wprost przeciwnie, nienawidził wszystkiego co rosyjskie, za to wprost balwochwalczo uwielbiał króla Prus, Fryderyka II. Kiedy dodamy, że jego żona, Katarzyna II (Zofia Anhalt-Zerbst), była stuprocentową Niemką, nie trudno stwierdzić, ile krwi rosyjskiej płynęło w żyłach ich potomków. Gdyby jeszcze dać wiarę pogłoskom, iż ojcem syna Katarzyny II — Pawła I, był nie Piotr III, lecz Stanisław August Poniatowski, należałoby przyznać, że nie było jej tam wcale. Za to krew niemiecka nie ulegała rozcieńczeniu, carowie bowiem bardzo chętnie żenili się z Niemkami. Wystarczy zauważyć, że począwszy od Piotra I tylko jeden władca

Rosji, a był nim Aleksander III, nie poślubił kobiety wywodzącej się z Niemiec. one więc były matkami kolejnych carów. I tak np. matką Aleksandra I i Mikołaja I była Zofia Dorota Wirtemberska.

Duża ilość krwi niemieckiej w żyłach władców rosyjskich nie musi jednak o niczym świadczyć. A już najmniej o tym, że nie czuli się Rosjanami. Takiego zarzutu postawić im nie można. Nie stawiano im go też w przeszłości, a jeżeli już, to sporadycznie i raczej pod wpływem emocji (Aleksander Hercen). Nawet stuprocentowej Niemce, którą była Katarzyna II, nie można zarzucić, iż nie prowadziła polityki zgodnej z rosyjską racją stanu. Nie zmienia tej oceny fakt, iż niektórzy carowie żywili dziwną sympatię do wszystkiego co niemieckie, że niektóre ich posunięcia proniemieckie wydają się trudne do zrozumienia. Lubili też otaczać się doradcami i politykami z niemieckim rodowodem.

W ten sposób poruszyliśmy drugie zagadnienie: roli jaką odegrali Niemcy w dziejach politycznych Rosji. Wspomniano już wyżej, że problem ten nabrał znaczenia dopiero w początkach XVIII stulecia. Nie było to przypadkowe. Ważnym momentem okazało się tu zakończenie wojny północnej (1700—1721). Kończący ją pokój w Nystad przyznał Rosji znaczną część Karelii z Wyborgiem, Ingrię, Estonię z wyspami Czylią i Dagö oraz Inflanty z Rygą. Były to ziemie zamieszkałe w dużej mierze przez szlachtę niemieckiego pochodzenia. Tymczasem Piotr I zobowiązywał się do poszanowania praw i przywilejów tych prowincji, w szczególności zaś do zapewnienia całkowitej swobody wyznania protestanckiego. Chodziło więc o interesy tejże szlachty. Była ona stosunkowo liczna, a na dodatek władała niemal całą ziemią w Estonii i Inflantach. Odtąd szlachta niemiecka z obszarów nadbałtyckich (po trzecim rozbiore Polski także z Kurlandii), brała wyjątkowo żywy i aktywny udział w życiu politycznym Rosji. Prawie zawsze też była popierana przez dwór petersburski i dopuszczana do najważniejszych stanowisk cywilnych i wojskowych. Nie tylko zresztą ona. Otóż Katarzyna II prowadząc szeroko zakrojoną akcję kolonizacyjną, chętnie sprowadzała do swego kraju kolonistów niemieckich. Osiedlała ich na Powołżu, zapewniając opiekę prawną, wolność wyznania i ulgi podatkowe. Zważając, iż otrzymywali on bardzo żyzne grunty, należy stwierdzić, iż szybko dochodzili do znacznego dobrobytu. Awansowali więc w hierarchii społecznej, uzyskując łatwy dostęp do dworu carskiego.

Jednym z pierwszych Niemców odgrywających dużą rolę na dworze władców rosyjskich był Andrzej Osterman (właściwie Heinrich Johann). Pochodził z Westfalii. Od 1703 r. pozostawał na służbie rosyjskiej, zajmując się głównie dyplomacją. Był też jednym z wychowawców Piotra II.

Kolejnym Niemcem, który zdobył olbrzymie wpływy był Ernest Biron (właściwie nazwisko Buhren), wielki faworyt carycy Anny (1730—1740). Władczyni ta, obojętna wobec spraw państwowych (może ściślej — rosyjskich), otaczała się niemal wyłącznie Niemcami, ich tylko wpływom ulegała, im głównie rozdawała ziemie i wysokie stanowiska. Nadal więc zaufaniem cieszył się Osterman. Wiele do powiedzenia miał również Burkhard Münnich. Był on m.in. dowódcą wojsk rosyjskich w wojnie z Turcją w latach 1735—1739. Żaden z nich nie dorównał jednak Bironowi. Ten szlachcic niemiecki z Kurlandii zaprowadził w Rosji reżim terroru i grozy. Za jego rządów rozkwitło szpiegostwo i donosicielstwo, ściganie winnych i niewin-

nych, mało która sprawa kończyła się bez tortur, aż nazbyt często wykonywano też egzekucje, lub zsyłano ludzi do najbardziej odległych miejscowości. Wszystko to skończyło się nagle wraz ze śmiercią Anny. Birona aresztowano i skazano na śmierć, po czym nastąpiło złagodzenie wyroku, zamienionego na wieloletnie zesłanie. Pozostała po nim nazwa okresu — „bironowszczyzna”.

Następczyni Anny na tronie rosyjskim — Elżbieta I (1741—1762), też miała słabość do doradców niemieckich. Jej wielkim protegowanym był m.in. Wilhelm Fermor, jeden z dowódców wojskowych w wojnie siedmioletniej.

Za Katarzyny II powrócił do łask Ernest Biron. Sporym zaufaniem cieszył się też Piotr Simon Pallas — znany niemiecki przyrodnik. W 1867 r. caryca zaprosiła go do Petersburga powierzając mu opiekę nad swym wnukiem Aleksandrem.

Bliskimi doradcami Pawła I byli m.in. hr. Piotr Pahlen, Leoncjusz Bennigsen oraz Karol Nesselrode. Pierwszy z nich — ziemianin kurski, skupił w swych rękach kilka ważnych stanowisk. Był m.in. gubernatorem wojskowym Petersburga. Odwdzieczył się swemu władcy w sposób szczególny. Okazał się jednym z głównych inicjatorów zamachu na Pawła I. Nowy władca, Aleksander I, wtajemniczony prawdopodobnie w zamiary spiskowców, musiał oczywiście zachować przynajmniej pozory. Pahlen zachował wprawdzie życie, lecz został pozbawiony wszystkich zajmowanych stanowisk. Powrócił więc do swych dóbr. Żył tam jeszcze 25 lat, lecz nigdy już nie pozwolono mu powrócić do Petersburga.

Jednym ze spiskowców, którzy zamordowali Pawła I był też Leoncjusz Bennigsen. Miał on jednak więcej szczęścia od innych uczestników zamachu. Okazał się jedynym z nich, który nie został przez Aleksandra I odsunięty na dalszy plan. Tylko na krótko opuścił stolicę obejmując stanowisko gubernatora na Litwie. Szybko jednak powrócił do wojska stając się jednym z bardziej znanych dowódców rosyjskich uczestniczących w walkach z Napoleonem. Był głównodowodzącym podczas wojny z Napoleonem w 1807 r., bił się z Muratem pod Tarutino w październiku 1812 r., walczył w Saksonii w roku następnym, otrzymując wtedy od Aleksandra I tytuł hrabiowski.

Największą karierę za panowania Aleksandra I zrobił jednak inny polityk niemieckiego pochodzenia — Karol Nesselrode, w latach 1814—1856 minister spraw zagranicznych Rosji. Nesselrodowie przybyli do Rosji w 1740 r. z Nadrenii. Od razu wystartowali też do wielkiej kariery — już ojciec przyszłego ministra został za Katarzyny II posłem rosyjskim w Lizbonie. Jego syn kierował potem polityką zagraniczną państwa rosyjskiego przez z górą 40 lat. Owoce jego działalności dla Rosji są różnie oceniane przez historyków. Zadowoleni z nich byli natomiast Aleksander I i Mikołaj I. A w tym okresie tylko to się liczyło.

Jeszcze większe wpływy za Mikołaja I uzyskał Aleksander Benckendorff. Niemal przez dwadzieścia lat pozostawał drugą osobą w państwie po carze. Pochodził z Estonii, ze starej niemieckiej rodziny. Ojciec był generałem, matka przyjechała z Wirtembergii jako dama dworu małżonki późniejszego cara Pawła. Mając 15 lat znalazł się Benckendorff w Siemionowskim pułku gwardyjskim, gdzie przechodził różne stopnie i używany był do różnych poleceń w związku z czym wiele jeździł także za granicę. Brał udział w wielu kampaniach wojennych — w Gruzji, a także w wojnach z Napoleonem i Turcją. Odznaczał się nieprzeciętną odwagą, dlatego szybko dosłużył się stopnia generała. Posiadał też liczne odznaczenia rosyjskie, angielskie, pruskie i szwedzkie. Uczestniczył też w tłumieniu powstania dekabrystów, a także w komisji przesłuchującej jego uczestników. Wszystkie te zasługi spowodowały powierzenie mu kierownictwa osławionego III Oddziału oraz Korpusu Żandarmerii. Jako szef żandarmów oraz naczelnik III Oddziału stał się ostoją reakcyjnego systemu Mikołaja I. Ten ostatni miał nawet powiedzieć: „mniej można w Rosji zastąpić — Benckendorffa nigdy”. To wszystko dowodzi tego jaką pozycję zajmował.

Nie brakowało Niemców również w otoczeniu Aleksandra II (1855—1881). Zetknął się z nimi bardzo wcześnie. Należeli bowiem

do jego wychowawców. Jednym z nich był minister finansów w latach 1823—1840 Jerzy Kankrin (właściwie Georg Cancrin). Wtajemniczał on młodego następcę tronu, jakże by inaczej, w sprawy finansowe. Inny wychowawca niemieckiego pochodzenia — Ernest Brünnow, długletni doradca Nesselrodego, wtajemniczał z kolei Aleksandra w tajniki dyplomacji. Zasluguje on na uwagę także ze względu na bardzo interesujący dokument, jaki w 1838 r. opracował dla swego wychowanka. Był to specjalny zarys najważniejszych posunięć w dziejach rosyjskiej polityki zagranicznej. Dla nas Polaków, interesującym jest fakt, iż w dokumencie tym Brünnow bardzo negatywnie ocenił zaborczą politykę Katarzyny II i jej nieustanne zabiegi o nowe nabytki terytorialne.

Polityków niemieckiego pochodzenia dostrzegamy także u boku ostatnich Romanowów — Aleksandra III (1881—1894) oraz Mikołaja II (1894—1918). Nie było ich już jednak zbyt wielu. Żaden też nie odgrywał roli na miarę Birona czy Benckendorffa. Wyjątkiem może być Borys Stürmer — premier, minister spraw zagranicznych oraz minister spraw wewnętrznych w 1916 r., ale jego kariera trwała zaledwie kilka miesięcy.

Wymienieni wyżej Rosjanie niemieckiego pochodzenia nie wyczerpują pełnej listy. To tylko elita, ci, którzy osiągnęli najwyższe zaszczyty i godności. W rzeczywistości było ich znacznie więcej — szczególnie wielu wśród dyptomatów. Wspomniano już o Nesselrodach (ojcu i synu). Należałoby wymienić jeszcze barona Andrzeja Budberga, który w roku 1806 zastąpił księcia Adama Czartoryskiego na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Był nim zresztą krótko, gdyż odszedł już w 1807 r., wkrótce po podpisaniu pokoju w Tyłży. Ministrem spraw zagranicznych Rosji pozostawał też w latach 1882—1895 Mikołaj Giers. Znany był jako gorący zwolennik utrzymywania dobrych stosunków z Niemcami. Dlatego też jeszcze w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, a więc gdy Rosja związała się już z Francją, on jeszcze holubił myśl o restytucji przyjaznych stosunków z Niemcami. Stanowisko ministra spraw zagranicznych piastowali ponadto: Włodzimierz Lamsdorf (1900—1906) oraz Borys Stürmer (1916). Ten ostatni pełnił w tym samym roku także funkcję premiera oraz ministra spraw wewnętrznych.

Z dyplomacją związani byli również: Gustaw Stackelberg — reprezentował m.in. Rosję na kongresie wiedeńskim w 1815 r., oraz wspomniany już Ernest Brünnow.

Stanowiska ministerialne pełniło też wielu innych Niemców z pochodzenia. I tak ministerstwem dworu carskiego łącznie przez pięćdziesiąt lat kierowali baronowie: Włodzimierz (do r. 1829 Edward) Adlerberg (1852—1870), jego syn Aleksander (1870—1881) oraz Włodzimierz (Waldemar) Fredericks (1897—1917). Ministerstwem komunikacji (do 1865 r. nosiło nazwę Głównego Urzędu) kierowali m.in. Piotr Kleinmiche (1842—1855) — jeden z faworytów Mikołaja I, oraz w latach 1906—1909 dostojnik o poczwornym wprost nazwisku — Mikołaj Schaffhausen-Schönberg-Eck-Schaufluss. Należy wreszcie wspomnieć o baronie Baltazarze Kampenhausenie, który w roku 1823 został ministrem spraw wewnętrznych.

Całą plejadę Niemców spotkamy również wśród kadry wojskowej. Wymieniono już Wilhelma Fermora oraz Leoncjusza Bennigsen. Dodać należy obrońcę Sewastopola z okresu wojny krymskiej, Edwarda Totlebena, gen. Wittgensteina — potykającego się z marszałkami napoleońskimi, Anatola Stoessela — generała z nieszczęśliwej dla Rosji wojny z Japonią, a także dowodzących wojskami rosyjskimi w latach I wojny światowej generalów: Aleksego Evertha, Pawła Plehwego i Pawła Rennenkampa. Wymienić wreszcie można nie mniej znanych, a już dla Polaków nazbyt znanych, Iwana (Hansa Heinricha) Fersena — zwycięzcę spod Maciejowic; Iwana Dybicza (Hansa Diebitscha) — naczelnego dowódcę wojsk rosyjskich podczas powstania listopadowego, a także Fiodora Geismara — generała walczącego w tymże powstaniu.

Polacy mieli możliwość bliższego poznania także innych Rosjan z niemieckim rodowodem. Należał do nich m.in. Aleksander Lüders

— namiestnik Królestwa Polskiego w latach 1861—1862, ciężko zraniony przez Andrzeja Potiebniew w Ogrodzie Saskim. Był nim też Jerzy Skalon (Georg Scalon) — general-gubernator warszawski w latach 1905—1914.

Wszyscy ci Rosjanie niemieckiego pochodzenia odegrali ważną rolę w historii Rosji. By obraz był pełny, należałoby wymienić także tych, którzy działali na polu naukowo-kulturalnym oraz gospodarczym. Tu nazwisk niemieckich również nie brakuje. Wydaje się jednak, że nie wpłynęło by to na sformułowanie pewnych konkluzji.

Jedną z nich jest ta, że sprawa oceny udziału osób niemieckiego pochodzenia w dziejach państwa rosyjskiego jest nader delikatna. Była już bowiem wykorzystywana przez niektórych naukowców niemieckich. Przekonywali np., że to właśnie Niemcy odegrali najważniejszą rolę w rozwoju państwowości rosyjskiej, tylko oni ucywilizowali całe rosyjskie wybrzeże Bałtyku od Petersburga do Lipawy, oni żeglowali pod carską flagą aż do Polinezji, Kalifornii i Alaski, oni walczyli o zwycięstwo na Bałkanach (Dybicz 1829 r.) i zdobywali Turkestan (Konstanty Kaufman) itd. Czyż musimy bezkrytycznie powtarzać te opinie? Czyż nie stać nas na samodzielne spojrzenie na ten problem?

Przecież fakt, iż wielu przedstawicieli arystokracji rosyjskiej była pochodzenia niemieckiego nie musi o niczym świadczyć. Może w tym pochodzeniu jest sporo przesady a mało dowodów. Faktem jest bowiem, iż rody obce, w tym i niemieckie, w większości rusyfikowały się bez reszty, a ślady cudzoziemskiego pochodzenia pozostawiały już tylko w nazwiskach. Jedynie Niemcy z guberni nadbałtyckich ruszczyli się na ogół wolniej. Gorzej też mówili po rosyjsku. Często też do końca życia pozostawali luteranami. Nie przeszkadzało im to zresztą wcale w robieniu kariery, ale rosyjskiej kariery.

Nie da się co prawda ukryć, że nawet w rodzinach najbardziej zrusyfikowanych, jakieś przywiązanie do tradycji dawało czasem znać o sobie. Przejawiało się to np. w odpowiednim ukierunkowaniu procesu wychowawczego. Szczególnie charakterystycznym przykładem może tu być baron Mikołaj Korff (1834—1883), bardzo wybitny pedagog rosyjski i autor cennych prac naukowych. Już jego ojciec, ziemianin bałtycki, przekształcił się całkowicie w Rosjanina, a sam Mikołaj rósł jako dziecko w Rosji centralnej, ale przecież tenże „całkowicie” zruszczony ojciec posłał swego syna w 1844 r. do Werro (Vorn) w guberni inflanckiej, ponieważ znajdował się tam niemiecki zakład naukowy, cieszący się wówczas wielką renomą. Dziesięcioletni chłopiec, przyzwyczajony do środowiska rosyjskiego, znalazł się nagle w czysto niemieckiej szkole i w takimże otoczeniu, gdyż całe miasteczko mogło być uważane za dokładną kopię germańskiego bytu. Mimo to Korff czuł się tam doskonale i tylko na szczęście dla pedagogiki rosyjskiej przeniesiono go jednak po dwóch latach do Petersburga, gdzie otrzymał „prawdziwie rosyjskie i prawosławne” wychowanie.

Poczucie pewnej wyższości nauki niemieckiej nad rosyjską posiadał zapewne również członek Akademii — Jerzy Parrot (Georg Friedrich (1767—1841). Kiedy bowiem Mikołaj I podjął zabiegi mające na celu reorganizację szkół wyższych, ten przedstawił bardzo oryginalny projekt. Zapropował likwidację uniwersytetu petersburskiego; w Moskwie, Charkowie i Kazaniu uczelnie powinny — twierdził — pozostać, ale po przeprowadzeniu następujących operacji: każdy uniwersytet powinien mieć 32 katedry, z każdej katedry należy wybrać najlepszego studenta i wszystkich razem wysłać na 5 lat do Dorpatu (uniwersytet ten cieszył się dużą autonomią, ponadto obowiązywał tu jako wykładowy język niemiecki — L.P.), potem na dwa lata do Niemiec, a potem zrobić ich wszystkich profesorami, hurtem odstawiając całą istniejącą kadrę do lamusa. Dostrzec więc łatwo, że Parrot tylko uniwersytet niemiecki w Dorpacie i inne niemieckie uniwersytety uznał za uczelnie na odpowiednim poziomie.

Przypadki te należały jednak do rzadkości, stąd i generalizować nie należy. Tak bowiem, czy inaczej, zdecydowaną większość baronów (i nie tylko ich) wychowywano w bojaźni Bożej, miłości do



Księżna Sophie Auguste Anhalt-Zerbst, późniejsza Katarzyna II

carą i szacunku do starszych. Barwnie i przekonująco pisał o tym np. jeden z przedstawicieli znanej i zasłużonej dla kultury rosyjskiej rodziny Delwigów, baron Andrzej Delwig (1813—1887). On sam urodził się już w Rosji, w guberni woroneskiej, lecz jego przodkowie pochodzili z Westfalii. Wychowanie Delwigów było już rosyjskie i prawosławne. Dzieci musiały nieustannie okazywać wszechstronny szacunek, nie tylko dziadkom i rodzicom, ale nawet w stosunku do siebie samych nie mogły uchylać się od określonych formuł: mówiło się więc np. „wy” do starszego rodzeństwa. Nie tolerowano najmniejszego nawet rezonowania, gdy chodziło o osoby starsze, nie mówiąc już o rodzinie carskiej czy o sprawach związanych z kultem religijnym. Car był osobistością absolutnie świętą, prawosławie religią ponad wszystkie inne. Rosja — najlepiej rządzone państwem w świecie, w którym od najdawniejszych czasów rodziła się tylko święci i całe masy herosów innego typu. Światopogląd taki utrzymywał się szczególnie po zwycięskich wojnach 1812—1813.

Trudno więc przypuszczać, by wychowane w ten sposób pokolenia czuły się bardziej niemieckimi niż rosyjskimi. Jeszcze trudniej owoce ich działalności zaliczać na konto Niemiec. Ich dorobek polityczny, kulturowy czy ekonomiczny stanowi integralną część historii Rosji. Jaką, trudno jednoznacznie określić, ale przesadzać w jej wartościowaniu też nie można.

Zajmijmy się wreszcie poszukiwaniem proniemieckich elementów w polityce zagranicznej władz rosyjskich. Że takowe były, przekonywać nikogo nie potrzeba. Problem polega raczej w tym, by ocenić na ile były one rezultatem świadomego wyboru carów, na ile

zaś efektem umiejętnych posunięć rządów państw niemieckich (chodzi przede wszystkim o rządy Prus). Zagadnienie jest bardzo trudne do rozstrzygnięcia w sposób nie podlegający dyskusji. Wydaje się, że obydwa czynniki miały tu swój ciężar gatunkowy. Z obu stron była to bardzo często świadoma gra, wzajemnie kontrolowana i ząbwiąca się. Przykłady tego można zauważyć już w okresie wojny północnej. Zorientowawszy się, że wojna zaczyna przybierać dla Rosji bardzo korzystny obrót, Prusy zgłosiły akces do koalicji antyszwedzkiej. W odpowiedzi wojska rosyjskie pod dowództwem Mienszykowa ruszyły na Szczecin, a zdobywszy go przekazały Prusom. W ten oto sposób, bardzo małym nakładem sił, a raczej tylko dzięki sprytnemu manewrowi dyplomatycznemu, Prusy uzyskały Pomorze Szczecińskie. Na wszelki wypadek wkrótce odwdziczyły się Rosjanom. Obok Holandii najwcześniej bowiem uznały przyjęty przez Piotra I w 1721 r. tytuł imperatora. Jako tylko ciekawostkę można podać, że Polska uczyniła to dopiero w 1764 r.

Wkrótce nastąpiło dalsze zbliżenie między obydwojma państwami i to o wyraźnie antypolskim obliczu. Już w 1720 r. zawarto w Poczdamie porozumienie rosyjsko-pruskie, którego celem było m.in. utrzymanie wolności szlacheckich w Polsce, zwłaszcza wolnej elekcji. Porozumienie to, skierowane przeciwko dopuszczeniu do polskiego tronu syna Augusta II, było parokrotnie odnawiane. Ukoronowaniem tych zabiegów był rosyjsko-prusko-austriacki traktat z 1732 r., zwany traktatem trzech czarnych orłów.

Drogi Prus i Rosji rozejdą się na krótko w okresie wojny 7-letniej (1756—1763), kiedy to obydwa państwa znajdą się w przeciwnych obozach. Następca Elżbiety I na tronie rosyjskim, Piotr III wkrótce po objęciu tronu odda jednak Fryderykowi II nieprawdopodobną wprost przysługę. W momencie, kiedy los króla pruskiego zdawał się być już przesądzony, gdyż przegrywał wojnę z kretesem, nowy car rozkazał przerwać działania wojenne. Następnie wycofał swe wojska z terytoriów pruskich. Mało tego, zaproponował Fryderykowi II przymierze. W ten sposób uratował go przed klęską. A być może także przez utratą tronu.

Interesujące, że żona Piotra III i jego następczyni — Katarzyna II, jak wspomniano wyżej stuprocentowa Niemka, rozpoczęła sprawowanie władzy od unieważnienia sojuszu rosyjsko-pruskiego. Później jeszcze niejednokrotnie drogi Katarzyny II i Fryderyka II będą się rozchodziły. W decydujących momentach zawsze dochodziło jednak do ich zbliżenia. Niestety dla nas Polaków, miało to miejsce przeważnie wówczas, gdy chodziło o dokonanie kolejnego rozbioru Rzeczypospolitej. I trudno orzec, do kogo w tym przypadku należała inicjatywa. Obydwoje bowiem reprezentowali silną osobowość, obydwoje realizowali konsekwentnie zamierzone cele. O ile więc w przypadku I rozbioru Polski to raczej Fryderyk II postawił swą współniczkę przed faktem dokonanym, to przy pozostałych rozbiorach inicjatywa należała już do Katarzyny II.

Za Aleksandra I rozpoczęła się już raczej wyraźna dominacja Rosji nad swym partnerem. Mimo to postępowanie cara nie do końca jest zrozumiałe. Czasem wydawało się, że został w pewien sposób oczarowany Prusami. Tak np. w połowie 1802 r. niespodziewanie przybył on do Klajpedy, gdzie spotkał się z pruską parą królewską — Fryderykiem Wilhelmem III i jego małżonką Luizą. Podczas tego spotkania położone zostały podwaliny pod mocną i długotrwałą, choć nie zawsze politycznie jasną, przyjaźń Aleksandra I z królem pruskim. W tak burzliwych dla dziejów Europy latach następnych przyjaźń ta miała dać rezultaty niezwykle interesujące. Zapatrzony w Prusy Aleksander odrzucał plany swego przyjaciela, ks. Adama Czartoryskiego, właśnie za ich antypruskie oblicze (sami Prusacy zwali je morderczymi dla ich państwa). Mało tego, w roku 1805, podczas pobytu w Poczdamie, w obecności królowej Luizy car złożył uroczystą przysięgę pod sarkofagiem Fryderyka II. Nie zraził się do Prus nawet wówczas, gdy na krótko w 1806 r., związały się one z Francją. Wprost przeciwnie, już w następnym roku udzielił Fryderykowi Wilhelmowi III pomocy w wojnie z Napoleonem. Uratował go też w Tyłży przed utratą państwa i korony. Sojusz rosyjsko-pruski

umocnił się jeszcze bardziej po pokonaniu Napoleona i kongresie wiedeńskim, kiedy to oba państwa stały się filarami Świętego Przymierza.

Nie da się już ustalić, czy to pamięć o gestach Aleksandra I wobec Prus w tragicznych dla nich sytuacjach, czy też inne przyczyny spowodowały, że Prusy w pierwszej połowie XIX stulecia okazały się o wiele lojalniejszym sojusznikiem Rosji, niż np. Austria. Można to zauważyć szczególnie wówczas gdy to z kolei imperium rosyjskie znalazło się w tarapatach (wojna krymska, powstanie listopadowe).

Inaczej miała się sprawa z powstaniem styczniowym. W tym przypadku trudno mówić o sentymentach ze strony Prus. Stanowisko jakie wówczas zajęły było efektem wyrafinowanej gry Bismarcka. Gdy niemal cała Europa odwróciła się od Rosji, on zaofiarował jej swoją pomoc. Dumny Aleksander II nie przyjął jej, lecz zapamiętał ten gest. W rewanżu dał Bismarckowi wolną rękę w rozprawieniu się z Austrią i Francją, państwami stojącymi na drodze do zjednoczenia Niemiec. Nie pomogły ostrzegawcze glosy rosyjskiej opinii publicznej, że nie leży to w interesie Rosji. Wskazywała bowiem, że silne Niemcy mogą stać się groźnymi dla niej samej. Mogą np. zablokować Bałtyk dla żeglugi rosyjskiej, mogą też przypomnieć sobie o swych rodakach zamieszkujących gubernie nadbałtyckie. Aleksander II pozostał nieugięty, mimo że przyszłość pokazała, iż to nie on miał rację. A że mógł przyhamować działania Prus, świadczy fakt, iż gdy tylko sprzeciwił się kolejnym planom ataku niemieckiego na Francję, Niemcy usłuchały go. Wszystko wskazuje na to, że to samo uczyniłyby też w latach sześćdziesiątych Prusy.

Lata osiemdziesiąte stanowiły już jednak ostatni etap sojuszu rosyjsko-niemieckiego. Jeszcze w 1881 r. doszło do restytucji sojuszu „Trzech cesarzy”, który w 1884 r. przedłużono na następne trzy lata. Jeszcze w 1887 r. został podpisany rosyjsko-niemiecki układ reasekuracyjny. Wszystko to jednak nie miało większego znaczenia. Już bowiem w tym samym dziesięcioleciu pomiędzy obydwa państwa wkroczyła Francja, a mówiąc dokładnie — pieniądze francuskie. One to bowiem spowodowały, że Mikołaj II ani się obejrzał, jak znalazł się w obozie antyniemieckim. Wystarczyło, że Berlin nieopatrnie odmówił udzielenia pożyczki Rosji, gdy usługi swe zaofiarowała Francja. Za pierwszą pożyczką poszły kolejne, a za pieniędzmi układ polityczny rosyjsko-francuski w 1892 r. W ten sposób drogi Rosji carskiej i Niemiec rozeszły się na zawsze.

Przez pewien czas co prawda istniało w Rosji silne stronnictwo germanofilskie, ale nie potrafiło już ono wpływać na postawę swego władcy. Sądzić można, że albo przeciwników polityki proniemieckiej było więcej, albo tym razem głos decydujący miał car, a nie jego doradcy. Faktem jest, że Mikołaj II pozostał do końca lojalny wobec swych nowych sprzymierzeńców. Nie podjął bowiem, mimo niepowodzeń na froncie I wojny światowej, ani jednej próby porozumienia się z Niemcami w celu zawarcia separatystycznego pokoju. Nawet wówczas, gdy z taką inicjatywą występowała druga strona.

Niemcy odegrali więc znaczącą rolę w dziejach państwa rosyjskiego. Pozostawali często w najbliższym otoczeniu władców imperium rosyjskiego, w żyłach których płynęło zresztą sporo niemieckiej krwi. Piastowali wysokie stanowiska państwowe. Mogli więc wywierać też wpływ na politykę carów. Mimo to byli to Niemcy zruszczeni, najczęściej czujący się przede wszystkim Rosjanami, postępowali też jak Rosjanie. W ten sposób i polityka realizowana przez carów i ich doradców niemieckiego pochodzenia była przede wszystkim rosyjska, mająca na celu głównie interes Rosji.

Bez kompleksu

HENRYK RADEJ: — Minęło 50 lat od bitwy o Narwik i 40 lat od tragicznej śmierci Ksawerego Pruszyńskiego. Jego życie i twórczość interpretowało już wielu dziennikarzy i publicystów. Chciałbym, aby tym razem pan był bohaterem naszej rozmowy. Zapewne trudno nam będzie uwolnić się od tak fascynującej postaci, jaką był pański brat. Ale spróbujmy...

MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI: — To nie będzie takie łatwe i... chyba niemożliwe. Ksawery jest mi zawsze bardzo bliski we wspomnieniach. Zawsze w życiu byliśmy blisko siebie. Wychowywaliśmy się razem na Wołyniu. Dzieciństwo i młodość mieliśmy takie same. W 1919 roku wróciliśmy razem z matką do Polski przez „zieloną granicę”. Uczyliśmy się w tym samym gimnazjum O.O. Jezuitów w Chyrowie. Potem na parę lat rozstaliśmy się, ja przeszedłem do Korpusu Kadetów we Lwowie, ale już niebawem studiowaliśmy na tym samym Uniwersytecie w Krakowie. W tym czasie Ksawery zaczął pracować w dziennikarstwie. Kiedy przenosił się do wileńskiego „Słowa”, odstąpił mi swoją posadę. Było to pół etatu w redakcji „Czasu”. Pracowałem tam jak i on, dwa lata.

— Później obaj robiliście pismo „Problemy”, które miało ciekawy rozwój i krótki żywot.

— To wszystko zbiegło się w czasie z utworzeniem obozu „odosobnienia” w Berezie. Ksawery był jego wielkim przeciwnikiem. Na znak protestu chciał nawet, wraz ze swoim przyjacielem Adolfem Bocheńskim, zgłosić się do Berezy na ochotnika. Ledwo mu to wyperswadowałem. „Problemy” jeszcze nie było, a Ksawery należał do współpracowników „Buntu Młodych”, które prowadził Jerzy Giedroyc. On też był przeciwnikiem Berezy, ale nie chcąc narażać istnienia pisma, nie mógł organizować kampanii przeciwko temu, co działo się w Berezie. Ponieważ trzeba było gdzieś o tym pisać, założyliśmy z braćmi Bocheńskimi nowe pismo „Problemy”.

— Kto dał na to pieniądze?

— Wszystko organizował Ksawery. Na znak poparcia dla naszych postaw, pieniądze dali rozmaici Żydzi, masoni, liberalowie i bogaci ziemianie. Na początku 1935 roku ukazał się pierwszy numer. Żywot pisma był rzeczywiście bardzo krótki, bo istniało zaled-

wie pół roku.

— Aż takie były naciski na redakcję ze sfer rządowych?

— Władzom bardzo dopiekalo to, co tam pisaliśmy na temat obozu w Berezie. Przypominam sobie taką scenę. Redakcja nasza mieściła się na ulicy Frascati. Pewnego dnia zjawili się tam dwóch panów, byli to posłowie na sejm Emeryk Czapski i Stanisław Mackiewicz — redaktor „Słowa”. Celem ich wizyty było naklonienie nas do zaprzestania zwalczania obozu w Berezie. Tłumaczyli, że racja stanu Polski wymagała utworzenia tego obozu, żeby osadzać tam komunistów, warcholów endeckich i terrorystów ukraińskich. Zaś władze atakowane przez lewicę, specjalnie dotknięte były protestem młodych konserwatystów, takich jak my. O tyle ten epizod jest zabawny, że kilka lat później sam Mackiewicz trafił do Berezy.

— Jaki był skutek tej wizyty? Czy wzruszyły was argumenty posłów?

— Skądże. Wykończono „Problemy” w inny sposób. Władze finansowe zabrały się za sponsorów i ci przestali subsydiować pismo.

— Domyślam się, że w ciekawych, przedwojennych czasach imponowała panu praca dziennikarza. A może chciał pan dorównać swemu starszemu bratu?

— Ksawery był przeciwny mojemu pisarstwu. Skarżył się na mnie nawet w listach do matki, które niedawno przeglądałem. Sądził, że dałem się namówić Giedroycowi, który po jego odejściu chciał zastąpić jednego Pruszyńskiego drugim. Ksawery uważał, że skoro już jeden Pruszyński zajął się dziennikarstwem, to ja, mając wykształcenie ekonomiczne, powinienem pracować w przemyśle lub finansach. Ale ja starałem się łączyć obie działalności.

Jeździłem trochę po Polsce, byłem w Rumunii i w Niemczech. Pisałem reportaże, ale najczęściej robiłem wywiady. Zrobiłem cały cykl wywiadów historycznych dla „Buntu Młodych”. M.in. spisałem rozmowę z byłym regentem polskim, Zdzisławem Lubomirskim, z Romanem Dmowskim (w tym okresie nikomu nie udało się zrobić wywiadu z Dmowskim!), ze Stanisławem Grabskim, z byłym premierem Władysławem Grabskim. Te wywiady narobiły nieco wrzawy. Pamiętam, jak Stanisław Grabski

wściekł się, kiedy zapytałem go, czy to prawda, że przez niego straciliśmy Mińsk. Była taka plotka, że w czasie rokowań w Rydze Rosjanie byli skłonni oddać nam Mińszczyznę, a on się temu przeciwstawił. Zaś kontakt z Dmowskim ułatwił mi mój przyjaciel Jaś Roztworowski, pochodzący z Lubelszczyzny, z majątku Milejów, potem zginął jako cichociemny. Dmowski zainteresował się moimi wywiadami i chętnie by ze mną porozmawiał. Pojechałem więc do niego na ulicę Wiejską. Wyciągnąłem z niego dużo informacji, m.in. o tym, jak spotkali się, podróżując rykszami, z Piłsudskim w Tokio.

— Podróż Piłsudskiego do Japonii to raczej mało znany fakt w jego bogatym życiorysie?

— To było w roku 1905. Piłsudski pojechał tam prosić o pieniądze na sfinansowanie powstania w Królestwie. Natomiast Dmowski pojechał w ślad za nim przekonywać Japończyków, żeby tego, broń Boże, nie robili. Teza Dmowskiego była taka: w tej chwili jest wrzenie w Królestwie, są strajki, zamachy, które absorbują przynajmniej 10 dywizji rosyjskich. Jeśli wybuchnie powstanie, to Rosjanie je stłumią i będą mieć spokój na kolejne 20 lat. A wtedy wszystkie swoje siły skierują na Daleki Wschód. Ten argument przekonał Japończyków i dali Piłsudskiemu bardzo mało pieniędzy. Pamiętam, że Dmowski zastrzegł sobie wówczas, że nasza rozmowa jest nie do publikacji, ale kiedy umarł w 1939 roku, Giedroyc ją wydrukował w „Polityce” (poprzednia jej nazwa brzmiała „Bunt Młodych”).

— Wybuch II wojny światowej również nie oddalił braci Pruszyńskich zbyt daleko od siebie.

— Po bitwie z Niemcami pod Kockiem uciekłem na Wschód, ale tam znajdowali się bolszewicy. Podarłem więc dokumenty oficera rezerwy, wymieniliśmy oficerskie buty z ordynansem na pepegi... Intuicyjnie czułem, czym niewola sowiecka — jako dla oficera — może się dla mnie skończyć. Szedłem dalej na południowy wschód i nie rozumiałem co się dzieje. Sowieci bowiem jakby wycofywali się przede mną. Dziś wiadomo, że cofali się na ustaloną wtedy z Hitlerem, granicę Bugu. Zatrzymałem się parę dni u mojej matki chrzestnej w Żabiej Woli pod Lublinem. Ogolilem dużą brodę, którą



*Palestyna, sierpień 1942 roku.
Spotkanie braci Pruszyńskich*

K. Pruszyński z córką Marysią w Holandii

zapaściłem 1 września, obiecując sobie, że zgolę ją dopiero w zdobytym Berlinie! Niestety, musiałem to zrobić już 10 października... Następnie kołami, a później pociągami dojechałem do Krakowa i tam spotkałem Ksawerego. Podjęliśmy wtedy wspólnie decyzję o przedostaniu się przez Węgry do naszego wojska we Francji. No i dopiero w Budapeszcie pokłóciliśmy się.

— **Pewnie poszło o politykę?**

— Nic podobnego. Drogę do Budapesztu przez Karpaty mieliśmy niebezpieczną i męczącą: przez trzy dni na zimnie i deszczu. I kiedy w Budapeszcie wreszcie uzyskaliśmy paszporty, wize i bilety kolejowe do granicy francuskiej — Ksawery w ostatniej chwili oświadczył mi, że dalej ze mną nie pojedzie. Dowiedział się bowiem, że we Lwowie schroniła się jego przyjaciółka, zresztą bardzo ładna pani. Postanowił tam iść na własną rękę. Znów wędrować przez Karpaty w śniegu! Pod okupacją sowiecką! Uznałem to za szaleństwo. Tłumaczyłem mu, że ma żonę i dzieci...

— **Pewnie to poskutkowało, skoro niebawem obaj znaleźliście się we Francji?**

— Nie poskutkowało. Powiedział, że skontaktował się już z naszym wywiadem, ma być ich kurierem, a oni mają mu dać przewodnika do Lwowa. Do Francji pojechałem więc sam. A niezadługo Ksawery tam dojechał. Pytam go, co się stało? Okazało się, że nie mógł znaleźć przewodnika przez Karpaty do Lwowa.

— **Jak to się stało, że obaj trafiliście do słynnej Brygady Podhalańskiej?**

— Mój oddział został do niej przydzielony w całości z 1. Dywizji. Powiedziałem o tym Ksaweremu i on już postarał się o przydział.

— **Po bitwie o Narwik, opisaney**

przez Ksawerego w powieści „Droga wiodła przez Narwik”, wasze losy wojenne nieco się rozeszły. Brat udał się z misją dyplomatyczną do Związku Radzieckiego, a pan walczył pod Tobrukiem, a potem latał w polskim 305 Dywizjonie lotniczym. Z kolei Ksawery w 1944 roku brał udział w inwazji Francji z Dywizją pancerną gen. Maczka. **Jakoś udało wam się wyjść cało z tych licznych kampanii?**

— Nie licząc, że każdy z nas był ciężko ranny i spędził wiele miesięcy w szpitalu: Ksawery po uratowaniu się z płonącego czołgu, ja po najechaniu samochodem na minę. Ksawery pod Narwikiem otrzymał pierwszy Krzyż Walecznych przyznany w polskim wojsku lądowym na Zachodzie. A razem „zafasowaliśmy” — mówiąc językiem żołnierskim — sześć Krzyży Walecznych i jedno „Virtuti”, nie licząc brytyjskich, francuskich i norweskich odznaczeń.

— **Ale teraz wróćmy do twórczości pańskiego brata. Czy nigdy nie zastanawiał się pan nad rodowodem istoty talentu pisarskiego i politycznego, jaki przejawiał Ksawery?**

— Mój brat miał bujną wyobraźnię. Gdy miał 6 lat, a ja 3, wymyślał jakieś komedijki. Taki mały Moliere, który był jednocześnie autorem reżyserem i aktorem. Wiem o tym ze wspomnień mojej matki, która to wszystko opisała. Wkrótce wyda je „Ossolineum”.

— **Z czasem wyobraźnia ta przybrała cechy intuicji politycznej, wyczucia historycznego. Myślę o jego książce „Sarajewo 1914 — Szanghaj 1932 — Gdańsk 1937”. Przecież w tym samym czasie nawet wytrawni politycy twierdzili, że wojny nie będzie.**

— Ksawery od najmłodszych lat intereso-

wał się historią. Dużo czytał, przysłuchiwał się rozmowom starszych, zwłaszcza w 1917 roku, kiedy w domu dyskutowano o rewolucji w Rosji i możliwościach Polski. On przez całe swoje życie odbierał świat w kategoriach historycznych. Stąd jako jeden z pierwszych uwierzył w potęgę Rosji i konieczność porozumienia się z nią. Wówczas jeszcze niemal cały świat wierzył, że Sowietci padną w walce z Hitlerem. Aż tu nagle Ksawery przewiduje co innego. Jego artykuł opublikowany w Anglii pt. „Wobec Rosji” w 1943 roku wywołał oburzenie większości emigracji.

— **Również po wojnie, kiedy wróciła do kraju pod władzę komunistów, nasza emigracja to potępiła?**

— Brat wyjaśnił swą decyzję powrotu do kraju między innymi w liście do swego kolegi z dywizji Maczka, ppor. Rożka, który opublikował to później (już jako profesor Uniwersytetu w USA), w książce „Sprawa Polski w II wojnie światowej”, a brzmiało to mniej więcej tak: „Mój kochany. Postawiliśmy na aliantów zachodnich, a ci nas wystawili do wiatru. Niektórzy mówią, że nas zdradzili, ale to może zbyt mocno powiedziane. Po prostu nie mieli siły. My też w 1920 r. zawarliśmy przymierze z Petlurą, w pewnej chwili zastawiliśmy go samego — zabrakło nam sił, ale z tą różnicą, że Pilsudski pojechał wtedy do obozu Petlurówców i osobiście przeprosił oficerów za niedotrzymanie umowy. Churchill i Roosevelt w stosunku do nas nie zrobili nawet tego.” I mój brat pisał dalej mniej więcej tak: „Teraz mogę uważać, że znaleźliśmy się w jednej celi z takim gangsterem jak Stalin, ale coź robić? Musimy żyć, musimy jakoś ułożyć z nim stosunki. Nie ma innej rady.” Redaktor Jerzy Jaruzelski nazwał ten list testamentem politycznym Ksa-

werego.

— I tu zawiodła Ksawerego jego intuicja polityczna. Nie przewidział, że przez 45 lat czuć będziemy na plecach „oddech Stalina”.

— Tak. Tego nikt nie przypuszczał. Wtedy myśleliśmy, że to krócej potrwa. Cały Zachód sądził, że Stalin po wojnie się zmieni, że Rosja wejdzie na drogę ewolucji.

— Niedługo potem, w czerwcu 1950 roku, Ksawery zginął w wypadku, na autostradzie koło Düsseldorfu. Czy nigdy nie miał pan wątpliwości co do interpretacji tego faktu?

— W Polsce ogromnie popularna była wersja, że to komuniści zabili Ksawerego. Ja nie wierzyłem w to nigdy. Mój brat bardzo słabo prowadził samochód, który zresztą miał od niedawna. Mówiono mi, że jego synek Staś bał się z nim jeździć. Na autostradzie, w miejscu gdzie zginął, nie wolno było wyprzedzać. On złamał ten zakaz, a może go nie zauważył i wtedy ogromna ciężarówka wpadła na jego wóz.

— Czy z perspektywy swoich doświadczeń życiowych i znajomości historii zechce pan zabawić się w futurologa i powiedzieć, jak widzi pan najbliższą przyszłość Polski?

— Ja przez całe życie byłem optymistą.

Nawet w czerwcu 1940 r. kiedy Francja się poddała i Niemcy zajęli prawie całą Europę, ja byłem przekonany, że wygramy wojnę. A wtedy bardzo wielu ludzi już zwątpiło. Także mój optymizm sprawił, że w listopadzie 1945 roku wróciłem do Polski. No i po wielu trudnych latach doczekałem się wolnej Polski. A już sądziłem, że jej nie dożyję. Zaraz też zrozumiałem jedyną szansę, jaką dała Polsce „Solidarność” z Lechem Wałęsą. Już w 1981 roku jury nagrody im. Adolfa Bocheńskiego, ufundowanej przeze mnie, przyznało ją ówczesnemu redaktorowi „Solidarności”, Tadeuszowi Mazowieckiemu. A jak tylko rozpoczęła się kampania wyborcza do Sejmu i Senatu w 1989 r., bezzwłocznie dałem „Solidarności” pewną kwotę na wybory. Rozumiałem doniosłość chwili.

A co do przyszłości — widzę ogromne niebezpieczeństwo dla naszego kraju ze strony zjednoczonych Niemiec. Jak by nie liczyć, będzie to około 80 milionów ludzi. A biorąc pod uwagę ich trzykrotnie większą produkcję i dochód narodowy, należy porównać nie 80 milionów ludzi, ale trzykrotnie więcej, tj. jakieś 240 milionów Niemców z 40 milionami Polaków. Na szczęście Niemcy przegrali już dwie wojny, a ta ostatnia i dla nich była bardzo okrutna. Ja sam latałem nad Niemcami 47 razy i trochę ich

pobombardowałem. Też się nacierpieli, więc w przyszłości, daj Boże, będą mądrzejsi. Optymizmem napawa proces zjednoczenia Europy i okielznania Niemiec w ramach wspólnoty europejskiej.

— Proszę powiedzieć jeszcze, czym pan zajmuje się obecnie?

— Jestem emerytowanym pracownikiem handlu zagranicznego. Ponadto jako trustee jestem członkiem zarządu trustów należących do znanej rodziny Thyssen-Bornemisza i biorę udział w zarządzaniu jej kapitałami.

— Jest pan też inicjatorem i pomysłodawcą Fundacji Pruszyńskich.

— W 1986 roku doszedłem do wniosku, że warto ufundować nagrodę dla upamiętnienia postaci i twórczości mego brata Ksawerego. Określiłem w statucie, że dniem wręczenia tej dorocznej nagrody będzie 11 listopada, tj. data odbudowania państwa polskiego. Co było wtedy źle widziane. Na szczęście kapitał Fundacji ustaliłem we frankach szwajcarskich, a nie w złotych, dzięki czemu ocaliłem go przed skutkami inflacji. Pierwszym laureatem została w listopadzie 1989 r. red. Iwona Jacyna. Nagrodzono jej wieloletnią publicystykę poświęconą obronie środowiska naturalnego. (...)

— Dziękuję za rozmowę.

ANARCHIZM

ROMAN A. TOKARCZYK

Określenie „anarchizm”, pochodzące od greckiego „anarchos”, w myśli politycznej oznacza brak rządu, władzy, autorytetu opartego na przymusie fizycznym i psychicznym. Anarchizm jako odrębny nurt myśli politycznej, postulujący anarchistyczny ustrój społeczny, sięga swymi korzeniami filozofii greckich sofistów i cyników. Przewijał się w plebejskich ruchach religijnych Średniowiecza i Reformacji: bogomilów, katarów i taborytów. Wątki anarchistyczne pojawiały się w różnych odmianach doktryn prawa natury i umowy społecznej. Historycy toczą zażarte spory wokół charakteru ideologii „złotej wolności” szlachty polskiej, jej anarchistycznego albo skrajnie liberalnego sensu. W toku swego wielowiekowego rozwoju idee anarchistyczne przeniknęły z Europy na inne kontynenty, zarówno do zachodniej jak i wschodniej myśli politycznej i społecznej.

Jako rozwinięta doktryna, anarchizm istnieje od około pierwszej połowy XIX w. Wtedy tworzyli ją główni jej teoretycy: Prudhon, Bakunin, Kropotkin, Godwin, Stirner, Morris i mniej znani Malatesta, Reclus, Tucker, Warren. W okresie 1930—1960 rozwój myśli anarchistycznej osłabił. Gwałtowne odradzanie się tendencji anarchistycznych zaznaczyło się w latach sześćdziesiątych, przede wszystkim wśród studenckiej młodzieży Zachodu. Pojawiło się wielu twórczych myślicieli anarchistycznych: Alex Comfort, Nicolas Walter, Colin Ward, George Woodcock, Murray Bookchin w Stanach Zjednoczonych, Maurice Juayan, Robert Fossard, bracia Daniel i Gabriel Cohn-Bendit, Andre Gorz we Francji, Peter Heintz w Szwajcarii,

Cesare Lorenzo w Hiszpanii, Horst Binek w Niemczech Zachodnich.

Trudno byłoby określić i scharakteryzować niesłychanie zróżnicowane przyczyny wzrostu i osłabiania zainteresowań myślą i praktyką anarchistyczną. Poprzestając jedynie na poziomie bardzo ogólnych sformułowań można by utrzymywać, że tętno żywotności anarchizmu jest wprost proporcjonalne do nasilania się dość subiektywnego poczucia pewnych warstw społecznych, ograniczania ich wolności przez instytucje władzy państwowej. Wyrastające w różnych okolicznościach idee anarchistyczne nie tworzyły nigdy doktryny w pełni jednolitej. Najpierw pojawił się anarchizm indywidualistyczny, następnie dominował anarchizm kolektywistyczny i komunistyczny, a dopiero potem anarchizm syndykalistyczny. Wśród najnowszych jego odmian główną rolę odgrywają trzy ostatnie, lecz i anarchizm indywidualistyczny wciąż znajduje swoich zwolenników. W ostatnich latach te różne odmiany anarchizmu splatają się często w jedną, mało wyrazistą postać. Dla wyraźniejszego przedstawienia i oceny anarchizmu jako zróżnicowanego wewnątrznie nurtu myśli politycznej należałoby wyodrębnić to, co w nim wspólne od tego, co odmienne dla różnych jego odmian; to, co stare-wczorajsze od tego, co nowe-dzisiejsze.

Do cech wspólnych różnych mutacji anarchizmu należy podejmowanie następujących problemów: stosunku jednostki do grupy społecznej, a grupy do całego społeczeństwa zorganizowanego

w państwie, roli politycznej klasy robotniczej, znaczenia żywiołowości i przemocy w dążeniach do anarchistycznego ideału społecznego, modelu pożądanego ustroju ekonomicznego oraz nie przyjmowania narzucanych z zewnątrz stylów życia.

Podstawową zasadą anarchizmu jest dobrowolność przy tworzeniu wszelkich organizacji wyrażających interesy grupowe, antyetycznym. Według niej najważniejszym miejscem dla jednostki jest spontanicznie, w sposób naturalny powstająca grupa społeczna, zaś właściwym miejscem dla grupy — społeczeństwo bezpaństwowe. Całe społeczeństwo miałoby się składać z różnorodnych, dobrowolnie powstających, ale względnie skoordynowanych grup, spełniających wspólnie wszystkie funkcje niezbędne dla właściwego przebiegu życia społecznego.

Anarchiści, jakkolwiek potrafią stopniować nasilenie autorytaryzmu, sprzeciwiają się wszelkim formom państwa. Gdy na ogół odrzucane są jedynie rządy niedemokratyczne, anarchiści odrzucają również rządy demokratyczne. Uważają rządy demokratyczne za logiczną sprzeczność, psychologicznie niemożliwą, dobrowolną zgodę wyborców na władzę oligarchii. Wskazują, że władza pochodząca z demokratycznego nawet proceduralnie wyboru może być gorsza od władzy uzurpatorskiej. Ta pierwsza powołując się na swoją legitymację polityczno-moralną skłonna jest do nadużyć, ta druga zmuszona jest do działań ostrożnych.

Początkowo niemal powszechnie anarchiści uznawali klasę robotniczą za klasę rewolucyjną lub potencjalnie rewolucyjną, zdolną do ukształtowania społeczeństwa według socjalistycznego lub anarchistycznego modelu. Owa wiara anarchistów w proletariat wynikała głównie z tego, że ich myśl rozwijała się w okresie ożywionej industrializacji kapitalistycznej, a więc i szybkiego wzrostu ilościowej klasy robotniczej. Wiara ta później coraz bardziej słabła.

Według niemal wszystkich odmian anarchizmu znaczną rolę w rewolucji i przeobrażeniach społecznych musi odgrywać żywiołowość a nawet przemoc. Na londyńskim kongresie organizacji anarchistycznych w 1881 r. aprobowano „propagandę za pomocą śmierci”. Anarchiści utożsamiając zło społeczne z władzą głowy państwa dokonali zamachów na cesarza pruskiego Wilhelma I, prezydenta Francji Carnota, króla włoskiego Humberta II, prezydenta USA McKinleya. Akcje terrorystyczne tzw. Czarnej Ręki w Hiszpanii czy też „nieczajewszczyzny” w Rosji graniczyły z pospolitą przestępczością. W wielu krajach zakazano działalności anarchistycznej, uznając ją za jaskrawo sprzeczną z prawem.

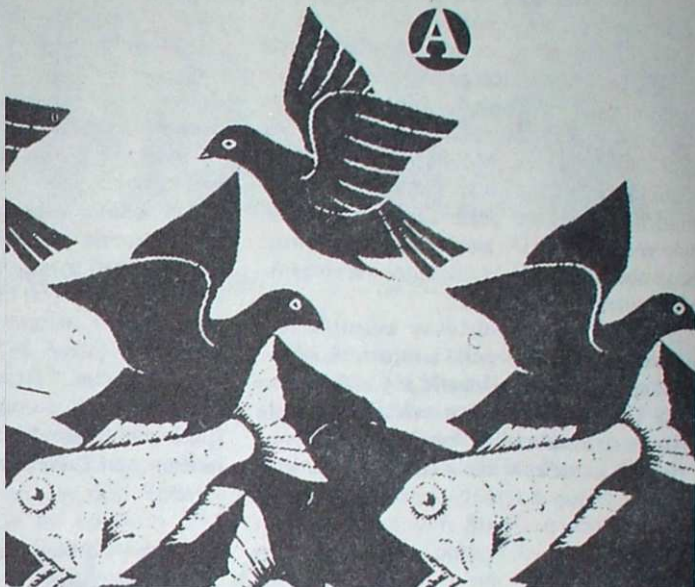
Narastające okresowo fale i sporadyczne przypadki terroryzmu w świecie tylko w niektórych przypadkach związane są z anarchizmem. Z reguły terroryści, sięgając do metod terroru, nie posiadają rozwiniętego programu i ideologii. Tym też głównie różnią się zarówno od anarchistów, jak i ugrupowań skrajnej prawicy. W latach sześćdziesiątych naszego stulecia zbuntowani studenci krajów zachodnich nawiązywali do przestępczych ruchów anarchistycznych, organizując tzw. akcje przykładowe. Wyrażało się to w aktach bezmyślnego wandalizmu, toteż musiało spotkać się z ostrym potępieniem społecznym.

Skoro państwo, jak utrzymują anarchiści, przemocą narzuca zło i niesprawiedliwość unicestwiający wolność jednostki, przemoc przez nich używana w celach wręcz przeciwnych zyskuje znamiona szlachetności. Jej stosowanie przez anarchistów miałoby być tym bardziej dopuszczalne, że wobec władzy państwowej inne środki okazują się zbyt słabe. Natychmiastowe zniesienie państwa operującego przemocą uznają za możliwe ponieważ lekceważą inne jego funkcje. Studenci Zachodu w latach sześćdziesiątych rozwinięli wątek krytyki współczesnych form państwa, znany jako kwestionowanie państwa (contestation). Godzili dość celnie w oligarchiczne, technokratyczne i biurokratyczne cechy władzy państw-

volontà

rivista
anarchica
trimestrale

1981/n.3
lire 2500



VOLONTÀ - pismo anarchistów włoskich

wowej. Wypowiadając się za odrzuceniem wszelkich autorytetów politycznych, młodzież negowała sensowność działalności partii komunistycznych splecionych z aparatem państwowym. Odmawiała im trafnie roli rzecznika interesów robotniczych.

Anarchiści wolność jednostki uznają za absolut, a socjalizm za jego społeczną podstawę. Niemal wszyscy twierdzą zgodnie, że każda jednostka winna mieć własny, wybrany przez siebie styl życia, wynikający z jej subiektywnych upodobań. Większość z nich sądzi przy tym, że człowiek jest z natury istotą dobrą. Przyczyny złego postępowania ludzi upatrują w ograniczeniach społecznych, a zwłaszcza w pogarszających się ich zdaniem z upływem stuleci warunkach ludzkiego życia. Jednakże wbrew narzucającemu się wnioskowi, że należy zmienić społeczne warunki życia ludzi, aby przywrócić ich dobrą naturę, główną nadzieję łączą z przeobrażeniami samej natury ludzkiej. Na tym też polega ich idealizm, utopizm i woluntaryzm zarazem.

Pochwalając wolność jednostki anarchiści stawać muszą przed dylematem jej godzenia z wymogami życia społecznego, w szczególności — organizacji życia gospodarczego. Anarchiści początkowo odrzucając całkowicie kapitalistyczne rozwiązania ekonomiczne, złagodlili swoje poglądy po niezbyt budujących doświadczeniach ekonomii praktykowanej w krajach socjalistycznych. Najnowsze wersje anarchizmu akcentują liczne schorzenia społeczne wynikające z procesów lekkomyślnej industrializacji; lekarstwo na to upatrują niekiedy w powrocie do prymitywnej ekonomiki agrarnej.

Podstawy filozoficzne anarchizmu indywidualistycznego sfor-

mulował Bawarczyk Kacper Schmidt, szerzej znany pod pseudonimem Max Stirner. Uzasadniał wolność w duchu skrajnie egoistycznego indywidualizmu, za jedyną godną uwagi wartość przyjmując atomizowane „ja”. W podobnym duchu przemawiał Francuz Pierre Joseph Prudhon. Teoretycy anarchizmu indywidualistycznego występowali przeciwko państwu i jego instytucjom w imię pełni wolności jednostki ludzkiej. Jednocześnie dostrzegali konieczność zachowania pewnych elementów organizacji społecznej, ale bez ich powiązania ze strukturami państwowymi. Postulat zachowania własności prywatnej łączyli z postulatem sprawiedliwego podziału bogactwa społecznego. Z istoty indywidualistycznego charakteru tej odmiany anarchizmu wyrastał jego partykularyzm, brak szerszego zaplecza w postaci programów i ruchów społecznych.

Do anarchizmu indywidualistycznego nawiązali współcześni anarchiści po latach sześćdziesiątych naszego wieku. Domagali się zwłaszcza utworzenia społeczeństw opartych na zasadach pełnej samorządności bez jakichkolwiek centralnych ośrodków kierowniczych. Opowiadając się za demokracją bezpośrednią lub tzw. demokracją uczestnictwa proponowali, aby techniczne problemy sprawowania władzy przez ogół społeczeństwa rozwiązywać przy pomocy środków audiowizualnych, dzięki którym obraz i głos mówcy może docierać do nieograniczonego kręgu widzów i zarazem słuchaczy.

Doktrynalne podstawy anarchizmu kolektywistycznego sformułował Michaił Bakunin, niezwykle barwna postać międzynarodowego ruchu anarchistycznego. Myśl Bakunina wynika z krytyki kapitalizmu i burżuazyjnego państwa. Jest wyrazem wolności pojmowanej jako absolut i leżącej u podstaw koncepcji społeczeństwa anarchistycznego. Bakunin nie doceniał pozytywnej roli państwa w społeczeństwie, podobnie i prawa. Nawet gdyby prawa były oparte na najnowszych odkryciach uczonych — twierdził, i tak byłyby niedoskonałe, ponieważ nauki społeczne nie znają prawd doskonałych, a kręgi naukowe przeżera korupcja. Ideał społeczeństwa anarchistycznego pragnął osiągnąć na drodze rewolucji żywiołowych mas robotniczo-chłopskich, wywołanej przez organizację spiskową. Ideał społeczeństwa pojmował jako luźny związek produkcyjnych kolektywów robotniczych w mieście, a na wsi — zrzeszeń chłopskich. Odrzucał własność prywatną, pochwalając równość społeczną jednostek powiązanych solidarnością grupową. Bakunin podejmował liczne próby zorganizowania międzynarodowego ruchu anarchistycznego.

Twórcą anarchizmu komunistycznego jest Rosjanin Piotr Kropotkin, łączący postulat absolutnej wolności jednostki z zasadą wspólnoty środków produkcji i konsumpcji. Wspólnotę komunistyczną pojmował jako związek samorzutnie powstałych stowarzyszeń produkcyjnych. Wierząc w instynkt społeczny mas zakładał możliwość natychmiastowego przejścia do społeczeństwa anarchistycznego. Za główny czynnik rozwoju moralnego ludzi uznawał „pomoc wzajemną”, a nie prawa i walkę polityczną. Znalazł wielu zwolenników w Europie, Azji i Ameryce Łacińskiej. Jego idee przewijały się w Rewolucji Październikowej. W II połowie XX wieku rozwijali je m.in.: Aleksander Berkman, Herbert Read, William Morris, Dorota Day, Ammon Hennacy.

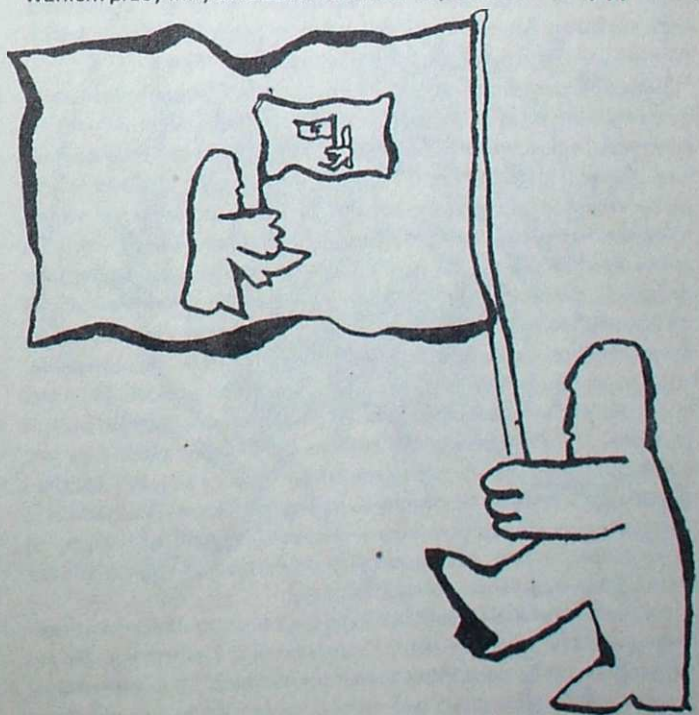
Ojczyzną anarchosyndykalizmu była Francja i francuskie związki zawodowe, a nadto Włochy i Hiszpania. Anarchiści wydalani z partii marksistowskich szukali wówczas oparcia w związkach zawodowych, przypisując im rolę partii politycznych. Uderzali w burżuazyjne zasady demokracji i parlamentaryzmu, sprzeciwiali się reformizmowi i rewizjonizmowi, nie godzili się na aprobatę socjalizmu i komunizmu. W okresie międzywojennym i później antykomunizm łączyli z antyradzieckością. Głównym teoretykiem anarchosyndykalizmu był Francuz Georges Sorel. W odróżnieniu od innych wersji anarchiz-

mu anarchosyndykalizm nie odrzuca bez zastrzeżeń wszelkiej władzy państwowej, ani też nie akceptuje w pełni indywidualizmu. Opiera się na szczególnej formie struktury społecznej — syndykatach — i zawiera opis ich organizacji. Jej sednem jest zastąpienie zarządzania ludźmi w procesie produkcji zarządzaniem rzeczami. Idee anarchosyndykalizmu odrodziły się obecnie w państwach postkomunistycznych, m.in. w Polsce, ale jak dotychczas nie odgrywają większego znaczenia.

Po II wojnie światowej nastąpił znaczny rozwój piśmiennictwa anarchistycznego, upowszechniającego idee tej doktryny politycznej. Ukazało się bardzo wiele książek, niemaly wpływ wywierają periodyki anarchistyczne: szwajcarski „Le reveil anarchiste”, francuski „Le Liberation”, włoski „Volonta” i wiele innych. Niepokoje studenckie lat sześćdziesiątych ożywiły bardzo rozwój współczesnej myśli anarchistycznej. Wyrażały ją obok książek i czasopism dokumenty typowe dla wielkich ruchów społecznych — programy, manifesty, odezwy, deklaracje etc.

Dla współczesnej myśli anarchistycznej podstawowym zadaniem pozostaje określenie jej stosunku do zachowującego poważne siły liberalizmu i gwałtownie słabnącego ostatnio socjalizmu. Anarchizm ukształtował się w formie dojrzałej później niż liberalizm i socjalizm, obnażając ich niekonsekwencje i wewnętrzne sprzeczności. Podobnie jak liberalowie anarchiści domagają się wolności, podobnie jak socjaliści żądają równości. W odróżnieniu od liberalizmu i socjalizmu anarchiści współcześni uznają wolność i równość za wartości komplementarne. Także odmiennie od obu doktryn anarchiści odrzucają ideę postępu społecznego ponieważ twierdzą, że istotą życia społecznego jest ciągła walka między rządzącymi i rządzonymi, posiadającymi i nieposiadającymi, pragnieniem władzy i pragnieniem całkowitego jej unicestwienia.

Rysem szczególnym anarchizmu współczesnego staje się coraz silniej narastające pragnienie organizacji, ale bez posługujących się jakimkolwiek przymusem autorytetów. Podkreślają, że dobre funkcjonowanie organizacji wcale nie musi wspierać się na władzy autorytetu. Przekonanie to prowadzi anarchistów do odrzucenia instytucjonalizacji organizacji — istnienia szczególnych grup biurokratycznych i menedżerskich zajmujących się wyłącznie organizowaniem pracy innych ludzi. Anarchiści współcześni rozwijają własną





Jarosław Koziara: „Guernika po polsku”, malowidło na płocie okalającym budowę obiektu KUL w Lublinie; około 205x450 cm, 1989 r. Ten pastisz znanego obrazu Picassa już nie istnieje. Został zlikwidowany przed wizytą kanclerza Kohla w uniwersytecie.

teorię organizacji, co na pozór wydawać się może paradoksem. Sprzeciwiając się istnieniu profesjonalnej władzy w organizacjach, przyznają ich społeczną niezbędność. Miałyby to być organizacje dobrowolne, funkcjonalne, małe, elastyczne w czasie i przestrzeni. Anarchistyczna teoria organizacji wypiera coraz bardziej anarchistyczne koncepcje porządku spontanicznego.

Do głównych zadań anarchistycznej koncepcji organizacji miałyby należeć rozwiązywanie problemów pracy i własności. Anarchiści przyznają, że zdecydowana większość rodzajów pracy odznacza się nieprzyjemnym charakterem. Zadaniem organizacji jest nadawanie pracy charakteru przyjemności. Ale organizowanie pracy winno należeć do samych pracujących, przywiązujących większą wagę do spraw konsumpcji niż do opartej na ascetycznych wyrzeczeniach produkcji. Według współczesnych anarchistów prawo własności określonej osoby do określonej rzeczy nie powinno zależeć od jej samodzielnego wyprodukowania, kupna, darowizny, dziedziczenia, znalezienia itp., lecz wyłącznie od uzasadnionych potrzeb. Potrzeba jednostki jest uzasadniona, jeśli jest większa od potrzeb innych jednostek. (Jeśli mam kromkę chleba, ale ty jesteś głodny — jest twoja; jeśli mam płaszcz, ale ty zmarłeś — jest twój; jeśli posiadam mieszkanie, a ty jesteś bezdomny — mieszkamy razem). Uzasadniona potrzebami własność prywatna jest czymś lepszym od innych jej form, zwłaszcza tych, które rodzą lub wspierają różne formy władzy i uzależniania człowieka przez człowieka.

Anarchiści współcześni, podobnie jak ich poprzednicy, w specyficzny sposób charakteryzują znaczenie wojny i przemocy. Są oni antimilitarystami, ale niekoniecznie pacyfistami. Odrzucają wojnę, ponieważ wiąże się ona z potępieniem przez nich państwem i jego

przemocą. Jednocześnie nie odmawiali uczestnictwa w wojnach, które miały doprowadzić do zniszczenia zniechęconego przez nich państwa — w Rosji, Hiszpanii. Dopuszczają stosowanie przemocy, o ile prowadzi ona jako środek do anarchistycznych celów i wartości. Jednocześnie podkreślają z całą mocą i w odróżnieniu od terrorystów, że każdorazowe zastosowanie przemocy musi być poprzedzone głębokim namysłem.

Zróznicowany jest stosunek anarchistów do spraw wiary religijnej i kościoła. W tradycji anarchistycznej dominował jednak ateizm i antyklerykalizm. Anarchiści zwracali się zarówno przeciwko państwu jak i kościołowi, przeciwko władzy świeckiej i boskiej. Odrzucanie władzy boskiej pozwalało lekceważyć władzę świecką. Większość anarchistów współczesnych pochwała postawy racjonalistyczne, humanistyczne, agnostyczne, świeckie. Jednocześnie zawsze istnieli anarchiści głęboko religijni, wypychani wszakże poza główny nurt anarchizmu (np. Tolstoj w Rosji, ruchy katolickie robotników amerykańskich w latach trzydziestych naszego stulecia, niektóre odłamy ruchów Nowej Lewicy Amerykańskiej w latach sześćdziesiątych, odpryski anarchosyndykalizmu we współczesnej Polsce). Także wśród anarchistów współczesnych zdaje się przeważać pogląd, że sprawy wiary religijnej należy pozostawiać w sferze decyzji osobistych jednostki — ani nie narzucania jej, ani nie odwołania od niej siłą i jakkolwiek przemocą.

Sytuując ośrodki anarchizmu współczesnego w świecie należałoby wspomnieć o istnieniu w latach osiemdziesiątych krajowych ośrodków anarchistycznych w ponad 30 państwach kapitalistycznych i ostatnio, po krachu systemu państw socjalistycznych, również w państwach postkomunistycznych. Nie sposób byłoby ustalić ich

pełny wykaz, ponieważ najczęściej działają one nielegalnie. Często rozpadają się po krótkim okresie aktywności, aby zaniknąć lub pojawić się w nowych formach. We Francji ważną rolę odgrywała zdelegalizowana Lewica Proletariacka, nieco mniejszą Rewolucyjna Organizacja Anarchistyczna, a znikomą — wiele innych efemerycznych organizacji, jak np. Ruch 22 Lipca. W RFN niechlubnego rozgłosu nabrała terrorystyczna grupa Baader-Meinhof, zwana też Frakcją Armii Czerwonej. Szczególnie złą sławę zyskali anarchiści włoscy, zwłaszcza związani z tzw. Czerwonymi Brygadami. W Stanach Zjednoczonych powstała Partia Wolnościowa, przesycająca swój program walki legalnej o społeczeństwo anarchistyczne treściami anarchistycznymi.

Cechą szczególną twórczości anarchistów francuskich jest żywa reakcja na przemiany społeczne i polityczne w świecie współczesnym. Francuz Fonteni w „Manifeście wolnego komunizmu” (1952 r.) zawarł ostrą krytykę marksistowskiej wersji komunizmu i praktyki budownictwa socjalistycznego, przeciwstawiając im własną wizję społeczeństwa anarchistycznego. Maurice Juayan w pracy „Anarchia a współczesne społeczeństwo” (1969 r.) zadanie realizacji przesyconej duchem anarchizmu koncepcji liberalnego socjalizmu przekazuje intelektualistom. Inny anarchista francuski w swoich książkach skoncentrował uwagę na obnażeniu słabości podstaw teoretycznych marksizmu-leninizmu. Natomiast bracia Daniel i Gabriel Cohn-Bendit atakowali zarówno liberalizm jak i socjalizm, struktury kapitalistyczne i socjalistyczne. André Gorz ukazywał totalitarne, biurokratyczne, technokratyczne i partyjne deformacje w państwach socjalistycznych jako koronny argument na rzecz przejścia do społeczeństwa anarchistycznego.

Te i podobne wątki rozwijają liczni autorzy anarchistyczni w innych państwach europejskich, głównie Niemczech Zachodnich, Włoszech, Szwajcarii, Hiszpanii.

Odrębnymi drogami przebiega rozwój anarchizmu współczesnego w Stanach Zjednoczonych. po pierwsze, postępuje tam ciągle rozwój tzw. anarcho-kapitalizmu, zwanego też libertanizmem lub minimalizmem, który nie dążąc do całkowitego unicestwienia władzy państwowej domaga się poważnego jej ograniczenia. Rzecznikiem tych idei jest wspomniana już Partia Wolnościowa, występująca w imieniu obrony praw człowieka, własności prywatnej i liberalizmu ekonomicznego. Po drugie, pojawiło się tam wielu twórczych myślicieli, ukazujących w szerokiej perspektywie historycznej i współczesnej najbardziej znaczące problemy świata. Wśród nich najbardziej oryginalny jest nurt teorii feministycznych, zwany anarchofeminizmem, rozwijany m.in. przez Voltairine de Cleyre i Dorothy Day, w nawiązaniu do sławnej anarchistki Emmy Goldman. Do ciekawych rezultatów doprowadziło przeniesienie treści anarchistycznych na grunt science fiction, głównie przez Poula Andersona i Ursulę K. Le Guin.

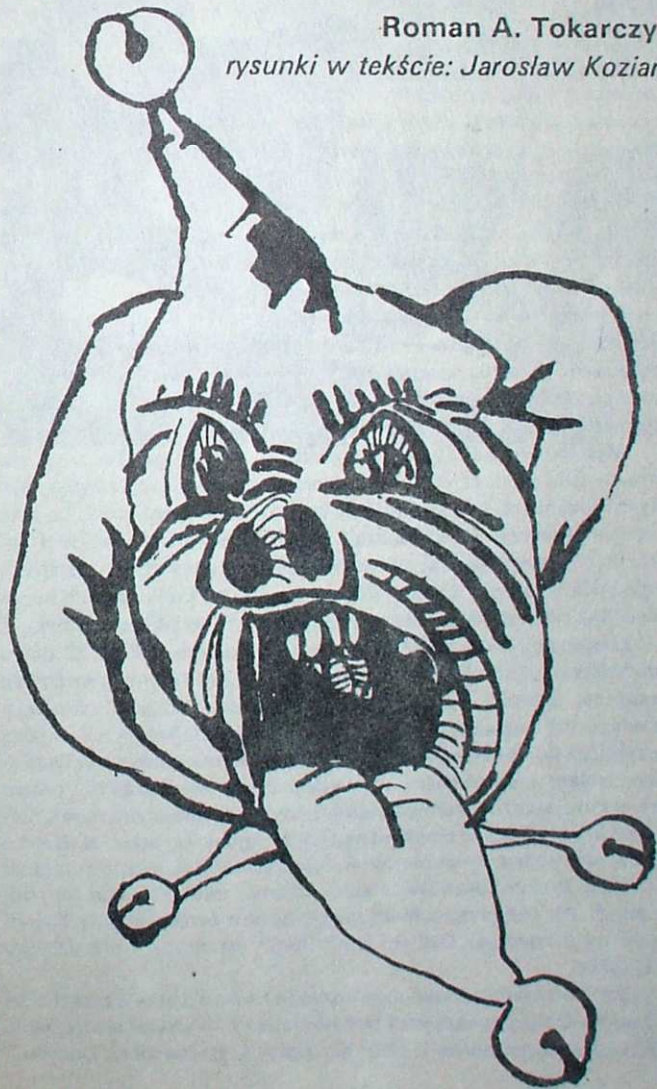
Rozbieżności organizacyjne i koncepcyjne poszczególnych ośrodków współczesnego anarchizmu usiłują przewyższać ich centra międzynarodowe. Ale charakter międzynarodowy zyskały tylko Federacja Anarchistów i Międzynarodówka Sytuacjonistów. Ta pierwsza ma swoją siedzibę w Londynie. Działa za pośrednictwem Komisji Wykonawczej organizującej nieregularnie kongresy anarchistów, z których największy — piąty — zwołany w 1968 r. do Carrary, nie doprowadził ani do oczekiwanego ich zjednoczenia, ani też sformułowania wspólnego programu działania. Ta druga, powołana w 1957 r., ma podobne ambicje jak Federacja Anarchistów i podobne też, nikłe znaczenie polityczne. Mówiąc o słabości organizacji anarchistycznych trzeba jednak pamiętać, że dobrze zorganizowany, z silnymi ośrodkami władzy ruch anarchistyczny byłby sprzecznością samą w sobie.

Współcześni anarchiści, na ogół akceptując podstawowe założe-

nia wcześniejszych koncepcji anarchistycznych, mniej uwagi poświęcają zagadnieniom teoretycznym. Koncentrują się na próbach konstruowania programów społeczeństwa anarchistycznego i nie zawsze sensownych próbach praktycznej aktywności politycznej. W dużym stopniu trafne jest twierdzenie, że współczesny anarchizm to bardziej zestaw luźnych postulatów i idei, niż zwarta doktryna polityczna. Podczas gdy wcześniejsi anarchiści dążyli do pewnego zrównoważenia treści krytyczno-destruktywnych z treściami apologetycznymi-konstruktywno-pozytywnymi, to anarchiści współcześni rozwinęli przede wszystkim te pierwsze. W anarchizmie współczesnym silnie zarysował się antykomunizm i antysowietyzm, w mniejszym stopniu wątki antykapitalistyczne.

Doktryna anarchizmu jako źródło ruchów z niej wyrastających zyskała dość ograniczone grono zwolenników. Wynikało to głównie z jej przeciwstawiania się dwóm dość utrwalonym systemom społecznym i ich ideologiom, z jednej strony kapitalizmowi, z drugiej zaś słabnącemu socjalizmowi. W Polsce rozwój anarchizmu osłabiają jego domniemywane związki z potępianą szeroko złotą wolnością szlachecką i obawa przed obcą interwencją dla mniej lub bardziej uzasadnionego zaprowadzenia wewnętrznego „porządku i ładu”. Anarchizm to przede wszystkim myśl części drobnomieszczaństwa, inteligencji pracującej i studenckiej oraz wąskich kręgów proletariatu rozczarowanego zarówno kapitalizmem jak i socjalizmem. Należy do skrajnych form wyrażania celów i potrzeb politycznych, toteż i w przyszłości może liczyć jedynie na poparcie ludzi zdesperowanych do skrajności, albo w skrajności poszukujących szansy na zaznaczenie swej oryginalności.

Roman A. Tokarczyk
rysunki w tekście: Jarosław Koziara



Pędzel mam, to jestem pan

WITOLD GRABOŚ

JULIAN BAJKIEWICZ był pół roku wcześniej przed Amerykanami na Księżycu.

— Tylko wyczytałem — mówi — że wybierają się na Księżyc, myślę, czekajcie, ja wprawdzie zalecę. Ten obraz szary taki, czarny, brudny, tak jak na Księżycu. Nie można było inaczej, bo nie byłoby jak na Księżycu. Musiał być taki. Ciemno, tam ziemię widać, wisi w powietrzu. Tak mniej więcej kolory podobierałem, żeby to było podobne do kosmosu. Dużo miałem obrazów z kosmosu. Nie takie same, inne, a tu na Księżycu, tam — na Marsie, tam jeszcze jakaś inna planeta... Dawałem swoje kolory, co mi do łba przyszło, ale podobało się.

Podróże w kosmos, podróże w przeszłość i przyszłość, również do miejsc, w których nigdy artysta nie był, ale zna je w każdym szczególe, Bajkiewicz dziś odbywa siedząc w oknie swego domu w Chełmie przy ulicy Lubelskiej, oparty o parapet. To miejsce na ziemi 84-letniego malarza. Cóż, wiek ma swoje prawa. Za oknem trwa ciągle nieustający film, więc ono być musi, bo gdyby go nie było... byłoby drugie.

Mały pokój wystarczy, by wrócić do dawnego zawodu topografa, jednego z wielu, i obliczać kroki. Będzie i wyjście, to rzeczywiste, w plener. Wózek na walizkę Bajkiewicz przerobi, tak, aby mógł się trzymać. — Pojadę w świat, najważniejsze, nie upadnę. Już czuje się skrzydła! Ale nie wiadomo, kiedy to się stanie.

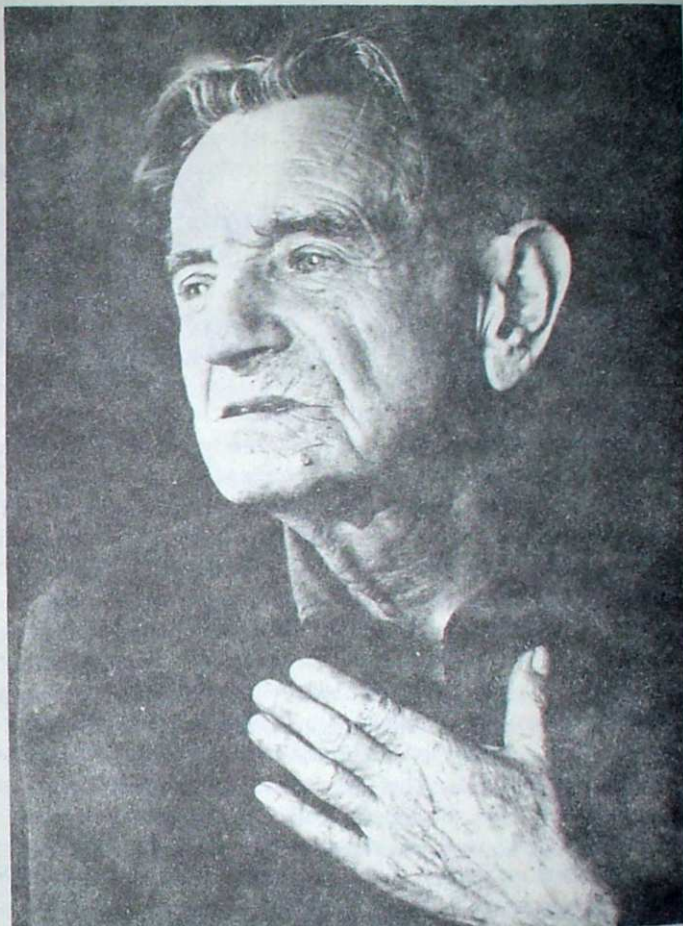
— Wszystko przerabia — mówi córka malarza, Józefa Chmielewska. — Jak ma zapalniczkę gazową do papierosów, to przerabia na benzynową, albo odwrotnie. Wiele rzeczy przy okazji popsuje. To stary psotnik, do rozpacy mnie doprowadza.

A wszystko to przez tę siłę wewnętrzną. — Bo silnie nerwowy — tłumaczy pan Julian — są bardzo spostrzegawczy. Mają więcej wyobraźni, rozeznanie, mają ten dar przez nerwy. Jak ktoś ma do mnie przyjechać, to ja nieswój. Nerwy mi o tym mówią, czuję depeşe po nerwach. Błogosławione nerwy!

Więc on spokojnie nigdy usiedzieć nie mógł. To owa siła wewnętrzna była głównym reżyserem jego burzliwego życia. Syn wolińskiej ziemi, być może zostałby kozackim atamanem, bo jako prymus „Realnowo Uczyliszcza” w Sietrakowie otrzymał w 1916 roku z rąk samego syna imperatora Rosji i następcy tronu „pochwalnoje świaditielstwo” i został skierowany do pułku kozackich kadetów. Rok później wybuchła rewolucja. Kimże to potem nie był...

Żołnierzem, bo w 1922 roku wstąpił jako ochotnik do 28 pułku artylerii w Dęblinie. W wojsku poznał topografię. Potem powrócił do rodzinnej Bindugi, założył rodzinę. Wkrótce przyszła okupacja, a wraz z nią wojenna tulaczka. W 1945 roku Bajkiewicz z rodziną przyjeżdża do Chełma. Wcześniej próbuje być urzędnikiem w Dubieńce, potem rachmistrzem w nadleśnictwie w Rejowcu, potem leśniczym, jeszcze potem pracuje w urzędzie melioracyjnym w Chełmie. Ale potrafi też na przykład naprawić organy, bo przecież to tylko dudy, nie zegarek — tłumaczy. Kolejarem też był, sędzią kolegium — także. Prokurator mówi: „Panie Julianie, trudno będzie się nam rozstać”. Ale cóż, ja ogłuchłem, nie słyszę co mówi oskarżony, ławnik musi mi tłumaczyć. Dali mi Złoty Krzyż na drogę i idź dziadku z Bogiem.

Od 1960 roku Bajkiewicz ze względu na stan zdrowia przechodzi na rentę. Święty spokój miał być lekarstwem — okazał się trucizną. „Błogosławione nerwy” stały się udręką. Bajkiewicza „nosiło”.



Ratunku szukał u lekarzy.

— Chodziłem do doktora Dankiewiczza — wspomina. — On mi daje takie pastylki, takie... Nareszcie zachodzę, może dwudziesty raz, a on mówi:

— Panie Bajkiewicz, koniec, niech pan nie przychodzi.

— Jak to — pytam — pan nie chce mnie leczyć?

— Ja chcę pana leczyć — on na to — ale rzuć pan wszystkie leki, bo się pan zatruje.

— A co mam robić?

— Niech pan idzie malować.

Wtedy Bajkiewicz zaczął zastanawiać się, że ktoś tu jest durny, albo on, albo lekarz. Był pewien, że chodzi o malowanie mieszkań.

— Panie, dla pana dobra — wyjaśnił lekarz. — Kup pan za 5 złotych pudełko akwareli, pędzel, blok i niech pan spróbuje.

I tak się zaczęło drugie życie Bajkiewicza.

— Poszedłem, kupiłem, wziąłem ćwiartkę dla odwagi. Pierwszy obraz — na nic! Pokazuję żonie, a ona: — Coś ty namalował? Poszedłem drugi raz, trzeci, coś mnie złapało, przeinaczyłem się, inaczej widzę, oczy inne. Wracam, maluję, pytać nie mam kogo. Jak zacząłem malować, to mi przeszło. Nerwica zrobiła ze mnie malarza.

Najlepiej uspokajało mnie to, że wyjdę, popatrzę, wracam do domu, przypominam, ale nie maluję tego. Bo jak bym namalował kropka w kropkę — to na nic. Bo tu było ładnie, ale krzak stoi przed tym. Myślę sobie, cholera, ty durny, to ty krzaka nie maluj, tylko to, co ładne. Tak siebie ucę. I to dobrze zrobiłem, bo gdybym słuchał innych...

Bajkiewicz nie słuchał innych, ale i sobie nie dowierzał. Z duszą na ramieniu jechał na pierwszą wystawę do Lublina w 1963 roku.

— Jechało nas z Chelma czterech. Jeden z nich pokpiwa, gdzież mnie na wystawę, wnuki pilnować! Ja — w kącie, wstydę się. Skończyli przemawiać, ja nie bardzo słyszę, teraz nagrody. Pierwsza nagroda — pan Julian Bajkiewicz! Co to, cholera? Ja nieśmiało, daję 50 złotych i dyplom. Eee, opłaciło się!

Rok później praca Bajkiewicza zostaje wyróżniona na VII Międzynarodowej Wystawie Sztuki Amatorskiej Kolejarzy w Galerii Balzaca w Paryżu. Jego prace za pośrednictwem „Desy” trafiają na wiele zagranicznych wystaw, do drzwi pana Juliana zaczynają pukać zagraniczni goście, przyjeżdżają ekipy telewizji niemieckiej. „Wielkiemu Artyście serdeczne pozdrowienia” — piszą we wrześniu 1969 roku członkowie ekipy telewizyjnej z Köln. Pan Julian przyjął ich gościnnie, grał na gitarze, śpiewał ukraińskie dumki. — Palce już nie do gry, pocierpły, na nic, na szmelc — mówi.

„Na granicy sztuki naiwnej plasowały się obrazy emeryta leśnika z Chelma, Juliana Bajkiewicza, który wytrwale doskonalił swój warsztat i na obecnej wystawie pokazał chyba najciekawszy zestaw prac dobrych w kolorze, poetyckich i cieszących oko naiwnością szczegółów” — recenzuje jedną z ekspozycji z 1972 roku Aleksander Jackowski.

Bajkiewicz już nie tylko jest artystą, ale i czuje się artystą świadomym swej sztuki. przeżywa swe wielkie dni, wchodzi w czas niespodziewany, dany mu przez sztukę. W miarę gdy starość czyni go niewolnikiem czterech ścian swego pokoju, przestaje dbać o drobne zaszczyty, zrywa z „Desą” i dobrze jej nie wspomina, maluje obrazy głównie dla siebie, niech zostaną w kraju. I pozostaje nadal panem wyobraźni.

— Pędzel mam, to ja jestem pan, maluję jak chcę. Te malowidła dają mi życie.

Niewielki pokój — pracownia, ściany obwieszane obrazami, a każdy to inna historia rzeczywista, lub tylko z wyobraźni, ale też prawdziwa. Tu obóz w Birkenau. (— Nie widziałem tego, ale to tak wygląda według mnie. Tam są męczennicy Polacy w pasiakach, gonią ich Niemcy, a tam się pali — krematorium.) Tu surrealistyczny nieco pejzaż, ale wyrazisty, naiwnie realistyczny, choć niebo jest żółte, żółta woda, a w głębi wysepka z drzewami — czerwona. (— Nie chcę naśladować innych, daję swój rysunek, swoje kolory. Dlaczego ten obraz w żółci i czerwieni? No, ale ładny! Amatorów było wielu!) Tu Włodawa, w której nigdy nie był. Tu temat z „Dewaj-tisu” Rodziewiczówny. (— Nie byłem nad Niemnem i nie będę, ale trzeba sobie uzmysłowić.) Jest i rodzina Binduga, odtworzona z pamięci. (— Czterdzieści lat jak wyjechałem z Bindugi, a udała mi się, jak fotografia. To ciężka sprawa przedstawić sobie każdy szczegół. Te kreseczki czarne na dachu to dlatego, że dachówkami kryty. A można było czerwoną farbą posmarować i co by było? Albo ten młyn gontami kryty. Widać tę robotę.) Tu znów piękne norweskie fiordy. Jest i apokalipsa, koniec świata, zagłada. (— Jak będzie koniec świata, to będą wulkany, wybuchy. Baby powylaływały niepoubierane, bo to w nocy. Dlaczego tylko baby niepoubierane? Bo chłopci zdążyli się ubrać.)

Dziesiątki obrazów i cały bajeczny nieco świat Bajkiewicza w jednym pokoju. I on sam ciągle niespokojny, ruchliwy, choć nogi odmawiają posłuszeństwa.

— Muszę coś robić, jak nic nie robię — to ja trup. Trzy groszy nie wart. Ja nie mogę spać, myślę całą noc. Ile to obrazów przejdzie przez moją głowę przez noc. I takie i owakie. Tylko namalować, wydobyć z tego mego lba.

Gdy podjąłem drogę i wiem jak kolory dawać, to idę po tej drodze. Można wodę namalować zieloną, a niebo czerwone, tylko trzeba

umieć. Trzeba dopasować kolory tak, żeby wyskakiwały. Co innego Księżyc, tam życia nie ma.

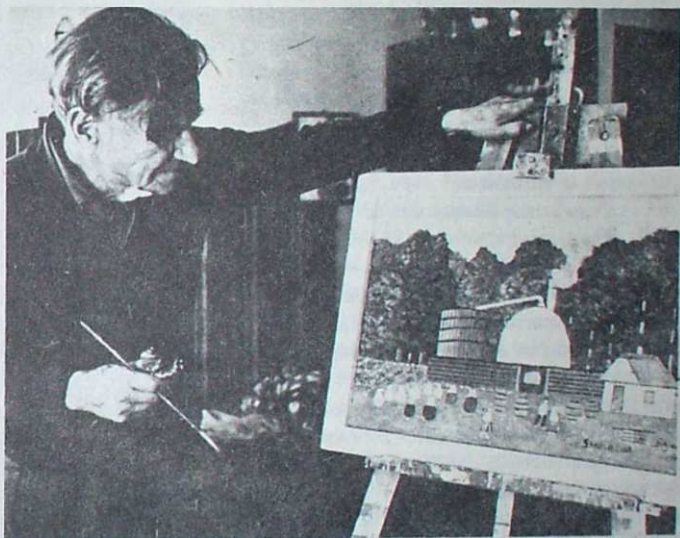
Tylko dwóch malarzy było, ja ich uznaję. Van Gogh, choć się zastrzelił, ale był artystą, a dookoła niego — barany, nie znali się na sztuce. A Leonardo da Vinci powiedział mądre słowa, że obraz będzie wtedy dobry, kiedy powie sam za siebie. Tu bracie nic nie przeinaczysz! Próbowałem kopiować — nic nie wyszło! Idę czyją drogą, a ona — skręca.

Do namalowania jeszcze tyle, ale i wzrok coraz gorszy. Duch wprawdzie ochoczy, tylko ciało... Wiele prac dopiero zaczętych, wśród nich chelmski dworzec PKP, ten zburzony przez Niemców. — Po cholere mi go malować, tam tyle okienek — tłumaczy Bajkiewicz. To problem namalować owe drobne szczegóły, gdy w oczach rozmazują się i trzeba długo patrzeć, czy są tymi, o które chodziło.

Tak naprawdę nic mu już nie trzeba, może tylko tego miejsca przy oknie i jeszcze — jak żartobliwie dodaje — papierosa i kieliszek wódki (— Pół szklanki wódki to tyle co kilogram kielbasy, po cholere mam jeść kilogram kielbasy, żebym się zatruł?) Gdyby tylko nie ta siła wewnętrzna, która go nadal nie opuszcza i znowu staje się groźna.

— Ja się jej boję — mówi. — Bo jak wezmę pędzel to mnie już trzyma. Lekarz powiedział, że mogę się przewrócić i koniec.

WITOLD GRABOŚ



Weterynarz i muzy

HENRYK RADEJ

Biesiada literacka „U progu Kresów” trwa już kilka godzin. Większą jej część poświęcono Krzemieńcowi i jego wybitnym obywatelom. Duch Słowackiego i poezji zaprzął bez reszty umysły i serca zebranych. Wśród nich jest Władysław Surowiecki ze wsi Czulczyce koło Chełma. Jego nie mogło tu zabraknąć. Poproszony o udział w turnieju jednego wiersza, wstaje i... recytuje prawie z pamięci:

Glusza

*Odjechały nasze tabory
z wróżbami*

*W szklanej kaplicy
Nieme brewiarze
I świerszczy zamilkłe
kantaty*

*Lopuchy nad jarem
Miedza garbata
Wymiecione z uśmiechu
podwórce*

*Przed ciszą świątyni
Siwa starość
z kosturem*

Ech, moje ty Podole...

Przez moment na sali panuje cisza, którą burzy przejeżdżający szosą samochód. Potem brawa, długie brawa dla autora. Za ten wiersz Władysław Surowiecki otrzymuje główną nagrodę w postaci pięknie wydane-go albumu reprodukcji Ermitaża. Oglądam rękopis wiersza, pod którym widnieje dzisiejsza data. Tak więc napisał go tu, na tej sali, między nami zanurzonymi w historii Rzeczypospolitej. Ktoś żartuje, że Surowiecki „to największy poeta wśród weterynarzy i najlepszy weterynarz wśród malarzy”. A on jest naprawdę szczęśliwy. Szczerze cieszy się z albumu, bo malarstwo (obok poezji) jest też jego pasją.

*

Od strony włodawskiej szosy dom państwa Surowieckich jest niewidoczny. Zasłaniają go rzędy świerków i stary sad, a tuż przed gankiem — soczysty baldachim winogronu. Przez otwarte okno pachną świeżo pieczone placki: zwykły wiejski dom z typowym obejściem, gdzie pasą się krowy i ujada pies.

Wewnątrz osacza mnie inny świat. Pokój gościnny — to jedno wielkie muzeum życiowej aktywności Władysława Surowieckiego, skansen pamiątek i drobiazgów potrzebnych na co dzień. Ściany obwieszane są obrazami, na stole kosz pisanek z gęsich jaj. Stosy książek i gazet piętrzą się na półkach

i szafkach. Niżej, ponad setką płyt gramofonowych z muzyką organową i folklorem, jakaś mandolina, dwie balalajki i czarne pianino. Raz po raz coś się osuwa na podłogę. Za łóżkiem blejtramy maskują stos „Przekrojów” z lat czterdziestych. Wszystko to przemieszane jest z butelkami medykamentów, pudelkami maści i weterynaryjnych utensyliów. Nie mam złudzenia, że ten pokój najlepiej oddaje charakter życia Surowieckiego.

Na szczęście chaos okazuje się pozorny. Gospodarz z zadziwiającą pewnością trafia na potrzebne dokumenty i materiały. Po godzinie, nie tylko stół, ale kanapa, łóżko i krzesła obłożone są efektami jego benedyktyńskiej pracowitości.

*

Władysław Surowiecki urodził się 14 czerwca 1917 roku w Skalacie nad Zbruczem w województwie tarnopolskim. Z wczesnego dzieciństwa niewiele pamięta. Jakiś dworek, parkową aleję i psa, przed którym uciekało jakieś zwierzątko. Ojciec był administratorem majątków i często rodzina zmieniała miejsce pobytu. W ciągu kilku lat poznali Podwołoczyska, Podhorce, Brylińce, aż osiedli na dobre w Poddębach koło Dębicy. To już była prawie centralna Polska, do tego dawna Galicja.

Zarządzanie majątkami było ich rodzinną tradycją. Dziadek ze strony matki Władysława, Ignacy Żaba, nadzorował w XIX wieku dobra hrabiego Aleksandra Fredry. W wolnym czasie komediopisarz zlecał mu także przepisywanie swoich sztuk. Podobno w spuściźnie Fredry w Bibliotece Miejskiej w Rzeszowie można znaleźć informacje o tym dziadku i jego pracy. Władysław Surowiecki wie o tym z listów od swego starszego brata. Koniecznie musi znaleźć teraz trochę czasu i pojechać do Rzeszowa zrobić odpisy.

Oglądamy zdjęcia.

— Ten chudy, wysoki w okularach, to jestem ja. W dębickim gimnazjum należałem do Sodalicji Mariańskiej i miałem w rodzinie dwóch księży. Wuj i wszystkie ciotki ze strony matki również i mnie widziały w sutannie. Mówiły: „z ciebie Władziu byłby dobry ksiądz, miałbyś piękne kazania, jesteś przystojny...”. Ale w 1935 roku umarł nasz ojciec i zaczęło się ciężkie życie.

Jednak Władysław nie chciał być księdzem i nie czuł powołania. Za to ciągnęło go do sztuki. Lubił malować i muzykować. Ce-

chy te odziedziczył po matce, która była kobietą dobrą, pracowitą i wrażliwą na piękno. Sama lubiła malować, choć nie miała na to zbyt wiele czasu. Z tułaczki przez wszystkie lata wojenne i powojenne ocalił Władysław jeden jedyny obraz, który malował razem z matką. Przedstawia on kobietę tulącą do siebie syna.

A z muzykowaniem to było tak. Z Poddębów blisko było do centrum miasta i Surowieccy reperowali swój budżet domowy wynajmowaniem części domu na stancję dla uczniów. Mieszkały w niej różne typy. Aż kiedyś wynajęto ją braciom Mazurom ze Staszowa, którzy grali na mandolinach. Potem dołączył do nich Józek Piech ze skrzypcami. Wesole to było towarzystwo. Wieczorami zarabiali w kinie przygrywając do niemych filmów razem z młodym Żydem Sznajderem. Oni nauczyli Władysława podstawowych chwytów muzycznych i elementarza muzyki. Dalej pozostawało mu samokształcenie.

Sztuka sztuką, ale trzeba było zdobyć jakiś konkretny zawód. Uradzono, że najlepsza będzie medycyna, bo w tym względzie rodzina miała pewne możliwości. Z listem polecającym stawił się więc Surowiecki u rektora Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Po zdanych egzaminach zamieszkał w akademiku na ulicy Stalmacha. Od tej pory Lwów stał się jego miłością. Temu miastu poświęcił po latach wiele wierszy i wspomnień.

Z czasem, trzeba było w tej miłości znaleźć trochę miejsca dla narzeczonej, a obecnej żony. Ślub Władysława Surowieckiego z panną Kazimierą Szulc odbył się 14 lipca 1940 roku w Sniatynie, leżącym na historycznym pograniczu polsko-rosyjsko-rumuńskim. Uroczystości celebrował ksiądz proboszcz Leopold Kościński, który zmarł później więziony na Zamku w Lublinie.

Mijał rok od września 1939 roku, kiedy Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej znalazły się pod okupacją sowiecką. Surowieccy, tak jak i inni, otrzymali dwujęzyczne, rosyjsko-ukraińskie paszporty, będące raczej dowodami osobistymi niż dokumentami do dalekich podróży. Władysław ma swój do dziś. Nie oddał go nawet w Polsce, wbrew poleceniom władz. Zachował „na wieczną rzecz pamiątkę”.

Po roku urodził im się pierwszy syn — Kazimierz Ignacy Maciej. Dwa ostatnie

imiona to po dziadach, bowiem Władysław ustalił genealogię rodziny aż do czwartego pokolenia wstecz, sięgając do XVIII wieku. Kolyskę dla pierworodnego też sam wykonał, misternie rzeźbiąc i malując drewno. Dziś tylko na zdjęciu można podziwiać sztukę autora.

Coraz częstsze były wędrowki Władysława po trasie Śniatyn — Lwów, liczącej prawie 180 km. Bezwzględnie musiał ukończyć weterynarię, a rodzina też wymagała czasu i troski. Drobnym handelem zwracał część kosztów. Żarówkę i bibulkę na papierosy kupował we Lwowie i sprzedawał w Śniatynie. Mój rozmówca przymyka oczy i wymienia kolejno wszystkie większe stacje: Lwów, Parskówka, Chodorów nad Dniestrem, Staniaławów, Kołomyja, Zablotów, Zalućze — Śniatyn i Śniatyn. Dalej była granica rumuńska.

W 1942 roku Surowiecki otrzymał dokument absolutorium, bo Niemcy nie dawali dyplomów ukończenia studiów. Znając do-

brze język niemiecki, bez trudu otrzymał posadę weterynarza w Zalućzu, któremu podlegały 22 folwarki.

— Bardzo dobrze pamiętam czasy dworskie. Czy były one dobre, czy niedobre? — to zupełnie inna sprawa. Zawód weterynarza bardzo pasował mi do dworu, bryczki, polowań (do zajęcia bym nie strzelał). Poza tym: konie, para koni, pies, dubeltówka dla fasonu, jakiś instrument, zespół, porysować sobie... To sama radość!

Niewiele z tej wizji spełniło się Surowieckiemu. W 1944 roku weterynarz powiatowy wyjechał razem z uciekającymi Niemcami. On został razem z rodziną żony. Zresztą, dokąd mieli uciekać? Na tych ziemiach mieszkali od pokoleń. Po przejściu frontu zjawili się prawie ci sami sowieccy urzędnicy, którzy byli tu już w 1939 roku. Nie mając wyjścia, zatwierdzili Surowieckiego jako starszego weterynarza.

Jednocześnie rozpoczęły się masowe wiece i namawianie Polaków do wyjazdu.

Jechać? — nie jechać? — miotali się wszyscy. Po pierwszych transportach również Surowieccy z całą rodziną żony wpisali się na listę „repatriantów”. Spakowano nawet meble, ale na stacji im odebrano. Byłe jakiś dobytek mieścił się w kilku pakunkach skrzętnie odnotowanych przez urzędników w papierach. Bardziej zaufanym parafianom ksiądz proboszcz rozdawał naczyńka liturgiczne i przedmioty kultu. Władysław dostał kielich mszalny i złotą monstrancję, wysadzaną drogimi kamieniami. Ukrył je dobrze i z kozą na postronku zajął miejsce w pociągu. Po kilku dniach dojechali do Lublina. Wmawiano wszystkim, że teraz są w prawdziwej Polsce.

Na ulicy Rusalki w Lublinie mieszkali tylko miesiąc. Koza nauczyła się chodzić po wysokich schodach, a dziecko miało zawsze zdrowe, świeże mleko. Większość Śniatyńczyków z ich transportu osiedliła się w Brzegu nad Odrą. Do dziś jest ich tam sporo. Surowiecki miał do wyboru Białą Podlaskę albo Turobin. Wybrał dalej od Bugu i bardziej urozmaicony geograficznie Turobin w powiecie krasnostawskim. Całą rodzinę dowieziono tam wojskowymi samochodami. Nie przypuszczał, że spędzi tu prawie 15 kolejnych lat swego życia.

Początkowo zamieszkali na piętrze w kamienicy Polskiego. Na dole była piekarnia, przez szosę apteka Grodzkich, plebania i kościół. Osada liźła jeszcze wojenne rany. Turobin nękały częste wizyty UB. Potem nawet w biały dzień od strony Huty i Olszanki przyjeżdżali „partyzanci”. Trudno było się w tym połapać. Spokoju nie dawał ukryty kielich i monstrancja. Teściowa, która była bogobojną kobietą, wzięła to wszystko i zaniósła na przechowanie do księdza Wincentego Pawelca. Po latach odzyskała z trudem tylko kielich, który następnie przekazała parafii w Brzegu. O monstrancję dopominali się także sami Śniatyńczycy ze swoim księdzem, ale bezskutecznie. Do dziś los jej jest nieznan. Kanonik Pawelec zmarł w 1970 roku i tajemnicę zabrał najprawdopodobniej do grobu. Surowieccy do dziś pamiętają 6 (a może 8) dużych, pięknych kamieni szlacheckich w podstawie monstrancji.

Środowisko Turobina dobrze przyjęło młodego weterynarza i jego rodzinę. Oprócz pracy, resztę dnia i wieczory wypełniało życie towarzyskie. Elitę środowiska stanowili: ksiądz kanonik, aptekarz, kierownik szkoły, lekarz i sędzia. Wzajemne wizyty składano sobie w święta. Charakter tym spotkaniom nadawali: aptekarz Feliks Grodzki z córką Zosią i sędzia Bolesław Binięda. Ten ostatni, idąc ulicą przez cały czas trzymał kapelusz nad głową, odwzajemniając ukłony przechodniów. Poza tym śpiewano w kościelnym chórze, a nocami gaszono wybuchające tu często pożary.

Po krótkim czasie Surowieccy przenieśli się do Majewskich, a potem wynajęli cały





Rysunek Władysława Surowieckiego „Huculka z żabiego”, 1989

dom u Baranowskiego, który potem powiesił się w swojej kamienicy. Mówiono, że miał parę grzechów na sumieniu jeszcze od wojny i to go męczyło.

Władysław postanowił wreszcie uhonorować swoje wykształcenie. W tym celu pojechał w 1948 roku do Wrocławia, skąd przywiózł dyplom Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu i spotkał prof. Zygmunta Markowskiego, który uczył go we Lwowie.

W tym samym czasie dał się porwać muzyce i pracy w zespołach amatorskich. Uczył śpiewu i rysunków w miejscowym liceum, prowadził szkolny chór świetlicowy, chór męski i zespół mieszany Ochotniczej Straży Pożarnej w Turobinie. Zbierano nagrody i laury na różnych przeglądach artystycznych, a we wrześniu 1956 roku zespół wystąpił na centralnych dożynkach w Warszawie. Władysław najczęściej dyrygował, a przy pianinie akompaniował jego syn trojga imion. Władze weterynaryjne krzywym okiem patrzyły na te „muzyczne ekscesy” swojego pracownika, ostrzegając, że zaniedba obowiązki. Ale nic takiego mu nie udo wodniono.

W 1958 roku przyznano Surowieckiemu ekwiwalent za dobra pozostawione na Kresach. Mieli do wyboru 10 hektarów ziemi w Cycowie, albo w Czulczycach blisko Chelma. Ostatnią dorożką, jaka stała ciągle przy ulicy Lwowskiej, pojechali Surowieccy oglądać oferowane im ziemie. Wybrali Czulczyce, znów ze względu na ciekawszy krajobraz, który przypominał trochę wzgórze nad Prutem i Czeremoszem. W tym czasie mieli już dwóch synów i obrosli w dobytek. Stola-

rze sprowadzeni z Tarnawy Dużej postawili pod okiem majstra Styka nowy dom w Czulczycach, w którym Surowieccy mieszkają do dziś. I dla nich skończyła się wreszcie wojenna tułaczka. Wreszcie osiedli „na swoim”. Posadzili pierwsze drzewa i zaczęli organizować od postaw gospodarstwo rolne.

Ale oto muzy znów upomniały się o dużą weterynarza. A może to on zatęsknił za nimi? Postanowił uzupełnić swoje muzyczne fakultety. Zapisal się do Średniej Szkoły Muzycznej w Lublinie. Uczyli go m.in. Natanek i Dębowski. Egzamin ze specjalnością dyrygentury zdał w 1964 roku. Zdających było dziesięciu, a w komisji 12 osób. Mając odpowiedni dokument mógł spokojnie kontynuować nauczanie muzyki w szkole w Leśniowicach, gdzie był też weterynarzem.

Z tego okresu najbardziej pamięta skrzypce, które wręczono mu w uznaniu za pracę, oraz dwa bilety miesięczne schowane oddzielnie do lewej i prawej kieszeni marynarki. Taki podział gwarantował codzienną jazdę bez pomyłek i awantur z kontrolerem.

Komu by się chciało jeszcze uczyć? Ale Władysław był twardy. Jeśli tylko nadarzała się okazja, akceptował ją i uczył się dalej. Tak w 1969 roku ukończył zaocznie, z wynikiem bardzo dobrym, zootechnikę w Wyższej Szkole Rolniczej w Lublinie. Teraz mógł wreszcie zająć się plastyką. Do tej pory był malarzem niedzielnym i samoukiem pod każdym względem. Zgłosił się więc na kierunek „wychowanie plastyczne” w Studium Nauczycielskim w Chelmie. Uwieńczył naukę pracą dyplomową, w której szczegółowo przeanalizował każdą dziedzinę sztuki ludowej powiatu chełmskiego. Uzyskał oceną bardzo dobrą, ale do tej pory nikt nie zainteresował się bliżej jego badaniami. Pokażnych rozmiarów księga jest bogato ilustrowana zdjęciami i rysunkami wykonanymi przez autora.

Był rok 1974. Władysław Surowiecki miał już 57 lat. W tym roku po raz pierwszy wyjechał zobaczyć Kresy swojej młodości. W tym samym zmarł starszy syn, który dziedziczył imiona po dziadach.

— Żona ciągle uważała, że na to wszystko co robię, to szkoda czasu i pieniędzy. A wszystko kosztowało: podróże, papier notowy, ołówki, brystol, płótna i farby. Ale ja uważałem inaczej. Pewnie, że żyłbym jakoś i bez tego. Moja matka powtarzała, żeby uczyć się, gdy tylko można, bo wszystko może się w życiu przydać.

Milczymy przez chwilę przeglądając pamiętkowe albumy i plik dyplomów z różnych imprez artystycznych.

— Ktoś lubi kawę, zabawy, gry w karty, albo ruletkę. A mnie odpowiada muzyka, rysowanie, poezja i dostęp do wiedzy. W latach siedemdziesiątych ukończyłem jeszcze trzy kierunki WUML-u.

Na poparcie tych słów przedkłada mi przed oczy stosowne zaświadczenia: z poli-

tyki gospodarczej PRL, ze spraw międzynarodowych oraz zagadnień filozofii i socjologii. Polityką Władysław interesował się od dawna. Lubił przewidywać, wyciągać wnioski z historii. Nie wstydzi się tych kursów wieczorowych, bo one „co nieco mi wyjaśniły w tych sprawach”.

Potem chodził jeszcze, jako jedyny mężczyzna, na kurs hafciarstwa. Widział w tym znakomitą szkołę rysunku, operowania linią. Z czasem sam wyhaftował obrus i kilka serwetek. To dlatego, że woli rysunek niż malarstwo. Często szkicuje, rysuje tuszem. Porzucił nawet fotografowanie, które stało się dla niego umiejętnością nazbyt mechaniczną. W plastyce ceni realizm, ale uduchowiony i nieco symboliczny.

Wreszcie poezja. Wierszy napisał dużo. Niektóre z nich drukowano w gazetach. Chciałby pojechać jeszcze do Brzegu i przeczytać Śniatyńcykom swój „Poemat repatriacyjny”.

— Nie wszystko da się narysować albo zagrać. Poezja też musi powstać z przeżycia. Jak człowieka coś dusi, wtedy powinien pisać o tym, jak jest mu źle.

Czy jest zadowolony ze swego życia?

— Raczej tak, choć mogło być bardziej przyjemne, w sensie materialnym — odpowiada po krótkim namyśle. — Ale może dlatego szukałem ciągle pociechy u muzy i one pokochały mnie z wzajemnością? — dorzuca po chwili.

Przyszła kobieta ze wsi. Prosi do porodu, bo krowa strasznie się męczy, a Władysław ma rękę długą i chudą. Surowiecki pakuje jakieś przybory do teczki mówiąc:

— Trzeba być grzecznym i trzeba być pracowitym. To też powtarzała moja matka.

Przed domem zatrzymujemy się jeszcze na chwilę pod kaskadą liści winogronu.

— Przywiozłem go ze Śniatyna i to musi mi wystarczyć. Bylem tam i wiem, że teraz nie ma co oglądać. To były piękne strony. Mógłbym je narysować w każdej chwili — powiedział jakby do siebie i poszedł do tej cierpiącej krowy. Wiem, że wolałby pewnie do konia, albo psa, bo to szlachetne zwierzęta.

Henryk Radej

Anna Achmatowa

tłumaczył ZBIGNIEW DMITROCA

Modlitwa

Daj mi gorzkich niemocy lat wiele,
Daj bezsenność i kaszel gruźliczy,
Odbierz dziecko, i weź przyjaciela,
I pieśniany ów dar tajemniczy —
W twej intencji się modłę w te słowa
Po tak wielu już dniach przecierpianych,
Żeby chmura nad Rosją gradowa
Przemieniła się w oblok świetlany.

1915

* * *

Przez cały dzień, własnych się bojąc jęków,
W śmiertelnym smutku tłum się miota z trwogą,
A na chorągwiach żalobnych za rzeką
Złowieszcze czaszki śmieją się złowrogo.
Oto dlaczego śniłam i śpiewałam,
Serce na pół boleśnie mi rozdarto,
I, jak po salwie, cisza wnet nastala,
Śmierć po podwórzach rozesłała patrol.

1917

* * *

Diabeł nie zawiódł. Wszystko się udało.
To są wiadome znaki mocy czarnej.
Serce mi z piersi wyszarpnij i śmiało
Rzuć głodnym psom na pożarcie.
Teraz już na nic w życiu się nie przydam,
Żadnego słowa więcej nie wymówię.
Dziś jest nieważne — przeszłością się chlubię
I udusiłam się w końcu ze wstydu.

wrzesień 1922

* * *

Przywidzenie

Latarni zapalonych wcześniej
Wiszące kule pozgrzytują
I coraz jaśniej, i święteczniej
Śnieżynki błyszczą przelatując.
I przyśpieszając bieg ospały,
Jakby w przeczuciu złym pogoni,
Przez śnieg lecący w dół pomalu
Rwą pod niebieską siatką konie.
I hajduk cały rozłożony
Tkwi sztywno z tyłu sań szerokich,
I dziwnie patrzy car na strony

1919

Tak łatwo można z tego życia odejść,
Pochopnie i bezwolnie cicho zgasnąć,
Ale poecie, który z Rosji rodem,
Nie dane umrzeć taką śmiercią jasną.
Olów psiowierny duszy uskrzydłonej
Niebiańskie przed nią otworzy granice,
Albo ochryply strach sękatym szponem
Z serca, jak z gąbki, wnet wyciśnie życie.

1925

ZBIGNIEW DMITROCA ur. w 1962 roku w Niewirkowie na Zamojszczyźnie. Poeta i tłumacz, autor dwóch książek dla dzieci. Debiutował w „Odrze” w roku 1980. Publikował w zamojskich almanachach środowiskowych, a także w „Autografie” i „Literaturze na Świecie”.

Wiersze Anny Achmatowej pochodzą z wyboru, który ukaże się drukiem w 1991 roku

Lin-Art i zmysły

Właściwie w każdym z nas czai się taki diabełek-estetyczny intelektualista, który na widok dzieła sztuki od razu zachodzi w głowę: co artysta chciał nam powiedzieć, albo wręcz stwierdza, co artysta nam powiedział.

Ta szatańska mania poznawcza, na którą nie ma chyba lekarstwa, wynika zapewne z przeświadczenia, że w istocie świat nie jest taki, jaki jest, zaś artysta to bagażowy wiedzy tajemnej, ezoteryczny mędrzec, ewentualnie szczególne wcielenie tajniaka lub szulera, czyli kogoś, kto świadomie myli tropy, posługuje się sympatycznym atramentem i skomplikowanym szyfrem.

Nie wierząc własnym zmysłom — ostrzegają osoby dotknięte żądzą interpretacji — bo nawet w zwykłych, namalowanych jabłkach może ukrywać się Duch Święty lub Walka Klas. Nic to, że w obrazie widnieją tylko papierówki czy złote renety. Przenikliwy umysł interpretatora przemieni je w system znaków, które z całą powagą wyjaśni w porządku historii idei, albo w porządku własnych egzaltacji intelektualnych, spirytualnych, erotycznych etc. W rezultacie poczciwe jabłko traci swoją zmysłową urodę, w końcu znikają z powierzchni płótna — skonsumowane przez naszego guru. Znika też farba, płótno, blejtram. Znikają wszelkie powody uznania dzieła sztuki za byt realny. Działający jak maszynka do mielenia mięsa, umysł interpretatora zamienia autonomiczną materię obrazu w semantyczną siećkę.

„Pijem aż oślepnem” — namalowano sprayem na murze pewnego budynku w Lublinie. Wzorując się na tej zniewalająco oszczerczej deklaracji, co bardziej zawziętym interpretatorom sztuki proponują hasło mocniej wysmakowane: „Myśłem aż uśniem”.

Naturalnie, od interpretowania dzieł sztuki trudno uciec; zresztą dlaczego miałyby się poniechać czegoś, co bywa pożyteczne, a na pewno jest podniecające. Rzecz w tym, by w trakcie wyjaśniania treści obrazów i innych owoców kreacji zachować odrobinę umiarkowania i zdrowego rozsądku, zahartowanego na przykład w polemice z opinią wynoszącą kilka kresk Henryka Stażewskiego do rangi kongenialnej syntezy pejzażu Kazimierza nad Wisłą.

Ale co to wszystko ma wspólnego z tytułowym Lin-Artem?

Z czym?

Lin-Art to praktykowana idea artystyczna Janusza Przybylskiego, patronująca jego malarstwu, grafice i rysunkom od okolo 1986 roku i wyłożona pod publiczną uwagę także w krótkim tekście, stanowiącym coś w rodzaju lirycznej autobiografii wewnętrznej twórcy, rozwijanej w naturalnym rytmie:

od dzieciństwa do dojrzałości i dalej. Poszczególne sekwencje tego biologicznego rytmu odpowiada, zaznaczona przez autora, zmiana funkcji czegoś, co jest bardzo pospolite, a zarazem nabrzmiałe różnorodną symboliką — właśnie ze względu na użytek, jaki od tysiącleci czynią ludzie z owego poręcznego przedmiotu.

O co chodzi?

O sznurek, zwykły sznurek, który z biegiem lat skręca się pod piórem Przybylskiego w linę, sznur, wreszcie w pętlę.

Na początku, w „dzieciństwie”, był oczywiście sznurek. Artysta wyznaje:

kieszenie pełne sznurka...

*tak oto znalazłem nagle swoją LINE,
która będąc w rzeczywistości sznurkiem
chłopca staje się linią artystyczną.*

Kończowa część „Lin-Artu” poświęcona jest splątaniem doznaniem starości, do której zresztą Przybylskiemu (ur. 1937) jeszcze daleko. Powiedzmy, że mamy tutaj do czynienia z antycypacją przyszłego stanu ducha i sztuki artysty. Zatem „starość” to:

wiązanie końca z końcem...

*LIN-ART nie spełnia funkcji praktycznej
ale artystyczną czy też antyartystyczną,
dostarcza przeżyć i materiałów do przemyśleń,*

ma cechy byznesmena, kłowna i geniusza.

LIN-ART to równowaga między niebem i piekłem,

to drabina wolności i pętla życia.

Ten tekst nazwano programem artysty, ale chyba z rutynowego rozpędu, może dla uhonorowania Przybylskiego. Bo czy jest dziś do pomyślenia, by wybitny malarz zaniedbał sprofurowania programu, będącego m.in. świadectwem jego samoświadomości twórczej?! Nawet „nowi”, już podstarzali „dzicy” walą programy i manifesty, a co dopiero klasycy sztuki polskiej, do których niewątpliwie należy Przybylski — indywidualność bujna, nie do podobnienia!

Ja czytam „Lin-Art” jako rzecz liryczną, metaforyczną, po prostu poetycką, a przy tym nieco przekorną, ironiczną. Zresztą na samym początku tekstu autor oznajmia, że ów „Lin” artystyczny „to polityka, erotyka i banal”. Aż korci, żeby te trzy słowa zastąpić jednym: „telewizja”! — ale byłby to już wstęp do interpretacji pod tytułem: co faktycznie artysta chciał nam powiedzieć.

W jakim związku pozostaje ta proza poetycka Przybylskiego z jego malarstwem z lat 1986—1987, prezentowanym w czerwcu i lipcu w chelmskiej „Galerii 72”? Czy pozwala nam lepiej „zrozumieć” owe wielkie na ogół, olejne płótna („Pełzak”, 230x390

cm) i pojedyncze, znacznie mniejsze pastele („Wejście ślimaka”)?

Zarówno w tekście, jak i w obrazach motywem głównym jest sznur, więc nie ma o czym mówić; sprawa wydaje się oczywista i trzeciorzędna. Jeśli natomiast chodzi o kwestię „lepszego zrozumienia” malarstwa Przybylskiego poprzez lekturę jego notatek, to poprzestańmy na stwierdzeniu, że sztuka tego artysty banalizuje, kompromituje, może nawet unieważnia próby jej werbalnego uzasadnienia i genetycznego wyjaśniania. Jest to bowiem sztuka o materii tak witalnej, zaborczej i samowystarczalnej, że wydaje się, jakby powstała w procesie auto-kracji. Horror, ale przed tymi obrazami ledwo udaje mi się opędzić przed myślą, że oto dzieło porzuciło swego twórcę i odgrywa jakiś własny, dramatyczny spektakl, w którym pierwszoplanową rolę przejęły sznury: ruchliwe, dynamiczne, elastyczne, splątane, cienkie, monstrialnie spասione. Wszystko poza nimi jest tłem, scenografią, podestem, ale to „wszystko” łączy się motywem głównym, bohaterskim we wspólnocie malarskiej materii, która stanowi o realności obrazów, nie pozwala na rozmyślenie ich bogatej zmysłowości w semantycznej interpretacji.

Naturalnie: sznurek, sznur, lina, pętla, stryczek coś znaczą, coś symbolizują, z czymś się kojarzą — za sprawą ich natrętnej obecności w naszym potocznym doświadczeniu i ze względu na miejsce, jakie zajmują wśród archetypów pamięci kulturowej. Kojarzą się tym chętniej, że Przybylski zaplata czasami sznurki w krzyże i nieco podobne formy, umieszczając te znaki w ciemnych, mozaikowo rozedrganych punkcikami „wnętrzach” tryptyków („Kosmografia”).

Miejmy jednak na uwadze to, co we fragmencie najciekawszym swojego tekstu odnotował sam artysta. Oto „dojrzałość”:

mądrość i ułomność, zmysłowość...

LIN-ART zaspokaja dzisiejsze zapotrzebowanie

na rzeczy namacalne i konkretne przedmioty,

można się ich przytrzymać, można w nich znaleźć

potwierdzenie własnej obecności na ziemi.

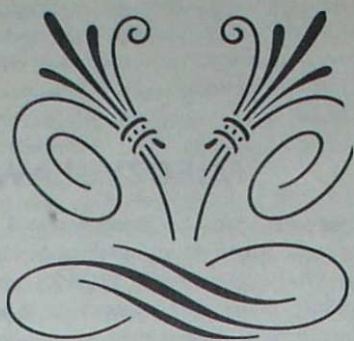
To przekonanie o swoim istnieniu za pośrednictwem

zmysłów, gdy wszystko inne stało się płynne

i niepewne. To potwierdzenie własnej egzystencji,

to konkret.

Tadeusz Chróścielewski



Chruścielewo

Wyczytałem w Słowniku Geograficznym, że niedaleko Witebska, w Ziemi Drysieńskiej, leży stara wioska-zaścianek tej właśnie nazwy.

Oto wieś wywiedziona z leksyki —
Zwykle miejsce na ziemi i niebie.
Zna je kura domowa, bez dziki,
Wiśnia cienie garnąca pod siebie —
I niemało nie znanych mi ludzi
nie dość znanym mówiących językiem
I niejeden na cieniu i grudzie
Kamień z gwiazdą lub kamień z krzyżykiem.
Jej mieszkaniac, wsparty o wędzisko,
Mówi często nasze wspólne nazwisko.
Oto wieś wywiedziona z leksyki,
Słowotwórstwem tylko mi bliska:
Talerz prosa w oknie, miska kutii,
Sarmatiana, wieżaste zwaliska.
Jej kopoluki bulawnik czerwony
I jak oko królicze — malina —
Nie należą do rzeczy straconych,
Które mógłbym wspomnieniem zatrzymać.

*Tylko w geometrycznym środku wsi rośnie przezroczysty dębczak.
Nie daje oporu mijającym go stopom i kołom ciężarówek, nie
wymienia go żaden rejestr zieleni osiedlowej...*

A jak maszt prosty jest ten dębczak,
Nad którym śniady wisi oblok;
Oстрым korzeniem wiedzie w cementarz,
Nad którym śniady wisi oblok.
Dzwonów otoczy mnie dudnienie —
W nieprzystawalnej dali oblok —
Ciała i krwi w proch przemienienie —
Nad którym śniady wisi oblok.
Dzwony nie sięgną za ulicę —
W oblok się dogrzmić, spiżu mało...
Lecz za lżą czasu i granicą
na tamtym drzewie będę — gałąź.
Dębinie mocy z niej przybędzie:
Znam sił zielonych celną szczodrość...
I wciąż gałęzie mej gałęzi
Uparcie gonić będą — oblok...

Troki

W gluchoj puszczy lśni jezior trzydzieści,
Więc trzydzieści obaczysz księżyców
W tym jak grobla boryszkowska mieście
Z pożyczoną od bajki ulicą.
Každy domek niby dziób okrętu,
Kapitanat pośrodku — kinassa.
Nieradosny tutaj Chan Zastępów,
Choć ma tyle księżyców po lasach.
W karaïmskim muzeum nie gaśnie
Sokół-Góra złocistych sapetów,
Lecz ten kindzał już giaura nie głaśnie,
Nie odmówi stal świętych wersetów.
Zwiedzam szybko. Potem sam wieczorem
Płynę łodzią, na księżyc czatuję:
„Nasz naczelnik nad Trockim Jeziorem
Po kowgańskiej potyczce nocuje.”

Swistocz

Panie magistrze kartografie,
Ślęczący z piórkiem nad dalekim,
Lepiej od ciebie wciąż potrafię
Wyznaczyć brzegi tamtej rzeki:
Bierze się księżyc, szuflę cienia,
Sążeń białego tataraku,
Bańkę cerkiewki, lut wspomnienia...
Spalony wiatrak pelen wiatrów...
Pieśń o dziewczynie, która świtkiem
Szła z karabinem w płomień lasu,
Bijący dzwon nad mogilnikiem
I car-kwiat z nurtu tamtych czasów.

Kircholm

To była znojna bitwa — na kopie i miecze,
Na żelazo miotane z rur, na ars militans
Wodzów i wzlatujące z furkotem w powietrze
Złotym gromem i pędem nabite kopyta.
To arcybitwa godeł: Znicz z Orlem się zetrze,
Niedźwiedź z Jeźdźcem — samocztwart na wzdartych kopytach,
Jussu electi z konia zarzynając przestrzeń
Za zbiegłym berłem Wazów gna Rzeczpospolita.
To była cudna bitwa: poszło trzy tysiące...
I czternaście tysięcy upadło puklerzy.
Ni Boreasz nie zwalał z nóg z tak chyżą chwałą,
Ni Jozue bulawą tresujący słońce —
Jak Pan Hetman, co w Szweda „czolgamii” uderzył,
Którym potem — septembris tempore nie stało.

Dzwony archijereja Leontiusza

MIECZYŚLAW KSENIAK

W drugiej połowie XIX wieku zwierzchnicy kościoła prawosławnego na Chelmszczyźnie napotkali poważny problem — około 200 cerkwi pounickich, oczyszczonych z „nieprawomyślnego elementu”, pozostało bez duchownych, a zaledwie kilkudziesięciu popów zdolano ściągnąć tutaj z terenów Ukrainy i Rosji. Dawne, niewielkie seminarium pounickie nie dawało nadziei na wykształcenie większej liczby duchownych w okresie najbliższych lat. Stary budynek, wzniesiony w Chelmie na miejscu drewnianego w 1779 roku, był przeznaczony na kształcenie około dwudziestu alumnów, a liczba wykładowców wraz z rektorem nie przekraczała dziesięciu osób. Rektor protojerej Michaił Dobrzański oraz biskup lubelski Modest nie mogli pozbyć się myśli o rozbudowie starego seminarium. W tym też czasie arcybiskup chelmski i warszawski, patriarcha Leontiusz, zaczął śnić o nowej potężnej uczelni, która stanęłaby w Warszawie na Pradze, a przy niej — cerkiew i dom patriarchy. Takie rozwiązanie dałoby mu szansę na osobiste pokierowanie organizacją seminarium i zapewniło wpływ na samo wychowanie alumnów.

W końcu, z uwagi na brak środków i trudności uzyskania terenu w samej Warszawie, wszyscy zdecydowali, aby seminarium na miarę nowych potrzeb pozostawiało w Chelmie, pod opieką cudownego obrazu Matki Boskiej Chelmskiej, przejętego od unitów.

Dla rozpatrzenia problemu rozbudowy seminarium patriarcha Leontiusz wysłał do Chelma swego architekta Liuszyna. W kwietniu 1882 r. zlustrował on stan starych budynków, zbadał mury i fundamenty, które okazały się zbyt słabe do nadbudowania dwu pięter. Według założeń patriarchy Leontiusza, w nowym budynku obok sal wykładowych, kaplicy i biblioteki z kilkunastotysięcznym księgozbiorem miały też znaleźć pomieszczenie: bursa, szpital oraz mieszkania dla rektora i wykładowców. Ostatecznie, na wniosek Rady Seminaryjnej i biskupa lubelskiego Modesta, patriarcha Leontiusz zatwierdził koncepcję wystawienia nowego gmachu. Wtedy też rozpoczął działalność komitet budowy, obejrzano ponad jedenaście możliwych miejsc, z których jedno, łącznie za parkiem archijerejskim na terenie majoratu darowanego generałowi Ludersowi, wydawało się najbardziej odpowiednie. Niestety cena i pozostałe warunki nie pozwoliły na zakup. Wybrano więc działkę o powierzchni sześciu dziesięcin (około 6,5 ha) w bliskiej odległości od seminarium, należąca do Czapliców i wycenioną stosunkowo nisko, bo na 11 tys. rubli. Zdecydowała tu też możliwość zakupu dwóch przylegających działek należących do Skibińskiego i Kiwińskiego. Akt kupna-sprzedaży spisano w Biurze Notarialnym w marcu 1883 r.

W zamyśle archijereja Leontiusza nowy gmach miał pomieścić trzystu alumnów, grono profesorskie, sześć klas, trzy gabinety specjalistyczne, kaplicę, bibliotekę, szpitalik oraz mieszkania dla rektora, inspektora i ekonomy. Przewidziano także pomieszczenia gospodarcze, łaźnię i służbówkę, a w niewielkiej odległości od seminarium — dom dla wykładowców.

Projekt zagospodarowania terenu zlecono architektowi miasta Chelma Ciszkowskiemu, natomiast projekt budowlano-konstrukcyjny architektowi Liuszynowi. Ambicją komitetu było, aby całość została skanalizowana i posiadała centralne ogrzewanie z pralnią i suszarnią. Wokół nowych budynków miał powstać park i tereny sportowe oraz ogród rektora, a wszystko to chciało otoczyć solid-

nym murem zapewniającym bezpieczeństwo i izolację od życia miejskiego. Kosztorys sporządzony według ówczesnych cen materiałów i robocizny opiewał na sumę 336 138 rubli i 42 kopiejki.

23 lutego 1884 r. plany projektowe wraz z kosztorysem przedstawiono w Zarządzie Gubernialnym w Lublinie, następnie, po zatwierdzeniu i poprawkach, zwrócono do Zarządu Synodu Prawosławnego w Warszawie na ręce archijereja Leontiusza.

Trudno jednak było znaleźć odpowiednich budowniczych i nadzorującego architekta. Dopiero w 1887 r. nawiązano kontakt ze spółką budowlaną Kapliński, Grossman, Kamiński, natomiast nadzór nad realizacją projektu miał objąć architekt Liapunow. Jesienią tego roku zaczęto na plac zwozić materiały budowlane i kompletować brygady murarskie. Patronat nad budową objął sam Leontiusz wraz z komitetem budowlanym, który pilnie przestrzegał warunków umowy i prawidłowej realizacji budowy tak pod względem zgodności z projektem, jak i z kosztorysem.

Wiosną 1888 r. rozpoczęły się prace ziemne z niwelacją terenu i wykopami pod fundamenty, a 29 maja odbyły się oficjalne uroczystości wmurowania aktu erekcyjnego. Ceremonię rozpoczęto od nabożeństw w cerkwiach chelmskich, przy czym w katedrze odprawił ją sam biskup lubelski Flawian. Następnie procesję wyszły z katedry, cerkwi św. Jana i św. Mikołaja i spotkały się na placu budowy ozdobionym girlandami liści dębowych. Po poświęceniu materiałów budowlanych i fundamentów, zamurowany został akt erekcyjny przez Flawiana i Leontiusza. Pod wschodnią ścianą kaplicy seminaryjnej, czyli pod przyszłym ikonostasem, umieszczono głaz z wrytym rokiem 1888, a pod nim w specjalnej niszy znalazła się płytka miedziana w cynowym futerale, na której uwieczniono, iż z łaski cara Aleksandra II oraz archijereja metropolity chelmsko-warszawskiego Leontiusza rozpoczęła się budowa seminarium duchownego. Wtedy też kaplicę seminaryjną ochrzczono imieniem Leontiusza, biskupa rostowskiego, działającego z poświęceniem dla prawosławia na zachodnich rubieżach księstwa Rosyjskiego w połowie XI w. Pod koniec obrzędu arcybiskup Leontiusz wygłosił przemówienie zaczynające się od słów: „*Ukochani bracia...*”. Z jego mowy przebijała ogromna radość z budowy nowego gmachu seminarium. Mówił również o tym, jak to przed ponad ośmiuset laty Chelm był centrum wiary prawosławnej na „Zabużańskiej Rusi” oraz o tym, jak pod panowaniem polskim cierpiały narody prawosławne i samo seminarium aż do pamiętnego roku 1875.

Następnie Leontiusz przedstawił wizję nowego gmachu, którego, jak powiedział „... jeszcze Chelm dotychczas nie widział (...). Tutaj właśnie, a nie w Warszawie panują najlepsze warunki odpowiedniej koncentracji, a jednocześnie higienicznego rozwoju młodych alumnów...”

Po tych słowach Leontiusz i Flawian przystąpili do sadzenia kasztanowców przed przyszłym gmachem seminarium. Jedno z dwu posadzonych przez archijereja uschło po kilku dniach, trzy pozostałe rosły jeszcze do 1910 roku, a dzisiaj pozostały już tylko dwa. Na zakończenie dostojnicy wraz z profesorami seminarium udali się na obiad wydany przez rektora Dobrzańskiego. Zgodnie z umową między archijerejem Leontiuszem a spółką budowlaną Kapliński, Grossman i Kamiński, główny budynek seminarium wraz z bursą miały być gotowe 1 sierpnia 1890 r., za wynagrodzeniem 228 611

rubli.

Po kilku miesiącach, gdy Liapunow spotkał się z komitetem dla zdania raportu z postępu prac budowlanych, okazało się, że prace inżynierskie nie zostały przeprowadzone zgodnie z projektem. W tej sytuacji archierej Leontiusz niezwłocznie wysłał do Chelma zaufanego architekta Liuszina. Błędy w sztuce budowlanej potwierdził także inżynier gubernialny Olchowski, a za nim architekt miejski Chelma, Ciszkowski. Stwierdzili też poważne zaniedbania na budowie, a co najważniejsze — odstępstwa w wykonaniu fundamentów. Ten stan spowodował, że Liapunow został zwolniony, a na jego miejsce przyszedł Ciszewski, który zgodził się na kierowanie dalszą budową za 4000 rubli.

W maju 1889 r. roboty budowlane ruszyły pełną parą. „Z Bożą pomocą”, przy dużym wysiłku robotników budowlanych, w końcu października 1889 r. czyli w okresie pięciu miesięcy, po wyburzeniu źle wykonanych fundamentów, zakończono prace przy głównym budynku seminaryjnym. W porównaniu z tempem dzisiejszego budowania był to prawdziwy rekord.

W tym czasie archierej Leontiusz, zirytowany zachowaniem flegmatycznego i niezbyt aktywnego w sprawie nowego seminarium rektora Dobrzańskiego, przekazał kierownictwo uczelni w ręce sprawdzonego już archimandryty Geodona. Leontiusz nie mógł doczekać się otwarcia nowego gmachu seminarium: robił wszystko, aby stało się to możliwie szybko. Na wyposażenie wnętrza seminarium wydano z kasy zarządu samorządu prawosławnego 12 697 rubli, przeznaczając je na kupienie szaf, ławek, łóżek do bursy oraz wyposażenie stołówek.

Mimo trudności, 9 września 1890 r. w obecności dostojników państwowych i kościelnych odbyło się poświęcenie nowego budynku i wybudowanej przy nim kaplicy św. Leontiusza. W trakcie uroczystości archierej ponownie przypomniał, jak ciężko było przezwyciężyć w wierze prawosławnej tępionej przez Polaków i kościół

rzymsko-katolicki. „*To wy sami, jako żywe kamienie wiary, wzniesliście ten dom Boży...*”, zakończył wzniośle. Po hymnie „*Boże chroń Cara...*” pierwszy raz przemówiła nowa dzwonnica. Dzwonów było pięć. Jeden stary, przeniesiony z dawnego seminarium, gdzie służył jeszcze unitom, oraz cztery nowe. Największy z nich, sześciopudowy, oraz trzy dwupudowe (1 pud około 20 kg) odlane zostały w Moskwie u ludwisarza Finlandzkiego. Najokazalszy nazwany „*Leontiuszem*”, został zakupiony z własnych funduszy archiereja, za sumę 100 rubli. Pozostałe trzy zamówiono z funduszy seminaryjnych. Dzwonnice wzniesiono w stylu staroruskim, według projektu Ciszewskiego. Stała ona z lewej strony bramy prowadzącej do seminarium. Sam budynek uczelni prezentował się imponująco, na fasadzie frontowej napis głosił: „*Chelmskie Seminarium Duchowne*”, z datą 1890 rozdzieloną po dwu stronach. Nad środkowym ryzalitem zawisło godło państwowe, zwieńczone złotą kopułą cerkwi według projektu architekta Liuszina. Na parterze umieszczono szatnię, kuchnię, bufet i stołówkę. Na pierwszym piętrze znalazły się pomieszczenia reprezentacyjne z aulą, gabinetem rektora oraz klasy i pracownie specjalistyczne. Na drugim, obok sal wykładowych ulokowano bibliotekę, natomiast najwyższe piętro zajęły sypialnie, garderoby i umywalnie. Tam też ulokowany był szpitalik z apteką i z pomieszczeniami dla felczera.

Przy dawnej ulicy Seminaryjnej — dzisiaj Czarnieckiego — dochodzącej do Brzeskiej — obecnie Sienkiewicza — stanął dom dla wykładowców seminarium, a obok drewniany budynek z natryskami i łaźnią parową. Na południowy wschód od głównego gmachu postawiono parterowy budynek, mieszczący internat dla 80 uczniów.

Zgodnie z wolą archiereja, kaplica pod wezwaniem św. Leontiusza, nakryta kopułą z krzyżem, znalazła się w środkowym korpusie seminaryjnym, od strony wschodniej. Miała ona kształt krzyża z ołtarzem skierowanym na wschód, o wysokich potrójnie



Dawne seminarium, obecnie liceum ogólnokształcące

półkolistych oknach, a na kremowym sklepieniu świeciły złote gwiazdy. Podobnie jak cały budynek, kaplica ogrzewana była kaloryferami. Na ścianach, z lewej strony, wisiały obrazy św. Aleksandra Newskiego i Matki Bożej, a nad wejściem obraz Cudownego Zbawcy, zaś po przeciwnej stronie — wizerunki przedstawiające: św. Leontiusza i św. Mikołaja Cudotwórcę oraz Wniebowstąpienie Pańskie. Między oknami umieszczono obrazy dwunastu święt Pańskich i Matki Bożej. Dalej obrazy Zbawiciela i Matki Bożej Kazańskiej w srebrnych ramach oraz stare chorągwie. Bogato złożony ikonostas z carskimi wrotami miał obrazy Cyryla i Metodego, przed którymi stały brązowe kandelabry i srebrne naczynia przeniesione ze starego seminarium.

Cały następny dzień po uroczystym otwarciu nowego gmachu seminaryjnego trwały modły w nowej kaplicy, a od 11 września rozpoczęła się nauka. Tego dnia Leontiusz chodził po klasach błogosławiąc wykładowców, uczniów oraz nowe pomieszczenia.

Jesienią zakończono prace przy urządzaniu terenu uczelni, alejki spacerowych i miejsc rekreacyjnych, parku i ogrodu rektorskiego. Drzewa, głównie kasztanowce i lipy, zakupione zostały w szkółkach ogrodniczo-leśnych hr. Poletyły w Wojsławicach.

Wiosną 1891 r. ostatecznie zakończono prace budowlane. Koszt budowy zamknął się sumą o 3 tys. rubli niższą od kalkulowanej. Członkowie spółki budowlanej wraz z nadzorującym Ciszkowskim zostali hojnie wynagrodzeni oraz odznaczeni orderami św. Anny, a archijerej Leontiusz od wiosny 1891 r. został powołany na stanowisko metropolity moskiewskiego.

Aż do I wojny światowej seminarium funkcjonowało bez poważniejszych zakłóceń. Sprawdzał się sen archijereja Leontiusza, bowiem kościół prawosławny na Podlasiu i Chełmszczyźnie umocnił się. 5 kwietnia 1896 r. w niższej kondygnacji kaplicy św. Leontiusza ówczesny rektor seminarium Tichon poświęcił kaplicę św. Teodozjusza, biskupa czernichowskiego, w dwustulecie jego śmierci. Tutaj przywędrowały ikony darowane przez Sobór w Czernichowie, a także obrazy namalowane przez alumnów pod kierunkiem nauczyciela rysunku Jermakowa, przedstawiające św. Teodozjusza, Matkę Bożą i św. Sergieja.

Dopiero w 1905 r. nowy ikonostas, wykonany w kijowskim warsztacie Georgija Wołodina za 800 rubli, poświęcił ówczesny biskup chełmski i lubelski Eulogiusz.

W 1898 r. przez seminarium przeszła epidemia tyfusu, która dowiodła, jak niefortunne było ulokowanie szpitala w głównym gmachu. Po smutnych doświadczeniach przystąpiono do budowy oczyszczalni ścieków (1899), a w 1900 r. uruchomiono studnię artezyjską.

Ambitnym i godnym zastępcą Leontiusza okazał się Eulogiusz, od 1905 r. biskup chełmski i lubelski, a wcześniej rektor seminarium chełmskiego w latach 1897—1902. W wyniku jego zabiegów i żarliwości pojawiły się w Chełmie i okolicy nowe murywane cerkwie, (między innymi w Chełmie, Dubience, Sławatyczach, Sosnowicy), budowane w stylu bizantyjsko-ruskim, podkreślające przynależność do cesarstwa rosyjskiego.

Gdy synod prawosławny utworzył diecezję chełmską i powierzono mu biskupstwo, Eulogiusz bez reszty poświęcił się sprawie wydzielenia z Guberni Lubelskiej nowej Guberni Chełmskiej i przyłączenia jej do Cesarstwa Rosyjskiego. Wybrany posłem do Dumy, forswował swój projekt wszelkimi sposobami. 7 lipca 1912 r., przemawiając w parlamencie twierdził, że „... utworzenie Guberni Chełmskiej jest konieczne potrzebne na to, aby powrócić do prawosławia dwieście tysięcy ludzi, którzy po 1905 r. przeszli na wiarę katolicką...”

— chodziło tutaj o uchwaloną przez Dumę ustawę tolerancyjną, gdy dawni unicy przyjmowali wiarę rzymsko-katolicką. Eulogiusz domagał się także ograniczenia w przyszłej guberni praw ludności polskiej i języka polskiego, bowiem jak mówił „*Chełmszczyzna ulega straszemu naciskowi polskości i działaczy katolickich*”. Te żądania były już właściwie zrealizowane, gdyż ograniczenia nastąpiły wcześniej bez zgody Dumy. Ze szkół państwowych rugowano nauczycieli Polaków, a w miejscowościach, gdzie były szkoły rządowe rosyjskie

i prawosławne, zabroniono Polskiej Macierzy Szkolnej zakładać szkoły. Zadbano też, aby we wszystkich szkołach średnich w Chełmie, a było ich przed I wojną światową siedem (ponad 2000 uczniów), uczyli głównie nauczyciele sprowadzeni z głębi Rosji.

W lipcu 1912 r., po siedmiu latach burzliwych dyskusji, tak w parlamencie jak i prasie, przegłosowany został w Dumie projekt Eulogiusza, niedawno mianowanego arcybiskupem, o utworzeniu Guberni Chełmskiej. Nie znalazł jednak poparcia, zarówno wśród deputowanych polskich jak i rosyjskich, jego zamiśl o włączeniu nowej guberni do Cesarstwa Rosyjskiego. Na pamiątkę wydzielenia Chełmszczyzny w czerwcu 1913 roku wmurowano kamień węgielny pod budowę nowej cerkwi, poświęcony przez Eulogiusza. Przystąpiono też do organizacji nowych struktur administracyjnych i urzędów, Jak wyliczono, sama budowa nowych gmachów gubernialnych, bez uwzględnienia mieszkań dla urzędników sprowadzonych z Rosji, miała kosztować 575 tys. rubli.

W 1914 r., w związku z napływem wojska i urzędników, wzrosła liczba zamieszkałych w Chełmie Rosjan. Ogółem dla 6707 prawosławnych funkcjonowało trzystaście cerkwi (nie licząc kaplic szkolnych i seminaryjnych), a na 5047 katolików był tylko jeden kościół.

Szczególnie zasłużone w rusyfikowaniu Ukraińców i Polaków było Bractwo Bogurodzicy, posiadające siedzibę i drukarnię w specjalnie dla niego wzniesionym budynku „na Górcę”. Władze imperium szczerze potrzęsały kieszę na potrzeby Zarządu Cerkwi Prawosławnej. Z budżetu państwowego w 1912 r. przeznaczono na potrzeby cerkwi 40 milionów rubli, podczas gdy na policję wyasygnowano 59 milionów, a na utrzymanie dworu cesarskiego 16 milionów.

Pierwsza wojna światowa przerwała realizację idei dwu zaangażowanych biskupów: Leontiusza i jego następcy Eulogiusza. Zaczęła się ewakuacja duchowieństwa, seminarium oraz urzędów gubernialnych w głąb Rosji. W czasie wojny gmach seminaryjny najpierw zajął szpital rosyjski, a po wkroczeniu wojsk austriackich umieszczony został w nim szpital kierowany przez Zakon Krzyżacki „Deutscher Orden”, będący częścią armii austrackiej, który został wyprowadzony z budynku dopiero w październiku 1918 r.

Po usunięciu zniszczeń i remoncie, w gmachu tym znalazło swoje pomieszczenie Liceum Filologiczne, utworzone w 1915 r., przekształcone następnie w Gimnazjum St. Czarnieckiego. Gmach ten dobrze służył potrzebom polskiej szkoły. Wszystkie pomieszczenia znalazły pokrewne funkcje. Kaplicę św. Leontiusza zamieniono na kaplicę św. Kostki, a w niższej kondygnacji, czyli w b. kaplicy św. Teodozjusza, umieszczono od 1919 r. Muzeum Ziemi Chełmskiej, pozostające pod troskliwą opieką Wiktora Ambroziewicza, a później Kazimierza Janczykowskiego. Dużą część księgozbioru seminaryjnego, unickiego i prawosławnego, przekazano do powstającej biblioteki KUL w Lublinie.

Arcybiskup Eulogiusz długo nie mógł pogodzić się z utraconą władzą. Po Rewolucji Październikowej, nie dając za wygraną, dalej realizował swe ambitne plany na emigracji w Paryżu. Przebywając tam w otoczeniu rosyjskich emigrantów z kręgów artystokracji i duchowieństwa, w liście otwartym wypowiedział posłuszeństwo Synodowi Biskupów i ogłosił się patriarchą autonomicznego kościoła prawosławnego w Europie Zachodniej, który funkcjonuje do chwili obecnej. Za zdradę Synod obłożył go ekskomuniką. Zmarł w 1946 r. w Paryżu, w wieku 78 lat. Pozostawił po sobie pamiętnik barwnie opisujący lata spędzone w Chełmie.

W okresie międzywojennym nieufność lub wręcz wrogość — zwłaszcza po wojnie 1920 roku i walkach o Lwów — między Polakami i Ukraińcami rodziła nietolerancję. Na Podlasiu i Chełmszczyźnie w latach 1937—38 zainicjowano barbarzyńską akcję burzenia cerkwi, podjętą przez władze państwowe, która boleśnie dotknęła mniejszość ukraińską zamieszkałą na terenach Rzeczypospolitej. Wstrzymano ją dopiero po proteście posłów ukraińskich w Sejmie 1938 r.

II wojnę światową boleśnie odczuli nauczyciele i uczniowie Liceum Czarnieckiego, wiele cennych księzek i dokumentów spalili hitlerowcy w parku szkolnym po wkroczeniu do Chełma. Wkrótce

jeszcze raz zatriumfował tu duch prawosławia, gdy w gmachu otwarto gimnazjum ukraińskie, funkcjonujące przez czas okupacji.

Co stało się z dzwonami archijereja Leontiusza? Jak podają kronikarze seminaryjni, największy dzwon „Leontiusz” od chwili zawieszania na dzwonnicy dzwonił krótko, bo w kilka miesięcy po śmierci swego imiennika rozleciał się na kawałki wiosną 1894 r. Zebrane szczątki oddano do ludwisarni Włodkowskiego w Węgrowie, gdzie odlano go ponownie, ale już w 1896 roku na Świętego Teodozjusza rozleciał się powtórnie. Odlany tego roku w Węgrowie wisiał aż do I wojny światowej, gdy w trakcie ewakuacji seminarium dzwony postanowiono zdjąć i ukryć. Jakże były ich dalsze losy?

Z pytaniem o dzwony archijereja Leontiusza starałem się dotrzeć do ludzi znających historię tamtych lat... i wtedy, gdy zdawało się, że sprawa jest już całkowicie zapomniana, jeszcze raz potwierdziła się zasada, że o szkole najwięcej wiedzą starzy woźni. Pan Grzesiak, zamieszkały w dawnej stróżówce seminaryjnej, w której poblizu niegdyś stała drewniana dzwonnica, przypomniał sobie bez trudu, jak w latach pięćdziesiątych w trakcie prac kanalizacyjnych odkopano dzwon, który następnie dyrektor gminazjum, S. Karczmarzyk,

przekazał cerkwi prawosławnej.

— Wiem, że z tego powodu miał dyrektor nieprzyjemności ze strony ówczesnego sekretarza partii... — dorzucił pan Grzesiak. Trudno było potwierdzić opowieść dawnego woźnego, dopiero dzięki paniom Stanisławie i Aleksandrze Stanisławskim, udało się odszukać w Urzędzie Wojewódzkim dokument z 27 kwietnia 1956 r., w którym czytamy, że „dzwon o wadze 120 kg z napisem Węgrów — Włodkowski i z datą 1896, wykopany we wrześniu 1955 roku na terenie szkolnym, przekazany został oficjalnie przez pracowników Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Chełmie Jana Dziusa i Władysława Chrzastowskiego — proboszczowi parafii prawosławnej Michałowi Kalinie”.

Tak więc największy dzwon „Leontiusz” ocalał. Zapewne z powodu swojej wagi nie został wywieziony w głąb Rosji. Dzisiaj nadal wiernie służy wiernym, by za kilka lat wydzwonić swoje stulecie. A może zabrzmi on radośnie na pojednanie między prawosławnymi, a greckimi i rzymskimi katolikami?

MIECZYŚLAW KSENIĄK

POKOLENIA STRACONYCH SZANS

WŁADYSŁAW A. SERCZYK

PIERWSZA wojna światowa przyniosła miliony ofiar śmiertelnych, nie mniejszą liczbę kalek, osieroconych dzieci i owdowiałych żon. Była przekleństwem świata i... zbawieniem narodów, ciemiężonych dotychczas i niszczonej przez imperialne poczynania carów i cesarzy. Uzyskały one teraz możliwość budowy własnych państw, jakie miały powstać na gruzach dawnych imperiów. Jednym się udało, inne przegrały swoją szansę, nie zawsze z własnej winy. Do tych ostatnich należeli Ukraińcy. A byli tak bliscy osiągnięcia upragnionego sukcesu...

Dotychczas podejmowane próby były z góry skazane na niepowodzenie. Początkowo brak było rozbudzonej świadomości narodowej, a kozackie akcje zmierzające do ustanowienia autonomii na ziemiach naddnieprzańskich nie znajdowały odpowiedniego wsparcia ze strony innych mieszkańców tego rejonu. Wprawdzie chłopie chętnie garnęli się do każdego powstania kozackiego, jakie tak czy owak zwracało się przeciw ich panom, lecz brak im było jeszcze instynktu państwowego, nie odczuwali potrzeby budowy własnych instytucji państwowych. Z kolei szlachta, a także duchowieństwo ukraińskie uważali, że rozsądniej będzie opowiedzieć się w dążeniach emancypacyjnych po stronie którejś z potęg sąsiednich. Gdy później, od powstania Chmielnickiego poczynając, Kozacy przejęli tę linię polityczną i usiłowali znaleźć stosownego sojusznika, okazało się, że dla sąsiadów stali się zbyt mocni, a w rezultacie — zbyt niebezpieczni. Sojusz z Rosją kierował przeciw nim Rzeczpospolitą, Tatarów i Turcję; związki z Polską wywoływały natychmiastową reakcję Moskwy i Porty Otomańskiej; natomiast współdziałanie z tą ostatnią prowadziło do zbliżenia polsko-rosyjskiego i skoordynowanej akcji nowych sojuszników przeciw Ukrainie.

Nowym elementem jej dziejów stał się podział ziem ukraińskich między Rosję a Rzeczpospolitą dokonany na podstawie rozejmu andruszowskiego (1667), spetryfikowany przez „wieczny” pokój grzymułtowski (1686). Po rozbiorach Polski wewnętrzna granica rozdzielająca Ukrainę na „rosyjską” i „austriacką” przesunęła się

wprawdzie na zachód, ale nie zmieniło to sytuacji samych Ukraińców. Tyle tylko, że właśnie wówczas powstała szansa zawarcia sojuszu z Polakami znajdującymi się w podobnym położeniu. Dawalo to nadzieje na podjęcie wspólnej walki przeciw tym samym zaborcom, jednak pod warunkiem uznania konieczności kompromisu politycznego. W dobie Wiosny Ludów okazało się jednak, że ukraińskie odrodzenie narodowe znajdujące swoje najpełniejsze ujście w sferze oświaty i kultury, przelożone na język działań politycznych, stało się nie do przyjęcia dla Polaków. Ze szczególnie stanowczą kontrakcją spotkały się poczynania mające na celu wydzielenie z Galicji odrębnego terytorium ukraińskiego. Chodziło nie tylko o polską własność ziemską, lecz — jak można sądzić — przede wszystkim o Lwów. To miasto stało się na wiele dziesięcioleci przedmiotem zajadłego i, jak np. w listopadzie 1918 roku, krwawego sporu. Obydwie strony widziały w nim symboliczny i ważny fragment własnej historii narodowej. Prezentacja poglądów w tej mierze odbywała się zawsze w atmosferze narastających emocji, podsycanych jeszcze przez prowokacyjne działania austriackiego zaborcy, ułatwiającego sobie w ten sposób sprawowanie rządów w zągarniętym kraju.

W dobie autonomii galicyjskiej silniejszą pozycję w miejscowych władzach uzyskali Polacy, co z kolei skłoniło Ukraińców do znacznego zaktywizowania prac na niwie gospodarczej, oświatowej i naukowej, jakie miały stanowić mocny fundament przyszłych akcji politycznych, a nawet — wojskowych. Podejmowane przez jednostki z obydwu stron próby doprowadzenia do ugody w najlepszym wypadku kończyły się co najwyżej krótkotrwałym powodzeniem. Sojusze partyjne także nie egzystowały długo, miały charakter taktyczny i rozpadły się — niekiedy — błahych powodów.

Zbliżający się konflikt światowy, w jakim przeciw sobie wystąpić mieli zaborcy, wywołał falę optymizmu zarówno Polaków jak i Ukraińców. I jedni i drudzy nie chcieli zmarnować szansy samodzielności, jaka stanęła przed nimi. Zaczęli tworzyć załączki własnych

formacji wojskowych oraz organizować i szkolić kadry dla przyszłej, jak się spodziewano, narodowej administracji państwowej.

Ukraińcy zdobyli się na niespotykany w swoich dziejach wysiłek. Różnego rodzaju stowarzyszenia, stronnictwa i ugrupowania powstawały jak grzyby po deszczu. Najwięcej było ich we Lwowie, gdzie już w sierpniu 1914 r. wychodźcy z Naddnieprza założyli Związek Wyzwolenia Ukrainy o orientacji proaustriackiej i proniemieckiej. Gwarancje niemieckie miało otrzymać przyszłe samodzielne państwo ukraińskie, które zamierzali utworzyć. Tymczasem przystąpili do budowania własnej armii — ukraińskich strzelców siczowych, podporządkowanych dowództwu austriackiemu. W wypadku konieczności odłożenia na pewien czas marzeń o niepodległości projektowano stworzenie prowincji autonomicznej, jaka miała egzystować w ramach monarchii austro-węgierskiej.

Mniej więcej w tym samym czasie, również we Lwowie, galicyjscy działacze ukraińscy: Kost Łewycki i Mykoła Wasylko powołali do życia Ukraińską Zahalną Radę (Radę Ogólnoukraińską), roszczącą sobie pretensje do wyłącznego reprezentowania interesów narodowych na zewnątrz. Doświadczeni politycy zdolali doprowadzić do połączenia się strzelców siczowych z inną ukraińską formacją wojskową — Kureniem Strzeleckim i utworzenia Legionu Ukraińskiego. Nie był on wprawdzie jeszcze zdolny do podjęcia się samodzielnych operacji na większą skalę, ale stanowił ważny załączek przyszłej armii.

Program austrofilski zyskał znaczną popularność. Opowiedział się za nim również metropolita grekokatolicki Andrzej Roman Szepetycki — człowiek cieszący się wśród Ukraińców powszechnym szacunkiem i poważaniem.

Blisko dziesięciomiesięczna okupacja Lwowa przez Rosjan i prowadzona przez nich polityka bezwzględnej rasyfikacji wyrażającej się m.in. w rugowaniu ze szkolnictwa języka ukraińskiego oraz ekspansji prawosławia zmniejszyła bazę społeczną ruchu moskalofilskiego. Wprawdzie, korzystając z zezwolenia rosyjskiego namiestnika, założyli organizację pod nazwą Rada Narodowa, mającą stanowić przeciwwagę dla Rady Ogólnoukraińskiej, ale nie posiadała ona większego znaczenia.

Wycofanie się armii rosyjskiej ze Lwowa spowodowało, że niemal natychmiast do akcji ruszyli działacze Ukraińskiej Partii Narodowo-Demokratycznej, którzy odrzucali jakąkolwiek możliwość współpracy z Polakami i dążyli do utworzenia niepodległej Ukrainy (w najgorszym razie — autonomicznej) z połączonych ziem ukraińskich znajdujących się dotychczas w granicach Rosji i Austro-Węgier. Głównie oni przyczynili się do utworzenia w czerwcu 1915 r. Komitetu Ukraińców Lwowa. Rada Ogólnoukraińska po ewakuowaniu się do Wiednia, pozostała tam jeszcze przez jakiś czas, starając się wpłynąć na podjęcie przez cesarza decyzji o utworzeniu w ramach monarchii autonomicznej prowincji ukraińskiej i uzyskanie w tej mierze również odpowiednich zapewnień niemieckich. Wprawdzie politycy państw centralnych uchylali się od udzielenia gwarancji na piśmie, ale przeprowadzone rozmowy wskazywały na to, że nie będą mieli nic przeciw uznaniu za ukraińskie ziem Wołynia, Podlasia i Chełmszczyzny. Zastępcą namiestnika Galicji został Ukrainiec Wołodmyr Decykewycz.

POLITYKA rządzi się jednak swoją własną moralnością. Już po roku, gdy 5 listopada 1916 ogłoszono akt dwóch cesarzy, zapowiadał on utworzenie w przyszłości Królestwa Polskiego składającego się m.in. również z tych ziem, które wcześniej uznano za ukraińskie. W tym samym dniu zaprotestowała UPND, a dwa dni później posłowie z Ukraińskiego Klubu Parlamentarnego złożyli oświadczenie stwierdzające, że „naród ukraiński nigdy nie uzna wyodrębnienia Galicji pod polskim panowaniem i nigdy nie zrzeknie się prawa do narodowej autonomii swego terytorium i utworzenia odrębnego ukraińskiego kraju koronnego w ramach Austrii”. Cios był tak silny, że działalność zawiesiły zarówno Rada Ogólnoukraińska jak i Klub Parlamentarny, przy czym dokonano zmian w kierownictwach obydwu organizacji. UKP zakończył nawet swoją działalność, a w nowo powołanej Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej na

czolo wysunęli się Julian Romańczuk i Jewhen Petruszewycz.

Wydarzenia galicyjskie pokazały, że nie może być mowy o porozumieniu polsko-ukraińskim, bowiem kwestia terytorialna rozdziela obydwie strony w sposób zasadniczy. Dzisiaj trudno się temu dziwić, bowiem po przeszło stu latach rządów państw zaborczych odzyskanie przez Polskę niepodległości nawet w okrojonych na wschodzie granicach, ale bez Lwowa, jawiło się jako rzecz nie do pojęcia, podobnie jak wyłączenie z Polski Podlasia lub Chełmszczyzny. Z kolei Ukraińcy nie zamierzali rezygnować z ziem, na których stanowili większość tylko dlatego, że we Lwowie mieszkało więcej (i to znaczenie więcej) Polaków, niż Ukraińców. Poza tym, to właśnie Lwów był stolicą „ukraińskiego Piemontu” i tutaj rodziło się ukraińskie odrodzenie narodowe i tutaj koncentrowało się życie polityczne „Rusinów”. Wówczas, gdy chodziło o być albo nie być dla samodzielnego lub autonomicznego bytu państwowego Polaków i Ukraińców, argumenty racjonalne nie wchodziły w rachubę. Liczyli się tylko fakty.

Powszechne oburzenie Polaków wywołały postanowienia brzeskiego traktatu pokojowego zawartego przez Niemcy i Austro-Węgry z Ukraińską Republiką Ludową proklamowaną kilka miesięcy wcześniej w Kijowie. Nie dość, że Chełmszczyzna została włączona do URL, ale na dodatek Galicja Wschodnia miała stać się ukraińską prowincją autonomiczną w ramach monarchii austro-węgierskiej. Gdy ujawniono wszystkie porozumienia zawarte w Brześciu (układ o statusie Galicji wschodniej miał charakter tajny) Polacy odpowiedzieli na nie falą protestów, Ukraińcy — radością i licznymi manifestacjami poparcia. Wiedeń wycofał się wprawdzie z układów „galicyjskich”, ale nie przyniosło to uspokojenia. Na terenach o ludności mieszanej, zwłaszcza we Lwowie, rozpoczęto przygotowania do postawienia drugiej strony przed faktami dokonanymi. Władze austriackie niemal jawnie opowiadały się po stronie ukraińskiej, w czym celował arcyksiążę Wilhelm, zwany Wasylem Wyszwywanym.

18 października 1918 powstała we Lwowie Ukraińska Rada Narodowa kierowana przez Jewhena Petruszewycza, która już nazajutrz proklamowała utworzenie w Galicji wschodniej państwa ukraińskiego. Polacy nie przypuszczali, że w ślad za tą deklaracją mogą nastąpić zdecydowane działania i traktowali ją raczej jako pewien zabieg propagandowy. Tymczasem już 1 listopada Ukraińcy zaskoczyli polskich mieszkańców Lwowa opanowując miasto, a 13 listopada obwieścili powstanie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej kierowanej przez Sekretariat — rząd, na którego czele stanął K. Łewycki. Wprawdzie po trzech tygodniach zwyciężczych walk Lwów znalazł się w rękach polskich, ale wojna polsko-ukraińska trwała nadal. Sekretariat postanowił przyłączyć się do Ukraińskiej Republiki Ludowej. Nastąpiło to 3 stycznia 1919 r., a 22 stycznia w Kijowie, na placu przed soborem św. Zofii dokonała się uroczystość publicznego proklamowania tego aktu.

Dalsze walki toczyły się ze zmiennym szczęściem, przynosząc jednak sukcesy stronie polskiej. Dalo to asumpt mocarstwu zachodnim do upoważnienia Polski do zajęcia ziem wschodniogalicyjskich aż po Zbrucz. 1 września 1919 w układzie między Ukrainą a państwem polskim rząd Petlury zgodził się na ustanowienie na Zbruczu linii demarkacyjnej. Potwierdziły ją późniejsze układy, w tym również traktat ryski z 1921 r., kończący wojnę polsko-ukraińsko-radziecką.

W GRANICACH państwa polskiego znalazło się około 5 milionów Ukraińców. Narzucony w 1919 r. Polsce traktat mniejszościowy ograniczał jej suwerenność w sprawach mniejszości narodowych, pozwalając na ingerowanie w nie różnym instytucjom o charakterze międzynarodowym. Sprawa niepodległości Ukrainy zakończyła się klęską zaangażowanych w nią Ukraińców. Powstanie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej w znacznej mierze podporządkowanej rządowi moskiewskiemu, a od grudnia 1922 r. włączonej do ZSRR nie było rozwiązaniem, o którym marzyli działacze stronnictw narodowych. Ziemie ukraińskie były nadal podzielone, uzależnione od obcych rządów, a ludność

przeżywała gorycz świeżo poniesionej porażki.

Również w Polsce nie brakowało tego typu nastrojów. Żołnierze armii petliurowskiej wyrzucali Piłsudskiemu łatwą zgodę na złamanie wcześniej zawartych porozumień. Wybory do Sejmu i Senatu z 1922 r. zostały niemal całkowicie zbojkotowane przez Ukraińców galicyjskich, co nie oznaczało, że Ukraińcy nie mieli swojego przedstawicielstwa w parlamencie. Wzięli bowiem w nich udział Ukraińcy z byłego zaboru rosyjskiego oraz — z Galicji — Agrarna Ukraińska Partia Chłopska (tzw. chliboroby). Łącznie w sejmie znalazło się 25 posłów ukraińskich, z których 20 utworzyło Ukraińską Reprezentację Parlamentarną, jakiej przewodniczył Anton Wasynczuk z Wołynia. Z nią właśnie premier Sikorski zawarł porozumienie gwarantujące utworzenie ukraińskiej autonomicznej jednostki terytorialnej. Obietnica ta nie została jednak dotrzymana, natomiast 26 września 1922 r. uchwalono ustawę „O zasadach powszechnego samorządu wojewódzkiego, a w szczególności województwa lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego”, która obiecywała wprowadzenie (w ciągu dwóch lat) samorządu dla wymienionych trzech województw, założenie ukraińskiego uniwersytetu państwowego oraz wprowadzała zrównanie języka ukraińskiego z polskim w urzędach. Ustawa pozwoliła rządowi na energiczniejsze działania na arenie międzynarodowej, pozwalając na złagodzenie niekorzystnych skutków traktatu mniejszościowego. W marcu 1923 r. Konferencja Ambasadorów uznała suwerenność Rzeczypospolitej na terenie Galicji wschodniej.

Obietnice rządowe nie zostały jednak dotrzymane, nawet nie wyrażono zgody na legalne działanie istniejącego od 1921 r. we Lwowie tajnego uniwersytetu ukraińskiego. Obydwie strony patrzyły więc na siebie z wzrastającą nieufnością. I jedni, i drudzy, podejmowali różnego rodzaju akcje zaczepne. Ukraińcy dokonywali zamachów na polskich ziemian i chłopów, chcąc zmusić ich do wyzbycia się ziemi i wyjazdu z tego zakątka Polski, który zamachowcy uznali za ukraiński. Z kolei władze państwowe dokonały szeregu aresztowań wśród ukraińskich działaczy politycznych. Wielu z nich schroniło się zagranicą, zasilając powstałe wcześniej ośrodki emigracyjne w Berlinie, Pradze i Wiedniu. Mnożyły się wzajemne oskarżenia. Spory nie słabły i, co ważniejsze, nie widać było możliwości ich wygaśnięcia. Polemika między politykami zaczęła odbijać się coraz szerszym echem wśród obydwu społeczeństw doprowadzając do antagonizmów między żyjącymi dotychczas zgodnie zwykłymi ludźmi obydwu narodowości. Mimo to liczne były jeszcze rodziny, zwłaszcza na wsi, które nie bacząc na różnice języka, religii czy obyczaju, udzielały sobie pomocy, a nawet wiązały się ze sobą przez małżeństwa ich dzieci.

Jak jednak miano pogodzić koncepcję suwerennej władzy Rzeczypospolitej Polskiej na całym obszarze państwa i podporządkowaniu jej wszystkich interesów częściowych włącznie z ukraińskim dążeniem do uzyskania autonomii terytorialnej, a następnie przyłączeniem części ziem Polski do mającego powstać w przyszłości państwa ukraińskiego? Okazało się to niemożliwe, chociaż wielu polityków jednej i drugiej strony skłaniało się ku kompromisom.

Każda z nowo powstałych i przeobrażających się ukraińskich partii politycznych zawarła w swym programie przyszłościową wizję rozwiązania kwestii narodowej. W 1919 r. powstała Komunistyczna Partia Galicji Wschodniej, która po czterech latach przekształciła się w Komunistyczną Partię Zachodniej Ukrainy. Wyznawana przez nią ideologia zmuszała do działania w konspiracji, co w poważnym stopniu ograniczało jej możliwości. W 1926 r. utworzyła więc Ukraińskie Selanśko-Robitnicze Socjalistyczne Objednannia, znane ze skrótu „Sel-Rob”. Komuniści głosili konieczność przeprowadzenia rewolucji, obalenia „burżuazyjno-obszarniczych rządów polskich” i przyłączenia znajdujących się w granicach Rzeczypospolitej ziem ukraińskich do Ukrainy radzieckiej. Również w 1926 r. powstała inna partia lewicowa — Ukraińska Socjalistyczna Partia Radykalna (USRP), utworzona po połączeniu się Ukraińskiej Partii Radykalnej z Ukraińską Partią Socjalistów Rewolucjonistów.

Rok wcześniej z inicjatywy Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej doszło we Lwowie do powstania Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowo-Demokratycznego (UNDO), które głosiło konieczność zjednoczenia wszystkich terytoriów zamieszkałych przez Ukraińców i utworzenia niepodległej Ukrainy. Odgrywało ono znaczącą rolę w życiu politycznym a po wyborach z 1928 r. wraz z innymi ugrupowaniami mniejszościowymi utworzyło Ukraińsko-Białoruski Klub Sejmowy, na którego czele stanęli dwaj posłowie z (UNDO): Dmytro Łewycki oraz Wołodymyr Cełewycz. Klub ten liczył 30 posłów.

Poważnymi wpływami w Polsce cieszyła się radykalna w swoim programie narodowym Ukraińska Organizacja Wojskowa (UWO), założona w 1920 r. w Pradze. Była ona antypolska, organizowała akcje terrorystyczne i dążyła do reaktywowania Ukraińskiej Republiki Ludowej. W 1929 r. UWO połączyło się na kongresie w Wiedniu ze Związkiem Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, tworząc Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), w składzie której jeszcze przez kilka lat funkcjonowała autonomiczna Ukraińska Organizacja Wojskowa. Główne role w OUN odgrywali Jewhen Konowalec i Stepan Bandera. Do ostrych starć z władzami polskimi doszło w 1930 r. w związku z tzw. „wyborami brzeskimi”, w czasie których władze państwowe starały się wszelkimi sposobami, także siłą, doprowadzić do zwycięstwa Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. OUN przeprowadziła wówczas rozległą akcję działań sabotażowych, nie cofając się nawet przed zabójstwami. Odpowiedzią stały się „pacyfikacje” policyjne wymierzone głównie we wsie ukraińskie. Zastosowanie przez władze zasady zbiorowej odpowiedzialności, brutalna bezmyślność przejawiana w czasie owych bezprawnych działań pacyfikacyjnych, przyczyniły się w znacznej mierze do zaognienia sytuacji w południowo-wschodniej Polsce i, praktycznie, przekreśliły jakiejkolwiek nadzieje na zbliżenie stanowisk obu narodowości. Klub Ukraińsko-Białoruski liczył w sejmie już tylko 18 mandatów. Warto dodać, że na Wołyniu BBWR wystawił na swych listach również kandydatów ukraińskich. Było to jednak bardziej zasługą liberalnego wojewody Józefowskiego, niż kierownictwa Bloku.

Wiceprezesem Klubu BBWR został Tadeusz Hołówko, człowiek starający się doprowadzić do porozumienia z posłami z UNDO, jednak w oparciu o stanowisko wynikające z polskiej racji stanu. Tak więc na przykład ostro skrytykował złożony przez parlamentarzystów ukraińskich w Lidze Narodów protest w sprawie pacyfikacji. Ostatecznie do ugody nie doszło, gdyż żadna ze stron nie zdobyła się na odrzucenie panującej w czasie rozmów wzajemnej nieufności i podejrzliwości. Z kolei prawicowe ugrupowania ukraińskie zaatakowały ostro tych polityków z UNDO, którzy byli skłonni do dalszych pertraktacji. W 1931 r. w Truskawcu dwaj bojówkarze OUN zamordowali Hołówkę. Rok później zostali straceni na mocy wyroku sądowego, mimo zakrojonej na szeroką skalę akcji mającej na celu ich ułaskawienie. Pogłębiło to przepaść dzielącą obydwie narodowości. W 1934 r. ukraińscy nacjonaliści zamordowali ministra spraw wewnętrznych RP Bronisława Pierackiego. I chociaż zarówno w pierwszym jak i w drugim wypadku podejrzewano, że Ukraińcy stanowili tylko narzędzie zbrodni, a jej inspiratorów należy szukać albo, jak w przypadku Hołówki, w ZSRR, albo też — w policji, jak miało to miejsce z Pierackim (przez pewien czas o zbrodnię tę podejrzewano Obóz Narodowo-Radykalny), opinia publiczna zwróciła się przeciw Ukraińcom bez względu na głoszone przez nich przekonania polityczne. Jednakowo traktowano zarówno liberalów jak i radykałów. Wielu działaczy ukraińskiego ruchu narodowego osadzono w obozie w Berezie Kartuskiej.

AKTYWNOŚĆ polityczna Ukraińców wyrażała się nie tylko w działalności ich partii i stronnictw, ale również w podejmowanych na szeroką skalę akcjach gospodarczych. Miały one ogromne znaczenie dla konsolidacji różnych warstw tej społeczności, zwłaszcza włościainstwa. W województwach południowo-wschodnich powstawały liczne spółdzielnie o charakterze wytwórczym i handlowym. Kierował nimi Związek Rewizyjny Spółdzielni

Ukraińskich (RSUK), a podlegały mu centrale zrzeszające spółdzielnie zaopatrzenia i zbytu (Centrosojuz), mleczarskie (Maslosojuz), pożyczkowe (Centrobank) i spółdzielnie spożywców (Narodna Torhiwla). W 1930 r. liczyły one już około 350 tysięcy członków, niekiedy monopolizując zarówno produkcję rolną jak i handel na terenie swojej działalności. Były one również szkołą działań organizacyjnych, przy czym główną rolę odgrywało w nich UNDO.

Dobrze rozwijały się także towarzystwa kulturalno-oświatowe, a wśród nich Naukowe Towarzystwo im. Tarasa Szewczenki, które stało się jedną z najpoważniejszych instytucji naukowych działających w Polsce w okresie międzywojennym. Prowadziło ono rozległą działalność wydawniczą i popularyzatorską. Na działalność wśród mniejszy wymagających odbiorców nastawione były Proswita, Ridna Chata i Ridna Szkoła. Zakładały one biblioteki publiczne i starały się w miarę możliwości wspierać szkoły z ukraińskim językiem nauczania.

Można powiedzieć, że Ukraińcy mieszkający w granicach Rzeczypospolitej Polskiej przeżywali drugie (po latach trzydziestych XIX wieku) odrodzenie narodowe. Było to możliwe dzięki zapewnionym i gwarantowanym przez Konstytucję prawom obywatelskim oraz demokratycznemu ustrojowi państwa. W tym samym czasie, w Ukrainie Socjalistycznej Republice Radzieckiej działacze narodowych szyskanowano, by na koniec cały naród poddać masowym represjom systemu stalinowskiego. Z drugiej jednak strony władze polskie starały się nie zauważać przemian, jakie zachodziły w świadomości obywateli polskich narodowości ukraińskiej i dążyły do ich możliwie szybkiej asymilacji, sądząc niesłusznie, że w ten sposób pozbędą się na zawsze kłopotliwego problemu komplikującego sprawowanie rządów na południowych i wschodnich kresach państwa. Pominąwszy nawet pseudonaukowe teorie o tym, jakoby kwestia ukraińska została wymyślona przez zaborców austriackich w XIX w., starano się przede wszystkim o stworzenie pewnego systemu, który objąłby całość działań prowadzonych w tym, asymilacyjnym, kierunku. Najważniejszą rolę w tym programie odgrywało szkolnictwo. Tak więc w 1924 r. wprowadzono szkoły dwujęzyczne, co w ciągu pięciu lat doprowadziło do zmniejszenia się liczby szkół powszechnych z ukraińskim językiem nauczania z 2151 do 716.

Nie czyniono też poważniejszych starań o rozwój gospodarczy tych ziem, które w większości stanowiły smutny obraz galicyjskiego spadku po Austrii i, częściowo, Rosji. Na terenie obejmującym mniej więcej 25 % powierzchni kraju i tyle samo ludności, aż 80 % mieszkańców utrzymywało się z rolnictwa, przy czym na wsi przewagę miały drobne gospodarstwa chłopskie, których właściciele łakomym wzrokiem patrzyli na sąsiadujące z nimi wielkie majątki ziemskie. Nie brakowało więc i starć na podłożu klasowym, które nasiliły się w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego. W tym również należy upatrywać przyczyn nasilenia się działań sabotażowych w 1930 r. (podpalenia, niszczenie zabudowań folwarcznych) oraz powstania chłopów polskich i ukraińskich w powiecie leskim, w 1932 r. Nieco później ruszyła do walki, głównie na Wołyniu, partyzantka ukraińska o bardzo niejednorodnym zresztą charakterze. Niemal równoległe pojawiały się oddziały inspirowane przez komunistów i inne, przez nacjonalistów. W tym też roku zakazano działalności Sel-Robu.

Wielu mieszkańców dawnej Galicji wschodniej wyemigrowało do Kanady i Stanów Zjednoczonych, a także zasililo ośrodki emigracyjne w Niemczech, Czechosłowacji i Austrii.

W tej sytuacji nie budziły zaufania jednostkowe gesty władz starających się doprowadzić do zbliżenia stanowisk. Krótkotrwałe porozumienia i sojusze miały charakter koniunkturalny, chociaż nie ulega wątpliwości, że w ślad za nimi podjęto wiele ważnych i trwalszych inicjatyw. Pod koniec lat dwudziestych doszło na przykład do wyraźnego zbliżenia między rządem polskim a rządem emigracyjnym Ukraińskiej Republiki Ludowej. Wyraziło się to nie tylko we współpracy wywiadów obydwu stron, ale również w powołaniu w 1930 r. w Warszawie Ukraińskiego Instytutu Naukowego. Zaslugą UIN było opublikowanie kilkudziesięciu prac naukowych poświęconych historii, kulturze i ekonomice Ukrainy oraz wydanie

paru ważnych zbiorów dokumentów, m.in. dotyczących działalności hetmana Mazepy i jego następcy — Pylypa Orlyka. W 1934 roku obóz sanacyjny zawarł przedwyborcze porozumienie z UNDO oraz z tzw. starorusinami kierowanymi przez biskupa greckokatolickiego Chomyszyna. Gdy jednak doszło do wyborów, UNDO wystąpiło wspólnie z pobratymcami z Wołynia, znajdującymi się pod wpływem petlurowców orientujących się na Ukraińską Republikę Ludową. Łącznie w sejmie zasiadło 19 posłów ukraińskich, w tym 13 z UNDO, a jego przywódca Wasyl Mudry został wicemarszałkiem sejmu. W senacie znalazło się 6 senatorów ukraińskich.

FLIRT z sanacją nie trwał długo, a gdy okazało się, że na kresach zaczęto zakrojoną na szeroką skalę akcję burzenia cerkwi związaną z „nawracaniem” prawosławnych na katolicyzm, stronnictwa ukraińskie przeszły do opozycji. Ostatnie przed wojną wybory parlamentarne odbyły się w 1938 r. Ukraińcy zdobyli w nich o jeden mandat mniej, niż w wyborach poprzednich, przy czym nieco (o jeden mandat) poprawiło swoją pozycję UNDO. Mudry ponownie objął urząd wicemarszałka, ale w przeciwieństwie do sytuacji sprzed trzech lat, tym razem zgłoszono go z sali, nie korzystając z możliwości uczynienia tego przez prezydium sejmu. Później jeszcze trzej Ukraińcy z Wołynia zadeklarowali swoje przejście do UNDO, które w ten sposób stało się faktycznie jedynym przedstawicielem interesów mniejszości ukraińskiej w sejmie.

Szczególną, jednoczącą rolę odgrywał wśród Ukraińców w Polsce kościół grecko-katolicki, a zwłaszcza jego metropolita, rezydujący we Lwowie, Andrzej hr. Szeptycki. Był on wielkim autorytetem moralnym, cieszącym się ogromną popularnością.

Koniec lat trzydziestych przyniósł ponowne zaostrezenie się polemik polsko-ukraińskich. Ukraińcy protestowali nie tylko przeciw burzeniu cerkwi na Podlasiu i Wołyniu, ale również przeciw rządowej polityce rolnej zmierzającej do umocnienia elementu polskiego na kresach państwa. Wyrażało się to przede wszystkim w tworzeniu nowych majątków osadniczych, które trafiały wyłącznie w polskie ręce. Ugrupowania radykalne przypominały hasło: „Polacy za San!” i rozpoczęły na nowo akcję zastraszania ludności polskiej, podpalały i sabotaży.

Zbliżająca się wojna polsko-niemiecka doprowadziła do polaryzacji stanowisk ukraińskich ugrupowań politycznych. Większość z nich opowiedziała się po stronie polskiej, nie tylko składając swojego rodzaju deklarację lojalności, lecz również — zapowiadając walkę w jej obronie z bronią w ręku. Jedynie działacze z podziemnej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, nb już od kilku lat prowadzący rozmowy z rządem niemieckim, liczyli na realizację swoich planów niepodległościowych przez ścisłą współpracę z rządem hitlerowskim. Stanowisko to miało wkrótce doprowadzić do wielkiej tragedii obydwu narodów.

Gdy spojrzeć na dzieje ludności ukraińskiej w Polsce w latach międzywojennych łatwo dostrzec można, że — prawdę powiedziawszy — żaden rząd i żadne polskie ugrupowanie polityczne nie dysponowały w sprawie mniejszości narodowych całociowym, zwartym, skutecznym i — dodajmy — konsekwentnie realizowanym programem. W polityce tej zasadniczą rolę odgrywały przede wszystkim anachroniczne poglądy na ziemię kresowe Rzeczypospolitej, a także — koniunkturalne interesy partyjne. Sporo było też obustronnej niechęci, nieufności i fanatyzmu w działaniu. Przy tym trzeba jednak pamiętać, że to w Polsce, w dwudziestolecu międzywojennym, ukraiński ruch narodowy uzyskał jak dotychczas najlepsze warunki swego rozwoju, dzięki czemu wiele idei uległo rozwinięciu, a wielu działaczy uzyskało po raz pierwszy możliwość swobodnego głoszenia swych poglądów.

Między innymi chyba właśnie dlatego w „gorbaczowowskim” ZSRR, obchody pięćdziesięciolecia wkroczenia wojsk radzieckich do Polski były właśnie we Lwowie obchodzone nie jako dzień radości z powodu połączenia się dwóch najważniejszych części Ukrainy, lecz jako dzień żałoby.

Spotkanie z Aleksandrem

JERZY KOWALCZYK

Prawie cztery lata temu podejmowałem w Warszawie gościa z Kijowa, w restauracji zwanej — nomen omen — „Gastronomia”, naprzeciwko Muzeum Narodowego. *Aleksander Kasjanowicz Fedoruk*, przystojny mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, ciągle uśmiechnięty, o żywych oczach, z wąsami do dołu spuszczoneymi, okazał się sympatycznym rozmówcą. Zwróciła moją uwagę dobra znajomość języka polskiego, ale szybko wyjaśniło się źródło. Po prostu jego matką jest Polką i pochodzi z Lubelszczyzny. Zaciekawiony, zacząłem się dopytywać o strony rodzinne matki, bo ja też jestem z Lubelszczyzny. Ku mojemu radosnemu zdumieniu usłyszałem, że jej rodziną kolebką jest wieś Potok Wielki koło Kraśnika. Gdy poprosiłem o imię i nazwisko panińskiej matki, usłyszałem: Helena Lewandowska. Toż to ja znam tę rodzinę! Pamiętam, były dwa domy obok siebie dwu braci, koło szkoły. Z Marią Lewandowską uczęszczałem do jednej klasy w szkole powszechnej. Mój ojciec był w Potoku przez dwadzieścia siedem lat organistą przy starym gotyckim kościele; moje dzieciństwo i później letnie wakacje były związane z tą wsią. Jako młody licealista, który wahał się, czy po maturze pójść na etnografię, czy na architekturę, rysowałem wewnątrz starej chaty Lewandowskich, niskie, ze stropem belkowym, z kuchnią o wielkim okapie, z prostymi sprzętami. Na weselu w sadzie u Lewandowskich w 1950 r. rysowałem muzykantów, gości i starą babcie Lewandowską, o co — pamiętam — miał pretensję jej syn. Zachował mi się rysunek nie tylko muzykantów, wewnątrz chaty, ale i kapliczki przy drodze naprzeciwko domu, ze świątkiem, Janem Nepomucenem, wyrzeźbionym kilkadziesiąt lat temu przez pradiadka Lewandowskiego.

Niezwykły zbieg okoliczności. Okazało się, że dwaj historycy sztuki, pracujący w instytutach naukowych, jeden w Kijowie, drugi w Warszawie, mają rodzinne związki z... Potokiem Wielkim. Staliśmy się sobie bliżsi. Aleksander nie dał się długo prosić i zaczął mi opowiadać o swoich rodzicach, studiach, obecnej pracy i o tym wszystkim, co go z Polską łączy. Więzy krwi, ale nie tylko.

Rodzice pobrali się we Francji, gdzie wyjechali przed wojną za chlebem. Ojciec Ukrainiec, Kasjan (Kazimierz) Fedoruk, był sierotą, pochodził ze wsi Koszlaki nad Zbruczem, w powiecie zborowskim w województwie tarnopolskim. Wyemigrował do Francji w 1928 r. i pracował w kopalni w Mericourt-Corant w departamencie Pas de Calais. Matka, Helena Lewandowska, jako kil-

kunastoletnia dziewczyna znalazła się w tym samym miasteczku francuskim w 1934 r. Pobrali się w 1937 r. Dwa lata później, 27 września 1939 r., urodził się im syn Aleksander. „Meri-court-Corant to miasteczko — wspomina mój rozmówca — gdzie były tradycje górnicze i gdzie emigranci żyli z Francuzami. Kopalnie i pola pszenicy były razem. Życie prowincjonalne. Towarzystwa polskie, ukraińskie, włoskie, rosyjskie z amatorskimi przedstawieniami, świętami ludowymi i obczajem”. Gdy po wojnie rodzice opuścili Francję, Aleksander miał siedem lat, a świadectwem jego urodzenia jest język francuski, którego starał się nie zapomnieć, rozwijał jego znajomość i dziś swobodnie mówi i koresponduje w tym języku.

W grudniu 1946 r. rodzice z Aleksandrem powrócili już nie do Polski, ale na daleką Ukrainę, do Odessy. Potem była nadal ciężka praca ojca w kopalni w Donbasie; przyszła szybko choroba zawodowa — pylica, renta i powrót w rodzinne strony, do Tarnopola, wreszcie przedwczesna śmierć.

Mimo trudnej sytuacji rodzinnej i materialnej, Aleksander Kasjanowicz podjął studia dziennikarskie na Uniwersytecie Lwowskim, a potem drugie studia z teorii i historii sztuki w Akademii Sztuk Pięknych w Leningradzie. Pracę kandydacką napisał — nie przypadkowo — na temat stosunków polsko-ukraińskich w sztuce II połowy XIX i początku XX wieku. Sztuka polska nowo-

czesna stała się jego główną specjalnością jako historyka sztuki. Uprawia ją w Instytucie Sztuki, Etnografii i Folkloru Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie. Jest tu kierownikiem działu sztuki europejskiej krajów słowiańskich i wicedyrektorem Instytutu.

Pierwszy raz przyjechał do Polski w 1969 r. i odtąd bywa często. Poznał wielu wybitnych historyków i krytyków sztuki oraz artystów malarzy, wśród których ma wielu przyjaciół. Ze znakomitego grona profesorów znał, nieżyjących już dziś, Juliusza Starzyńskiego, Tadeusza Dobrowolskiego, Stefana Kozakiewicza, Kazimierza Malinowskiego, Stanisława Teisseyrea. O książce Fedoruka „Dzereła kulturnich wzajem” (Źródła stosunków kulturalnych), wydanej w Kijowie w 1976 r., napisał życzliwe słowa Jarosław Iwaśzkiewicz na łamach „Życia Warszawy”, w artykule „Książki przywiezione z Ukrainy”. Aleksander opowiada z dumą o odznaczeniu „Zasłużony dla kultury polskiej”, otrzymanym — jeśli pamięć mnie nie myli — w 1980 r.

Aleksander Kasjanowicz ma przyjacielskie związki od lat z moim Instytutem Sztuki PAN. Dwa nasze instytuty akademickie w Warszawie i Kijowie, poświęcone interdyscyplinarnym badaniom nad sztuką, podjęły cztery lata temu ożywioną współpracę naukową, wymianę pracowników. Odbyły się pierwsze sympozja polsko-ukraińskie w Warszawie (1988) i Olesku koło Lwowa



IZBA W CHACIE WŁ. LEWANDOWSKIEGO W POTOKU WIELKIM (1950)

rys. Jerzy Kowalczyk

(1989), o których warto byłoby osobno napisać. Dzięki tej współpracy zobaczyłem wreszcie Kijów. Moich kolegów z dyrekcji i mnie zawiózł Aleksander swoim samochodem także do Humania i Zofiówki, gdzie podziwialiśmy słynny park romantyczny Szczęsnego Potockiego, a potem pojechał z nami aż do Kamieńca Podolskiego, przez Berdyczów i Latyczów. Na tej pięćsetkiłometrowej trasie, w czasie wypoczynku w upalny dzień lipcowy zrobiłem mu pamiątkowe zdjęcie, które dołączam do niniejszego wspomnienia.

Aleksander Kasjanowicz zajmuje się wojennym malarstwem polskim i za jednego z najwybitniejszych twórców tego okresu uważa Władysława Filipiaka z Lublina. W opublikowanym ostatnio obszernym studium o portrecie polskim, na poczesnym miejscu omawia dzieła tegoż artysty. Pośredniczyłem w uzyskaniu do publikacji fotografii portretów od wdowy Jadwigi Filipiakowej, która była najczęstszym tematem jego obrazów. „Jaga”, muza malarza, wybijająca się w lubelskim środowisku oryginalną południowo-wschodnią urodą i barw-

nymi strojami, urodziła się także na Ukrainie, o czym mi kiedyś interesująco opowiadała. Otrzymałem od Fedoruka dwa egzemplarze publikacji o portrecie polskim, z reprodukcją portretu „Jagi” pędzla Filipiaka; jeden z nich był przeznaczony dla pani Filipiakowej. Nie zdążyłem jej jednak wręczyć tego wydawnictwa. Gdy przyjechałem w połowie grudnia ubiegłego roku do Lublina, dowiedziałem się, że umarła.

Aleksander bardzo chciał poznać panią Filipiakową i w czasie najbliższego pobytu w Polsce mieliśmy jechać do Lublina, aby się jej pokłonić. Za późno. Ale na pewno udamy się do Potoka Wielkiego, bo Aleksander jeszcze nie był w rodzinnej wiosce swojej matki. Chciałbym z nim pojechać, bo też po wyjeździe rodziców z Potoka, przeszło ćwierć wieku temu, jeszcze tam nie byłem, a musiało się wiele zmienić od czasu, gdy utrwaliałem tę wieś olówkiem i aparatem fotograficznym.

Jerzy Kowalczyk

(Na zdjęciu obok Aleksander Fedoruk)



Wolna sztuka Ukrainy

CZAS PRZEMIAN

Aleksander Fedoruk

Czy w sztuce ukraińskiej z połowy lat osiemdziesiątych istnieje postęp ideowy? Co jest oznaką jej przebudowy? Jak pracują dzisiejsi mistrzowie? Co pewien czas pytania te pojawiają się przed nami i nie można uchylić się od odpowiedzi na nie. Jesteśmy bowiem świadkami wielkich zmian, jakie zaszły w ukraińskim środowisku artystycznym i jakie nadal je nurtują.

Jasne jest jedno: że pięć lat temu zmieniły się całkowicie poglądy na rolę i zadania sztuki, że w nowy sposób zaczęto rozumieć tradycje narodowe, że główną uwagę przeniesiono na indywidualnego człowieka, jego problemy i przeżycia, tj. na odkrycie i przedstawienie kameralnych, poetycznych strun duszy ludzkiej. W malarstwie zaostriżła się w tym czasie tendencja społeczna, znikła mdła, pompatyczna, urzędowa nastrojowość. Zwiększył się ciężar gatunkowy groteski, ironii, satyry, metafory.

Tragedią i dramatem ludzkim zabrzmiało na cały świat słowo „Czernobyl”. Przypominają mi się te smutne wiosenne dni, kiedy to razem z innymi artystami wyjeżdżałem do tej strefy — do środka piekła, gdzie ziemia zdawała się być przepojona złowieszczym oddechem śmierci. Pierwsze rezultaty tych wyjazdów pojawiły się w dziełach malarzy, rzeźbiarzy, grafików: D. Nahurnego, O. Red'ki, A. Szlapaka, O. Radzenyca, J. Droczenki, I. Seweryna, M. Szelesta, W. Znoby. Cierpienie czernobylskie stało się integralną częścią naszej sztuki, weszło do naszej świadomości jako hasło walki o ekologię, o pamięć kulturową, o moralne zasady życia. Od tej pory co roku urządza się w dniu 26 kwietnia wielką wystawę pod nazwą „Ekologia

i ludzie”.

Spójrzmy na kompozycję Witalija Tyszora „Legenda”, wykonaną w drzewie. Tryptyk ten uzyskał w roku 1987 pierwszą nagrodę w Bułgarii. Widzimy na nim wytrwale dążenie rzeźbiarza do ukazania humanistycznej strony istoty ludzkiej. Wszystko na świecie jest niepewne, chwiejne, rozbite. Tragiczna Matka Boska pragnie uchronić dziecko. Rozbite jajko to symbol ruiny, znęcania się nad żywą materią. Ludzka postać na kolanach — to motyw prawdziwie dramatyczny. XX wiek podniósł rangę człowieka, ale także rzucił go na kolana. Kijowski rzeźbiarz W. Szyszow dramatyzuje formę plastyczną, doprowadza ją do stanu wyższej ekspresji. Przypomina mi to formalne poszukiwania artysty zakopiańskiego Antoniego Rząsy, rozmowy z którym w latach siedemdziesiątych dały mi wiele prawdziwej radości. Wspomnijmy choćby jego „Pietę”...

W. Szyszow należy do młodego pokolenia artystów, którzy nowoczesne poszukiwania formy wiążą z tradycyjnymi korzeniami narodowymi. Wielu współczesnych mistrzów zachwyca się muzyczną i plastyczną kulturą ludu. Ludowe święta, wierzenia, legendy, zwyczaje nie są mechanicznie przenoszone do sztuki, ale uzyskują nowe interpretacje artystyczne.

Jak oceniam mistrzów ukraińskich po spotkaniach z nimi na wystawach, w pracowniach, w dyskusjach, po wspólnych podróżach i plenerach? Są oni pracownicy, niezadowoleni z siebie, szukają nowych form wyrazu, bardziej płomiennych, obrazowych ekwiwalentów dla realiów, swego stanu, myślenia — to właśnie stanowi sens ich życia twórczego.

Pisać o nich i łatwo i trudno. Łatwo, bo ich twórczość realizuje się na naszych oczach. Trudno, bo każdy mistrz szuka swojej linii, swego

koloru i rytmu kompozycyjnego. O dawniejszych autorytetach napisano już wiele książek i katalogów, dzieła ich zdobią ściany muzeów...

Weźmy choćby obrazy Wołodymira Mykyty. Spotkałem go w pierwszych dniach po Nowym Roku w jego pracowni w Użhorodzie. Jest on malarzem sławnym na całą Ukrainę! Jeszcze w roku 1969 namalował kompozycję „Jagniątko” — syntetyczny obraz Karpat, gdzie w postaci starego owczarza ukazał przykład nieprzekupnej miłości człowieka do żywej przyrody.

Wiele obrazów wyszło spod pędzla Mykyty. Ale w mojej pamięci pozostały te z pracowni, przez nikogo jeszcze nie oglądane. Najważniejsza praca to obraz „Owczarnia”. Namalowano na niej trzodę, która wygląda z chlewa, zachwyca ona dekoracyjnością kolorów, wyczuwa się tu subtelny myśl mistrza! Drugi obraz to portret poety P. Skuncia. Ten użhorodzki poeta napisał w swoim czasie poemat pt. „Ukrzyżowanie”, z powodu czego miał wiele nieprzyjemności. Ukrzyżowanie, widoczne za plecami poety, to jego droga krzyżowa.

Wiele kompozycji Mykyty obrazuje jego poszukiwania twórcze: „Schodki”, „Kolumny”, „Abstrakcja”, „Szuflada”. To swego rodzaju laboratorium twórcze. I uchwycony jednym tchem, natchniony „Autoportret” artysty. Patrzy na nas mądrymi oczami przez szkła okularów mądry Mykyta...

Pojechałem specjalnie z Użhorodu do Lwowa, około 200 km, by zapoznać czytelników „Kamieny” z artystami lwowskimi. A jest ich tu niemało: W. Patyk, A. Bokotej, O. Myńko, M. Bezpalkiw i inni. I jeszcze żyjący patriarcha szkoły lwowskiej, Roman Selśkyj, u którego uczyło się wielu mistrzów. Dużo o nim mówił w Poznaniu niezapomniany Stanisław Teisseyre.

Najpoważniejszym wśród wszystkich twórców wydaje się być Wołodimir Patyk. Widziałem go przy pracy na plenerach, za sztalugą w pracowni. W latach siedemdziesiątych poszukiwał on rodzaju i formy, teraz zachwyca widza interpretacją aktualnych idei społecznych. Szanuje konkret, dokładność, forma jego obrazów jest mocna, kolorystyka jakby utkana z harmonijnych barw.

Na mojej ścianie widzą akwaforty Iwana Ostafijczuka, które on wykonał przed laty według swej manieri, a nie według utartych schematów. Wówczas, w latach sześćdziesiątych, wyglądały one świeżo, niecodziennie, jak coś nowego i jeszcze nie spotykanego. Z każdą pracą Ostafijczuk podnosił swój poziom.

Lwowianie są w twórczym nastroju, co nie opuszcza ich już przez 20 lat. W ostatnim okresie zjawily się imiona młodych ustalen-towanych malarzy, plastyków, grafików. To Roman Romanyszyn, Borys Buriak...

Romanyszyna zauważono po raz pierwszy na ogólnoukraińskiej wystawie w roku 1987, gdzie pokazał on tryptyk „Kwiaty”. Wówczas też wystawiono jego płótna w Rzeszowie. Artysta ma ostre, wnikliwe spojrzenie. Jego dzieła bazują na motywach literackich, są nasycone folklorem — jest to nadzwyczaj dziwny bajkowy świat, gdzie rzeczywistość miesza się z fantastyką i gdzie człowiek czuje się pewnie i bezpiecznie, nawet w swojej niedoli. Jego obrazy są wykonane różną grafiką, znajdują się na pograniczu malarstwa i grafiki. Rozumie on świat po swojemu, co widać na przykładzie takich prac jak: „Bojkowska madonna”, „Wieczór pastucha”, „Nie dokoszony lan”. „Bojkowska madonna” pod względem formy przypomina pisanekę. To świat, który przywołuje jasne wspomnienia. Ale w sumie zapowiada on niebezpieczeństwo dla tej żalobnej matki...

Doświadczenie P. Buriaka sprawia, że pracuje owocnie, z szacunkiem dla płótna („Portret matki”, „Ojciec”). Obraz „Dedykacja” Stawropijskiemu Bractwu” uchyla kurtynę historii — kartę z kulturalno-naukowego życia Lwowa z XVI wieku. Czerwono-złociste, liliowe barwy tworzą odpowiednio uczuciowe tło.

Obserwuje się dziś powszechnie wyjście artystów do społeczeństwa. Mamy liczne wystawy artystyczne, na których pojawiają się nowe talenty. Istotną cechą sztuki ukraińskiej stało się ujawnianie głębokich i rzeczywistych korzeni, utraconych przez długie minione lata. Wartościowe z tego punktu widzenia coroczne

Seminaria Narbutowskie, poświęcone Mychajłowi Bojczukowi i jego szkole, programowe wystawy „W kręgu Bohdana Ihora Antonicza” ukazujące awangardistów ukraińskich z lat dwudziestych: Oksanę Pawlenko, S. Kolosa, S. Krawczankę, L. Kramarenkę.

W ukraińskiej szkole lat osiemdziesiątych urzeczywistnia się pokolenie nowych idei w stylu plastycznym, obserwujemy duży ruch artystyczny. Co jest tego przyczyną? To, o czym nie można było wcześniej nawet marzyć; swobodny rozwój różnych kierunków i stylów artystycznych, jak również ośrodków regionalnych. W ostatnim okresie wykryły się wyraziście takie szkoły artystyczne jak: kijowska, lwowska, charkowska, odeska, użhorodzka. Każda z nich posiada swoje własne oblicze, swój tradycyjny charakter, swoją głęboką kulturę, swoich cenionych mistrzów, którzy zasila ją korzenie kultury narodowej.

W przeciągu ostatnich lat pojawiło się wiele drogowskazów postępu artystycznego. Dla wielu osób odkryciem była kijowska wystawa „Młodość kraju” (1987). Wiązała się ona ściśle z duchem czasu, zawierała hasła estetyczne, jakie nurtowały społeczeństwo. Pojawiły się na niej nowe nazwiska, interesujące dzieła, w sposób przekonujący świadczące o tym, że do malarstwa wkroczyło nowe pokolenie, które podjęło się zadania odnowienia sztuki. Wystawa była ciekawa, gdyż pokazała nowe zasady ekspozycji i nowe inicjatywy organizatorskie.

Rzeczywistym ruchem do przodu w zakresie przyswojenia idei artystycznych stały się wystawy z cyklu „Sedniw” (1988, 1989), będące pokłosiem plenerów wiosennych i dały pełny obraz odnowy życia artystycznego na Ukrainie. Kierownikowi grupy, Tyberijowi Silwaszy, udało się stworzyć właściwą atmosferę twórczą, sprzyjającą odkryciu możliwości każdego uczestnika.

Sarkastyczne prace S. Łykowa, bursztynowe modulacje kolorów u P. Keresteja, ostre dramatyczne przeżycia M. Babaka (np. w pełnym psychologizmie i emocji tryptyku „Gdzie jesteście teraz, kaci mojego narodu”), kolorystyczna wytworność i estetyzm O. Hołosija, mitologizm O. Markytana, soc-art D. Fiszczenki — to wszystko oddziałują na wyobraźnię widza, kazeła nowe horyzonty malarstwa. Czy zjawisko to przetrwa na Ukrainie, czy też zostanie zduszone przez rutynę — to kwestia przyszłości. Teraz jednak wyraża ono radość twórczą, daje dużo miejsca na podjęcie i rozwinięcie demokratycznych, wolnościowych i humanistycznych poglądów. A my, delektując się tym, mamy wewnętrzną satysfakcję, jaką przynosi człowiekowi dobra sztuka, nie skażona kłamstwem trubadurów.

W ostatnim okresie zaktywizowała się twórcza inicjatywa artystów — monumentalistów, którzy wiernie zachowują nauki niezapomnianego Mychajła Bojczuka. Wielkim odkryciem była wystawa ich obrazów sztalugowych „Pogląd” (1987), na której 52 mistrzów pokazało swoje dzieła. Wszystkie cechuje pasja do przełamania starych stereotypów i szukania nowych rozwiązań. Wymowne szczególnie były obrazy W. Pasywenki „Przyszła wiosna do maminej chaty” i „Grawitacja Ziemi”, I. Marczuka „Kwitnąca ziemia” i „Umilkły struny”, także „Święta wieczerza” już zmarłego W. Zadorożnego.

To, co pokazali monumentalisci, uprawiano od dawna, stopniowo narastało w pracowniach. Jeszcze w końcu lat sześćdziesiątych monumentalisci myśleli o nowych ideałach w malarstwie. Lecz wówczas jeszcze nie przyszedł ich czas. Takich jednak, co — jak oni — trzymali obrazy w pracowniach, było wtedy wielu. Czekali na swoją porę kijowanie: O. Dubowyk i E. Petrenko, odesyci: Ł. Jastrub, W. Ciupko i W. Maryniuk, charkowianie: W. Hryciuk, H. Lisnyczyj, także O. Zalywacha z Iwanofrankowska, lwowianie: Ł. Medwid, Z. Flinta i O. Myńko.

„Pogląd” odkrył wielu mistrzów, dał im wiarę i nadzieję. Sukces wystawy był ogromny, mistrzów z Ukrainy zaproszono do Jugosławii, Węgier, Niemiec, stali się znani na całym świecie.

Byli i później takie problemowe wystawy, np. „Przez wieki” — na 1000-lecie chrztu Ukrainy, na 175 rocznicę urodzin Tarasa Szewczenki, „Kijów i kijowanie”, „Artysta i książka”. Wszystkie one posiadały adres: Kijów. Zgodnie ze swoją administracyjną rolą Kijów



Petro J. Gonczar, „Ukrzyżowanie”, 1987/88, tempera, 100x120 cm

stawal się też artystyczną stolicą Ukrainy. Ale już wystawa „Impreza”, zorganizowana w końcu roku 1989 w Iwanofrankowsku przez grupę entuzjastów, wykazała, że ośrodek artystyczny to pojęcie niestale. W tej awangardowej ekspozycji wzięli udział artyści niemal z całego świata. Zjawila się z nowymi pracami młodzież z całej Ukrainy.

Co daje „Impreza”? Jakie wrażenia wynosi widz z wystawy? Forma plastyczna jest zmienna, dynamiczna. Koncentrują się w niej wrażenia, intelekt, doświadczenia życiowe i genetyczne. Ona jest istotą postępu w sztuce. Wzbożona o doświadczenia tradycji narodowych staje się kwintesencją rozwoju, wolnego jak wiosenna rzeka, która się uwolniła od lodu.

Narodowy początek, narodowy duch, rytm, energia linii, kolorów, płaszczyzn i objętości. Te cechy dominowały w „Imprezie”, stały się wyznacznikiem dobrego tonu, nowoczesnego stylu i profesjonalizmu.

Zwróćmy uwagę na prace tych artystów, którzy nas najbardziej zaintrygowali. Dzieła te wyznaczają granice pokonywania stereotypów oficjalnej sztuki. Obrchunki ze starym odbyły się na płaszczyźnie nowego myślenia, jaką przyniosła naszym narodom idea wielkiej pieriestrojki. Oto obraz H. Hnatiuka „Żywa woda” — surrealistyczna metafora czystego żywiołu wody na Ukrainie. Opiewana w pieśniach

i dumkach, rozslawiana w opowiadaniach — prawdziwa woda, woda ludzkiego życia. Na obrazie znajduje się ona w różnych wymiarach: kobieta pierze białynę w potoku, bierze wodę, koń pije, krynica z wiadrem, kobieta ze skrzydłami — święty symbol. Jeszcze jedna próbka oryginalnego spojrzenia tego artysty — tryptyk „Defilada”. Feeria kolorów i nieuchwytny sarkazm — to defilada indyków. Artystyczny układ barw, podatny dla indywidualnej interpretacji — to wyraz ironicznego poglądu na życie.

Na wystawie znalazły się głęboko narodowe, namalowane w ostatnich miesiącach życia, obrazy W. Zadorożnego: „Nastia Lisowśka (Roksolana)”, „Bez nazwy”, tryptyk W. Moskaluka „Trzy motywy wiejskie”, kompozycja W. Kabaczenki „Monolog”, „Spas nerukotwornyj” D. Nahurnego.

Aktywne poszukiwanie formy plastycznej uwidoczni się u odesytów, w obrazach W. Wasancia („Ci, co idą naprzeciw”, „Dwoje”), O. Stowbura („Dziewczyna z niebieską wstążką”), W. Ciupki („Wspomnienia”), S. Sawczenki („Prognozy”). U kijowian przekonuje pragnienie zachowania wysokiego profesjonalizmu i świeżości. Są nazwiska znane, ale także nowe: W. Hryhorow („Przewrócony kielich zdrady”), J. Łewczenko („Złote i purpurowe”), W. Fedko („Troista muzyka”), O. Babak („Pamięć”), O. Borodaj („Budowniczy”), W. Nedajborszcz („Bez nazwy”). Wśród lwowian przeważa

młodzież (Luba Łebid—Korowaj, O. Korowaj, M. Demcio).

„Impreza” daje artystom wrażenie przestrzeni, a widzom prawo przywykania do niej. Wystawa nie posiada charakteru komercyjnego, jest przepojona ideą wiary w świętość ideałów sztuki — i to jest jej motyw przewodni. Odbiera się to jako apel do sumienia ludzkiego. Ten ruch etyczny został wymownie wyrażony w obrazach M. Malyszka: „Łoś z drewna” i „Nieprawdziwe bociany”; patos tych dzieł mówi: „Ludzie, szanujcie wszystko, co żyje, szanujcie przyrodę!” Jest to kwintesencja całej wystawy, skierowana do moralności ludzkiej, prawdy; przez te idee jednoczy ona ludzi.

... Naszą pamięć ożywia rozumienie nieodwracalności procesu narastania artystycznego potencjału Ukrainy. Na naszych oczach powstają nowe, samodzielne i oryginalne ośrodki. Błędem byłoby ominąć Poltawę. Znana jest ona od dawna na polu literatury, folkloru, piosenki i twórczości ludowej. Znane są w całym świecie reszetylskie kilimy, opiszańska ceramika.

Dziś w Poltawie tworzy pokolenie młodych artystów, uparcie szukających nowych elementów. Oryginalnością i znakomitą wyuczuciem realiów wyróżnia się Serhej Hnojowyj w obrazach: „Rodzinna zagroda”, „Jesienna martwa natura”, „Skrzyżowanie”, „Czumacki szlak”. Jego dusza promieniuje ciepłem i humanizmem, serce — poczuciem dobra.

O Marku Hejku pisano już na Ukrainie. Prezentuje on dekoracyjne cechy płótna. Często poszukuje finezyjnej prostoty. Dzieła jego zdyscyplinowała magia barwy („Powrót z przechadzki”). Artysta ma określony cel, dąży do wyrażenia jaskrawych wrażeń („Trwoga”, „Wieczór”).

Pamiętam, ile trudu kosztowało Halinę Ridną dojście do pełnego zrozumienia sztuki. Jej obrazy dają niezapomniane wrażenia. Dla Ridnej istotne są moralne problemy czasu, stosunki między ludźmi i przedmiotami („Ogolone emocje”). Dla niej mają znaczenie poszukiwania rytmiki koloru, relacji kompozycyjnych („Muzyka wieczorna”, „Muzyka nocna”).

Spśród wielu utalentowanych poltawian należy wymienić: mistrza gobelinu, Mykolę Cysia — reżysera kompozycji „Tysiąclecie chrztu”, Oлександра Łewackiego z jego rozumieniem kameralności („Plac Żabokrycki w Soroczyńcach”), klasyka ukraińskiej grafiki na porcelanie Iwana Wyćka, oryginalną mistrzynię gobelinu Nadzieję Babenko („Wiosennie”). Poltawscy mistrzowie liczą się teraz, śmiało wchodzą na arenę sztuki.

A jak jest z przedstawicielami awangardy ukraińskiej? Zainteresowanie ich twórczością jest duże, przeplatają się tu nadzieje i głosy krytyczne. Niekiedy trudno rozróżnić, kiedy chodzi o sądy trafne, a kiedy o pomyłki, ale nowe drogi w sztuce stanowią przedmiot ostrych sporów. I to jest dobrze. Bo gdzie jest prawdziwa sztuka, tam panuje niepokój, pulsuje żywa myśl. To jest domeną dzisiejszej młodzieży artystycznej.

Sztuka młodych opanowała dziś sale wystawowe Ukrainy. Niesie ona impulsy żywej obrazowości, w niej określa się granice społecznej aktywności naszych obywateli. Nie ma powrotu do przeszłości, czuje się niezłomną chęć do marszu naprzód. Z głębin intelektu pojawiło się podświadome, intuicyjne poczucie, co stworzyło asocjacyjną, metaforyczną leksykę.

Na nowo, jak feniks z popiołów, odrodziły się tradycje na wespół zapomnianych idei i ruchów awangardy w jej narodowej i europejskiej postaci. Jedno słowo, jeszcze dosyć nowe, nie dostrzegane przez dziesiątki lat, sympatyczne, dynamiczne. Żywa myśl tworzy system artystyczny, wykluczający powielanie idei. W tym ruchu objawiła się oryginalność sądów, nowatorstwo formy. Były też tendencje do koniunkturalizmu, konformizmu, dostosowania się do nowego rynku, a nawet jawna kompilacja.

W każdym bądź razie malarskie kompozycje S. Panycza, R. Żuka, P. Antypa, W. Pokycancia i in. daly wyraz temu, że do ukraińskiej sztuki wkroczyła młoda, dojrzała pod względem profesjonalnym, generacja. Pojawiła się grupa, w której każdy artysta stanowią indywidualność twórczą, reprezentował takie poglądy i nastroje, jakie odróżniały go od innych.

Różne myśli nasuwają obrazy S. Panycza: „Zraniony ptak”, „Trzeba iść”, „My”, „Witaj” — rezultat pracy w Sednewie (1988). Znałem już wtedy młodego i zdolnego Panycza: zwrócił na siebie uwagę ekspresywną manierą pisma w czasie pracy na plenerze w pięknych Karpatach (1987). Pasjonował się on wówczas gorącymi czerwonymi barwami, malując cielska zabitych krów i świń. Coś w rodzaju niderlandzkiej martwej natury, określonej we współczesnej uogólnionej formie. Co on chciał przez to powiedzieć? Coś budzącego trwogę, zagadkowego i denerwującego. Zestawienie tragedii i ironii...

Po drugim plenerze sednewskim (1989) Panycz wyróżnił się serią interesujących prac: „Krok”, „Będziemy żyć długo i umrzemy tego samego dnia”, „Ten co wola”, „Pieśń odwagi” — ten sam trop, napięcie myśli i uczuć, pragnienie znalezienia odpowiedzi na skomplikowane problemy współczesności, chęć orientacji we współczesnym świecie i dojścia do tej bariery psychologicznej, co rodzi niejasne aluzje i pełne lęku oczekiwania.

Weźmy np. obraz „Krok”. Dobrze on ilustruje manierę twórcy. Ukazano konwencjonalnie dwie sylwetki ludzkie, ale tematu nie ma. Przestrzeń pokazuje falujący stan jakiejś niejasnej akcji, co odpowiada niepewności naszych myśli i pragnień, coś umownego, to zetknęły się na ostrzu sprzeczności: dramat naszych dni, tragizm życia i ból za tym co utrone, fatalizm ruchu na drodze... Ci dwoje to jakby ślepcy Bruegela... Kolor we właściwej dla Panycza czerwonej tonacji (wpływ Rembrandta), płaszczyzna oddycha, farba jak gdyby ścieka, wibruje...

Czy młodzi mistrzowie zdołają utrzymać twórczy zapal, czy poniosą dalej tendencję społeczną swoich dzieł? Bądźmy optymistami. Oto Petro Honczar w obrazie „Krzyżują” wrócił do motywu ewangelicznego, zinterpretował go z pozycji człowieka lat osiemdziesiątych. I dla nas ten temat — tragiczna karta historii, ludzkiego istnienia — jest ważny. Jak widać, malarstwo odeszło powoli od sialenek salonowych i wkroczyło na drogę oświetloną ideami dobra i prawdy. Sztuka Ukrainy jest wielostronna w swoich spojrzeniach i gatunkach, w nawiązaniach do innych dziedzin kultury. Skierowana jest do Człowieka. I ta jej czysta melodia to najważniejsza cecha. Życzylibyśmy sobie, aby tak było dalej!

ALEKSANDER FEDORUK

Z ukraińskiego przełożył MIECZYŚLAW BUCZYŃSKI

Dyrekcja

Gdy sześćdziesiąt lat temu rozpoczęto w Chełmie parcelację majątku Starostwo-Oblonie, aby na tym terenie zbudować kompleks gmachów i domów mieszkalnych dla pracowników dyrekcji kolei, która tutaj miała przeprowadzić się z Radomia, nikt zapewne nie przypuszczał, że przeprowadzka nigdy nie dojdzie do skutku. Ale, pomimo takiego finału, określenie „Dyrekcja” utrwaliło się w świadomości chełmian i zostało przyjęte jako oficjalna nazwa tej części miasta.

Projekt przeniesienia radomskiej dyrekcji kolei do Chełma istniał już w 1925 roku. Wówczas to burmistrz miasta, Kazimierz Mastelarz, otrzymał zapewnienie wojewody lubelskiego, że rząd, doceniając znaczenie Chełma jako ważnego ośrodka polskości we wschodniej części województwa lubelskiego, zbuduje gmachy dla dyrekcji kolei. Władze Chełma — widząc w tym szansę rozbudowy i urbanistycznego uporządkowania miasta — zleciły Spółdzielni Architektonicznej Zakładu Architektury Polskiej w Warszawie opracowanie koncepcji osiedla. Rok później architekci Adam Kuncewicz i Adam Paprocki przedstawili projekt zabudowy — jak wówczas to określano — Nowego Miasta Chełma. Program zakładał wybudowanie 601 mieszkań różnej wielkości, w domach o zabudowie wolnostojącej i zwartej, gmachu dyrekcji, ambulatorium, łaźni i kasy.

Gmach dyrekcji, zaprojektowany przez Henryka Gaya, zaplanowany był jako dominanta i kulminacja jednej z głównych ulic — wówczas Józefa Piłsudskiego, obecnie Karola Świerczewskiego — łączących budo- wle z dworcem kolejowym. Obiekt ten, zbli- żony kształtem do litery H, różni się formą architektoniczną od budynków mieszkalnych noszących jednolite cechy, określane jako „styl dworcowy”, który uformował się przed I wojną światową. „Formy polskie ówczesnej architektury — pisze Józef A. Mrozek — miały również do spełnienia rolę polityczną i to wieloraką. Umacniały jedność kulturową państwa, podkreślały „polskość” na kresach wschod- nych oraz były manifestacją odrodzonej Polski wobec zagranicy.”

Program zabudowy mieszkalnej zakładał wzniesienie 11 typów budynków dwu i wie- lorodzinnych.

Rada miasta Chełma z okazji wmurowa- nia kamienia węgielnego w październiku 1928 roku przygotowała memoriał, w któ- rym pisano: „Są to wielkie inwestycje, które



Jeden z domów w osiedlu Dyrekcja

miasto Chełm (...) nie jest w stanie bez wydatnej pomocy ze strony rządu i wielkiego kapitału wykończyć. Niemniej zakładano, że do końca 1930 roku budynki będą gotowe do użytku.

Roboty ruszyły w dobrym tempie. W roku 1928 rozpoczęto budowę gmachu dyrekcji i doprowadzono ją do pierwszego piętra oraz zbudowano 54 domy w stanie surowym. Jednak wkrótce zaczęły się problemy. Ostra zima 1928/1929 spowodowała pęknięcie niektórych murów. Straty nie były duże, ale wykorzystali to przeciwnicy koncepcji przeniesienia dyrekcji kolei do Chełma. Sprawa nabrała ogólnopolskiego rozgłosu. Zaczęło również brakować pieniędzy. Tempo prac słabło. Do końca 1931 roku wykończono zaledwie 31 budynków, 59 dalszych wybu- dowano w stanie surowym. W 1932 roku porządkowano drogi i chodniki. Wkrótce całe przedsięwzięcie zostało zamrożone. Ówczesny kierownik budowy inż. Mikołaj Leszczyzna-Golybowski w roku 1933 opuścił Chełm. Robotnikom budowlanym, przyby- łym tutaj z różnych stron kraju, wymówiono pracę.

Mieszkańcy Chełma domagali się dokoń- czenia budowy. W 1935 roku opracowano w tej sprawie memoriał, w którym czytamy: „Smutno przedstawiały się nowe obszerne ulice z nie wykończonymi domami i gma- chami Dyrekcji. 112 budynków zamurowa- nych na glucho na terenie otoczonym barier- kami i budkami strażniczymi wyglądało po- nuro i żałośnie.” Rozważano możliwość

przeznaczenia obiektów na centralne wię- zienie, dla potrzeb wojska lub na cele zakon- ne.

Prace wznowiono dopiero w 1938 roku i do wybuchu wojny prawie je zakończono. Podczas wojny osiedle niewiele uciarpiało. Budynek przeznaczony dla dyrekcji kolei zajęło Gestapo. W pierwszych dniach po wyzwoleniu był on siedzibą władz PKWN, a potem przez rok Miejskiej Szkoły Artylerii. Od 1945 roku mieszczą się w nim różne urzędy państwowe.

Lata powojenne zaowocowały licznymi uzupełnieniami luk w istniejącej zabudowie osiedla. Niestety, w większości stanowią one negatywny przykład zabudowy, nie na- wiązującej do pierwotnej koncepcji archite- ktonicznej. Zaświadczyć o tym mogą budyn- ki przy placu PKWN, siedziba policji czy dom kultury. Pomimo tych architektonicz- nych wtęretów, a może, aby uniknąć ich w przyszłości, wojewódzki konserwator za- bytków w Lublinie, doceniając historyczną i urbanistyczno-przestrzenną rangę całego założenia „Dyrekcji” 24 kwietnia 1971 roku wpisał zespół do rejestru zabytków, kreując go w ten sposób na jeden z najmłodszych zespołów zabytkowych w Polsce.

JERZY GÓRNY

Prasowaczka

Ludzie zwyczajni, Bogu ducha winni, jak kiedyś, tak i teraz przezywani masami, otóż tacy ludzie jakby obojętnieją, zamykają się w prywatności, z której przecież nic nie wynika poza noworodkami. Obserwuje się nawet renesans zaciekawienia twórczością liryczną klasyków poezji chełmskiej, zwłaszcza tych, którzy opiewali Uherkę z brzegów i od wewnątrz, po zanurzeniu się w głębinach tej wody, obfitującej niegdyś w jazgarze i gotowe strofy ze szlachetnego kruszcu. Dawno temu Uherka była rzeczką, dziś jest kanałem, ale przecież o ludzkim samopoczuciu decydują nie tyle realia, co zdolność maskowania trywialnego świata muślinową siateczką subiektywnych iluzji. Naturalnie, ta zabawa w chowanego ma swoje granice, po której przekroczeniu szlag człowieka trafia, albo schizofrenia.

W zupełnie innej sytuacji psychicznej są dziś natomiast osoby do niedawna zdumione życiem, wręcz zblazowane, które ze zdumieniem stwierdzają, że jednak dziwny jest ten świat. Czasy są ciężkie — mówią — w budżecie Chełma ziele kilkumiliardowa dziura, słynna „Oaza” definitywnie zesłała na radykalny populizm, Zdzisław Karpiński kompromituje Mickiewicza własną wersją „Pana Tadeusza”, w której przebąkuje się o przyłączeniu Szczecina do Litwy przy pomocy czarnoleskich mrówek z zakamarków dwóch przedostatnich „kobitek” — a jednocześnie miasto nad Uherką gwałtownie rozkwita prasą! Oto w lipcu 1990 roku odnotowano, że w niespełna 60-tysięcznym Chełmie ukazywały się następujące tytuły: „Tygodnik Chełmski”, kwartalnik kresowy „Kamena”, „Słowo Chełma”, kwartalnik „Kresy Literackie” i tygodnik „Przegląd Kresowy”, który niedawno wzmocnił ten periodyczny front „zawracania ludziom w głowach”. A każde toto inne, a wszystkie przekonane, że jeśli w swoim rodzaju nie są jeszcze najlepsze na świecie, to rychło będą.

Faktycznie, zagęszczeniem czasopism Chełm bije na głowę chyba wszystkie miasta zamieszkałych kontynentów, a na pewno wszystkie miasta polskie o podobnej wielkości. Dzieje Ziemi Chełmskiej są długie, bogate i dramatyczne, ale czegoś takiego nigdy

w nich jeszcze nie było! W tutejszej przeszłości nie znajdujemy też owego rozmilowania w słowie „kresy”, które obecnie wdzięczy się w winietach aż trzech periodyków. Owszem, po pierwszej wojnie ukazywał się w Chełmie tygodnik „Polak Kresowy”, wydawnictwo Straży Kresowej, ale żywot jego okazał się krótki, niespełna dwuletni (1919—1920). Później tytuł ten odzyl w Łucku. Kto pierwszy we współczesnym Chełmie prasowym poszedł do głowy po „kresy”, trudno rozsądzić, ale wiele wskazuje, że stało się to w kręgu „Kamena”, już w grudniu 1988 roku.

Zapewne, nim słowa te ukazą się w druku, takie czy inne pismo chełmskie przewróci się na bruku uwarunkowań ekonomicznych, albo całkiem odmiennych, właściwych dla czasów, w których zapanowała wreszcie totalna wolność prasy. Więc carpe diem!

Wzmianka o „Polaku Kresowym” i żywa obecność Stanisława Mościckiego w Chełmie, zwłaszcza w klubie „Kwadrat” i w kinie „Zorza”, zachęcają nas do spojrzenia w przeszłość tutejszej prasy w okresie II Rzeczypospolitej. Dobre maniere to my mamy, wiemy dobrze, co akurat wypada.

W różnych latach międzywojnia ukazywały się w Chełmie następujące czasopisma, w większości tygodniki: „Głos Ziemi Chełmskiej” (dwukrotnie), „Polak Kresowy”, „Więści chełmskie”, „Zwierciadło”, „Kurier Chełmski”, „Chełmski Kurier Ilustrowany”, „Tygodnik Chełmski”, „Ziemia Chełmska”, „Kronika Nadbużańska” i „Echo Chełmskie”, będące mutacją pisma łódzkiego o tym samym tytule. Nie wiem, może coś jeszcze dobijało się o względy czytelników...

Piękny, bogaty rejestr — nieprawdaz?

Owszem, tyle że tytuły te istniały w większości rok lub dwa, jedynie „Zwierciadło” (1923—1939) i „Kronika Nadbużańska” (1933—1939) pożyły sobie dłużej, zresztą nie bez kłopotów, które próbowały opędać, zwłaszcza pierwsze z nich, jednodniówkami.

Naturalnie, wtedy też zaczęła wychodzić w Chełmie „Kamena” (od 1933 r.), która szczęśliwie dotrwała do wybuchu wojny jako miesięcznik — przynajmniej z nazwy, albowiem np. latem 1939 roku ukazał się

jeden zeszyt z trzema numerami pisma w śródki! Z tej okazji „Kronika Nadbużańska” („tygodnik regionalny”) pisała:

„W ciągu sześciu lat „Kamena” nie zdołała w Chełmie (tylko w Chełmie, rzecz jasna) czytelników. Nie jest to jej wina. Jeżeli spotyka się z przychylnym uznaniem w sferach literackich na szerszym świecie, jest czytana starannie, to dowód, że inteligencja miejscowa nie jest zdolna do literackich zainteresowań. Pisaliśmy o tym już kilkakrotnie. Uważamy za obowiązek wspomnieć jeszcze. Chełm się rozrasta i powinien już zdobyć się na ambicje kulturalne. To jest konieczne”.

Właśnie.

I dalej o tym, jak „zjadła dziewica szlachcica”, czyli o perypetiach Kazimierza Czernickiego ze „Zwierciadłem”, fatalnie zagrożonym wiosną 1933 roku. Wydawca i redaktor stwierdzał z bolesną ironią (nr 1!), że owszem, chełmianom prasa jest potrzebna:

„Ale Społeczeństwu, które zaledwie stało (i to nie zawsze) na urządzenie marnego balu, które oprócz myśli o jadł (i wódce) nie ma innych potrzeb, gazeta jest potrzebna o tyle, o ile zawiera dużo sensacyjnych kawałów, opisy zbrodni i kradzieży, napaści na ludzką cześć — wtedy Społeczeństwo czyta, czyta, ale... za darmo... Jeden kupi, a kilku przeczyta”.

Nie ośmielam się komentować tego surowego osądu pana Czernickiego, a dla zmiany nastroju proponuję jeszcze jeden cytacik, ze wspomnianej „Kroniki”, która w nr. 9 z 1939 roku, deklarując się jako pismo prorządowe, zauważyła na marginesie ówczesnych wyborów do samorządu:

„[...] nie spory i rozgrywki polityczne, nie rywalizacja międzypartyjna, nie uścielenie sobie gniazd wpływu politycznego jest celem aparatu samorządowego, ale realna i konkretna praca, spełniająca najważniejsze potrzeby gospodarcze, społeczne, oświatowe danego terytorium”.

Właśnie.

Najdziwniejszy w świecie wydaje się być ludzki upór w repetowaniu wodnistych złudzeń poetyckich i bardziej zasadniczych standardów.

Od tłumaczki

Miodrag Bulatović (ur. 1930 w czarnogórskim miasteczku Bijelo Polje) obok laureata nagrody Nobla z 1961 r., Ivo Andrića, jest najczęściej tłumaczonym na języki obce pisarzem jugosłowiańskim. W Polsce przełożono niemal całą jego twórczość: powieści *Czerwony kogut leci wprost do nieba* (1964, 1977), *Bohater na ośle* (1977, 1985), *Ludzie o czterech palcach* (1983), *Wojna była lepsza* (1985) i *Gullo Gullo* (1989); ukazał się także wybór z kilku tomów opowiadań *Największa tajemnica świata* (1977) i osobno dłuższe opowiadanie *Tyrania* (1983). Ten pisarz o niezwyklej wyobraźni zarówno w Jugosławii, jak i za granicą, ma zapewne tyluż zwolenników, co przeciwników, a to ze względu na szczególne właściwości jego prozy, między innymi: brak akcentowania „postawy” autorskiej (wskutek czego pomawiano go początkowo o „stawianie po stronie zła”), obfitość scen ostrych, brutalnych, a także śmiały, hipertroficzny erotyzm.

Do *Bohatera na ośle*, głośniejszej powieści z lat sześćdziesiątych, powrócił Bulatović po dwudziestu latach i opublikował drugą jej

wersję dodając między innymi kalkiem nowe sceny, z których jedną prezentujemy w tym numerze. Pisarz brawurowo ujawnia swój talent satyryczno-komiczny w przedstawionym tu obrazie małomiasteczkowej czarnogórskiej społeczności, a zwłaszcza symbolizowanej przez hodźę Merdanovicia ludności muzułmańskiej, skłonnej do współpracy z włoskimi okupantami. Jest także w tej scenie typowy dla Bulatovicia, jaskrawy, choć prześmiewczy erotyzm, kult męskości fantastyczno-heroicznej. Zdziwiała inwencja słowna, ów potok miejscami znoszący interpunkcję; dobrą okazję do igraszek słownych daje zwłaszcza przemowa hodźy, podbarwiona gwarą i licznymi turcyzmami w sposób funkcjonalny, dla uwypuklenia efektu komiczno-satyrycznego. Podstawowy chwyt konstrukcyjny, lokalizacja ważnego spotkania z Wielkim Gościem w Szalecie Królowej i posłużenie się formą kwiecistej oracji dla zamaskowania trywialnej rzeczywistości ma również charakter ironiczny: ojcem dziecka jest oczywiście nie hodźa Merdanović, lecz włoski kapral Barbagallo. Wszystkimi tym środkami Bulatović przekornie udowadnia swoją tezę: wojna to nie tylko okrucieństwo, to także — pornografia.

Danuta Cirić-Straszyńska

HODŹA MERDANOVIĆ BRONI SWEGO OJCOSTWA

MIODRAG BULATOVIĆ

Osoby

MUHAMED MERDANOVIĆ, hodźa
VUK VUKIĆ, pop
PADRE, kapelan
MUSTAFA AGIĆ, miejscowy szpieg
PUŁKOWNIK ALLEGRETTI, KAPITAN BRAMBILLA,
oficerowie garnizonu włoskiego
GENERAL BESTA, szanowny gość, przybył
na lustrację
MAJOR PEDUTO, główny scenarzysta, być może
alter ego autora

Rzecz dzieje się w czarnogórskim miasteczku Bijelo Polje, pod okupacją włoską, podczas ostatniej wojny

Szalec Królowej wznosił się przy ulicy Głównej, na samym dole, tam gdzie zaczynała się stromizna, skalna ściana, po której uryna i kał spływały aż do rzeki Lim. Większy był i okazalszy niż inne *cienny* królowej Heleny, zbudowane w jej zaniedbanym ojczystym kraju — w całej Czarnogórze, jak długa i szeroka. A tym, co przede wszystkim wyróżniało ową *cienny* wśród sraczy wzniesionych w pozostałych miejscowościach federalnej ojczyzny królowej, była woda, kran, pod którym — po załatwieniu potrzeby albo i nie — ludzie myli ręce i usta, odświeżali policzki i pośladki.

General Besta zdumiał się na widok żołnierzy pokrytych kurzem, ale wypoczętych, wyprężonych pod masztami, na których powiewały flagi włoska i czarnogórska, po obu stronach szaletu. Czarne koszule strzegły wejścia. Karabinierzy i piechurzy pilnowali, by tłum, który najwidoczniej ściągnął z bocznych uliczek, nie przerwał trójbarwnych wstęp, jeszcze nie przeciętych. Orkiestry dywizji „Wenezja” i „Cacciatori delle Alpi”, dobosze z ulicy Cygańskiej, znad potoku Posrań i z Dolnej Mahali, a także muzycanci w strojach ludowych znad Limu tworzyli szpaler. Pułkownik Allegretti, major Peduto i kapitan Brambilla prowadzili generała Bestę w stronę wejścia do salonu. Z mrocznych głębi kiszek i trzewi ktoś ryknął „Evviva!” Generała wprowadzono.

Salon był dłuższy i szerszy, niż mogło się wydawać w wejściu

wypełnionym kwiatami, flagami, wapnem i helmami; miał kształt prostokąta o wymiarach 6 x 4, jeśli nie liczyć dwóch balkonów nad urwiskiem z fekaliami i padliną, balkonów o balustradzie z oblepionych błotem kolczastych krzaków, wśród których stało dziesięć skrzynek zbitych z desek. Goście nie musieli się więc tłoczyć wokół stolu, uginającego się pod jadłem i napojami.

Na stole leżał obrus koloru krwawej biegunki, krzesła pokryte zielonym sukniem ze Stambułu. Gobeliny przedstawiające mahometański raj, *dżenet*, zdobiły ściany: jezioro, wokół niego nagie kobiety, miód i mleko tuż pod ręką zasłużonych, pomidory i tykwy zwisające z mitologicznych gałęzi. Hafty z Cetinja na weneckim jedwabiu barwy żabiego skrzeku przedstawiały natomiast bitwy, takie jak ta krwawa na Kosowym Polu, na Fundinie i w Wilczym Dole. Pod szkłem, w ramach z fałszywego złota mieniły się włoskie plakaty, a na nich palace watykańskie, rzymskie dzwonnice, Koloseum. Czarnogórskie czapki, gęśle, medale, krzyże, rewolwery kolasza bez nabożów, muzułmańskie pasy i tamburyny, miedziane dzbany, imbryki, izmirskie brytfanny, kilimy, rudawe sukno z Plevliji, trofea myśliwskie, skóry zajęcze, lisie, wilcze, skóra jelenia i skóra dzika, skóra tchórza, dzikiego i domowego kota, wężowa skórka tuż obok wiecznej lampki, cała jakby ze srebra, złota i nieba, rogi rozmaitych zwierząt — wszystko to przystrojone było piolunem, bzem, szalwią *officinalis* z Sandżaku.

Naprzeciw Ściany Królowej, u czoła *sofry*, siedział z rozdętymi nozdrzami general Besta i pociągał nosem usiłując rozróżnić zapachy i smrody. Fotografie na ścianie przedstawiały królową Jelenę jako dziewczynkę, na kolanach jej ojca, króla Czarnogóry, Nikoli Petrovicia; Jelenę uchwyconą w chwili, gdy daje swą rękę włoskim swatom, buńczucznemu Wiktorowi Emanuelowi III z dynastii sabaudzkiej; Jelenę w koronie, na koniu zwanym Aurelio, dokonującą przeglądu swojej pieszej gwardii osobistej; Jelenę, królową i matkę karmiącą, z Humbertem w ramionach, i króla, ojca na szczudłach, także z koroną na głowie, w towarzystwie kardynałów, metafizyków, papieża Piusa XII i astrologów, chyba w kaplicy zwanej Sykstyńską; Jelenę w alpejskim kapelusiku, z dubeltówką i lunetą, podczas polowania na dziki, gdzieś w południowych Alpach.

Muhamed Muha Merdanović, hodźa, Vuk Vukić, pop, i Mustafa

Agić, miejscowy szpieg, któremu tego dnia, w Cienifie Królowej po prostu pęczniały uszy, siedzieli naprzeciw Benita Mussoliniego. Również Duce ukazany był najpierw jako dziecko, ale proroczy. Fotografia z roku 1893 przedstawiała go w rodzinnej wsi Doria Predappio, jak zaledwie w dziesiątym roku życia oznajmia matce, że zadziwi i wprawi w poploch cały świat. Na innych zdjęciach Duce był nagi do pasa, z napiętymi mięskami i myślami, podczas robót publicznych gdzieś w dolinie Padu, lecz także w koszuli, czarnej, podczas przeglądów swej elitarniej, ideologicznej armii. Duce w Rzymie, Duce w Addis Abebie, Duce w Berlinie. Fotografia, na której Mussolini mówi coś Adolfowi Hitlerowi, prosto do ucha, najbardziej intrygowała szpiega, Mustafę Agicia.

Pop Vukić siedział ponury i zafrasowany. On też patrzył na Mussoliniego, za którym niewyraźnie rysowały się krzyże, czarne i ciężkie, rzymskokatolickie. Mimo stojących przed nim udźców jagnięcych, z larwami wylęgniętymi z muszych jajek, mimo tych udźców gotowanych, a następnie podsmażonych, polanych sosem bżowym, mimo litrowej karafki rakiji z Rasova, mimo że w salonie pachniało włoskim risotto z odchodami mysimi, pachniało kurczętami z Limu i żabimi udkami, skrzydełkami szyjkami nóżkami sroczymi i wronimi w sosie ze śmietany koziej kobyłej oślej — popa Vukicia ogarniało przeczcucie nieszczęścia i grozy. Wielki gość, general Besta — którego kelnerzy z Sandżaku, w *czakszirach* i fezach, młodzieńcy w czarnogórskich *dżemadanach* i czarnych czapczkach częstowali sokiem bzu olchy brzozy, napojem z liści wierzbowych kory dębowej korzenia smrodzieńcowego, konfiturami z róży „stambulki” z nadlimskiej dyni z pigwy króla Nikoli — wielki gość bardziej aniżeli nim interesował się hodźą Merdanem, toteż trzustkę zawistnego popa, woreczek żółciowy i kilka gruczołów, w kroku, szarpala zazdrość. Gdyby general, którego przed wzniesieniem toastu i podaniem gorących dań napychano anatolijskimi ziarenkami mielonymi korzeniami listkami jakiegoś ziela z okolic Izmiru, nie zaczął się dławić zielonymi orzeszkami i wykrztuszać ich razem z niedojrzałymi śliwkami ogonkami węzowymi, i to na tacę na obrus ze Stambułu na ręce kelnerów — popa Vukicia po prostu szlag by trafiał.

Szczęściem dla niego, prawosławnego kapłana, dla kapelana z półtorakilowym krzyżem na szyi, zwanego Padre, który udawał, że jego nie dosięga smród bijący z dołu i z góry, z boku i zewsząd, z cuchnących jam przysypanych kwiatami i wapnem, szczęściem dla Antonia Peduta, autora i głównego scenarzysty — który oczekiwał, że cała Cienifa Królowej, z dziewięciu głównymi i pięciu pomocniczymi kucnikami, z Salonem Braterstwa pośrodku, wokół najgrubszego słupa, zawali się i stoczy po skale do Limu — rozpoczął właśnie swą przemowę natchniony hodźą Merdanović:

„Gienierale, orle włoski, junaku i *binjadżijo*, efendi nad efendimi, wilku górski, *kadijo* nasz, sędzio, dzięki niech się dla ciebie wznoszą tam, gdzie słyszysz i gdzie nie słyszysz, za to, że przybyłeś do naszego *dunjaluku*, to jest do ludzi, którzy nie wiedzą, co to sprawiedliwość, uczciwość i godność, tutaj, gdzie twoje mądre i twarde włoskie słowo przesądzi! Gienierale, wodzu sławny, w domu moim, zacnym i skromnym, znalazło się dziecko, chłopiec, *asker* przyszedł i czarna koszula. A *mufizy* i *firauni*, lotry i pijanice, karciarze i oszuści, rozpustnicy, których ukąsił tutaj, w Salonie Królowej, zwiędli mnie i w serce muzulmańskie ukąsił! Te gajury niewierne, zdraycy każdego Boga, ci czerwoni zbóje, których oglądasz na własne mądre oczy, spolił mnie, do rakiji nalali kobyłej koziej oślej szczyny, a z nią szejtańskiego, to jest czarciego lajna, psiej sierści i świnińskiej juchy, proszku dodali ze zmielonego kruczego ogona, potu gacka wielko-ucha, tak że od tej komunistycznej mieszanki *ciorciutuk* byłem, pijany jak bela. Tylko tak spługawiony, *ciorciutuk*, w zamroczeniu jakimś mogłem przystać, żeby do imienia syna mojego Muhameda dodał imię gajurskie, chrześcijańskie, to jest partyzanckie imię Spartaco. Gienierale, *mutewelijo*, wysoki sędzio naszej wiary, chlubo Ducego, pomóż, wybaw mnie od ich szulerskiej zaciekłości! Niechaj dziecko, dar Allacha, nazywa się tylko Muhamed Muhica Muho, jak każdy w jego rodzimie odkąd pamięci sięga, jak ojcowego ojca ojciec, jak *daidża* jego, jak *amidża* jego i ja wreszcie, który czymś dla niego

jestem, który byłem na grobie Proroka, to jest Muhameda. Nie chcę, gienierale, żeby Muho był szkodnikiem ani złodziejem, ani jak ci tutaj, co wodę leją na partyzancki młyn. Dopóki żyjesz ty, światowa siła, ojciec jego, dopóki żyję ja, który cię widzę w każdym śnie, nie będzie z Muha Merdana *zewzek* ani *hrsuz*, ani *jolpaz!* Muhica Muho Merdan do szkół pojedzie wysokich, włoskich, wojskowych, do szkół wiary naszej, do Egiptu i Arabii, którymi, póki Muho nie podrośnie i sił nie nabierze, władać będą rzymskie i nasze, sandżackie czarne koszule! I jeszcze coś, gienierale i obrońco, któremu z miłości i politycznych względów ofiarowałem to dziecko...”

„*Signor Merdan... egregio muezzino... prego...*”

„Nie ma *prego*, kiedy ja się skarżę, gienierale! I będę się skarżył, będę płakał, choćbym w tym świętym miejscu, u twoich nóg wyzwoleńczych miał skapieć. Pomyśl tylko, gienierale, *hanumę* moją, *signorę* Nidżarę, ci tutaj oczernili. Nidżara, bywa, to *peksinulja* i *rospija*, szejtan w szarawarach! Nidżara agi Merdana, rozgłosili, to *dżehenemska* żmija! To oni, gienierale, *javrum*, orle nasz, węzami są piekielnymi, a nie ona, moja hurysa, moja wierna gołąbka, moje wszystko! Nidżara Merdanowa, żona hodży, ma być *dżizlija* znad Limu, to jest ukryta kurwą?! Gdzie znajdziesz kurwy czarniejsze, bardziej zaraźliwe, gienierale, od tych tutaj? Muhica Muho Merdan, piskłę moje sokole, ma być bękartem? Bękarty piekielne to oni, a Muhica ma tatka, to jest mnie, ojca, i od dziś dnia ma ciebie, który tutaj, zara, przy wszystkich włożysz mu skarpeteczki czarne, koszulkę czarną, czapczkę czarną, który wlejesz mu do ust, to jest do serca parę kropli ciepłego mleka, tym czarnym mlekiem go posilisz...”

„*Signor Merdan...*”

„Gienierale, pilot pułkownika Spartaco Allegrettiego i *seiz* jego, Barbagallo, był, prawda, w domu moim, tego nie kryjemy, ani ja, ani *signora*, wierna, luba moja Nidżara. Ale Barbagallo jej nie dupczył. Wodę nosił, raz ze mną, dwa razy z nią. Pyry skrobał, piekł, ale we troje. *Cienife* mył co miesiąc, gówna do potoku Posran targał, i ze mną, i z nią. Ale nie dupczył u nas, o nie, na to mam dwudziestu trzech świadków! A jak kto z tych tutaj co innego widział, to ojca takimi przeklnę, komunistycznego i zarażonego! Owszem, gienierale, Barbagallo pokazywał nam to, co wy nazywacie *cazzo*, *cazzone*, a my — kutas, tego ukrywać nie mogę i nie chcę. Nieobrzezany był, w kapturze jakby mnisim, gajurski kutas, świdrowaty kutas, świniński kutas, zawsze siny wymiędlony spuchnięty! A on, szejtan z kudlatymi jajami, tym kutasem po kurniku, nie tylko moim, kury, gęsi, indyki ganiał, kurczaki skubał! Raz chciał nim dopaść Szaciry, kozy żywicielki, ale mu nie dałem, naslałem go na Szabahetę, oślicę Mustafę Agicia. Orzechy z leszczyny, a i te większe nim tłukł, rzepę strugał, jabłko na troje rozłupywał! Używał go, żyłastego *cazzo*, jakoby majster stu rzemiosł. Owce i krowy nim doił, kobyły podkuwał szturchał rypał, kozuch z mleka wlochata kopytną żolędźią ściągwał i solil. *Kaczamak*, wy mówicie polenta, tym krzywym *cazzo* mieszał, później nabierał i na wszystkie trzy miski po równo kładł. ale w moim domu nawet muchy nie wydupczyły! A są ich krocie, ślepiów nie dają zmrzyć ani łyżką do śklanki i *siniji* sięgnąć. Tym *cazzo* chytrym, lebskim węzeł umiał zaciągnąć, rozsypać go, nim przeklnął garnuszek serwatki, igłę nawlec potrafil, *pułkę* przysiębić w każdym miejscu! Chodaki nim latal i podkuwał, buty nam szył — ten kutas najradziej ze skórą, klajstrem i ćwiekami miał do czynienia. Ale, na kości ojca i na minaret, Nidżary mojej nie dupczył! Przepowiadał nim pogodę, dzięki niemu akuratnie wiedział, kiedy partyzanci napadną na bjelopoljską *kasabę*. Lustro, szyby, gorącą blachę, medale moje z wojny i pokoju zczyścił nim do polysku! Myszy, szcury, pilchy, tchórze i inne plugastwo, z kotem albo i bez kota, w mieszkaniu, na strychu, w piwniczce i w *cienifie*, z Nidżarą — którą, żeby mi nie przepadła i nie zaszła, trzymałem, jak tylko mogłem, na kanapie — tym przeklętym sycylijskim i *dzenabeckim* kutasem lapał. Rybę w potoku lepiej nim aniżeli wędką chwycił, gacki i lasice w parowach i krzakach nim ogluszał i dławil. Grał na nim, w bęben nim lotował i śpiewał po naszymu. Lecz Allah mi świadkiem, Nidżary mojej nie dupczył! Tytoń nim kurzył, gienierale, ciągnął jak z cybucha! Ogień rozniecał, dmuchał nim w żar. Pisał nim, a znał też arabskie litery,

liczył nim jak nie przypmierając w państwowej kasie, dodawał i odejmował, mnożył i dzielił. Wycierał nim jak gumą, karty tasował, przekładał domina. Niech szejtan dom mój splugawi i porwie, jeśli nim przy tym wszystkim nie... sikall! I kto by temu dał wiarę? Ale oto ja, tutaj gdzie stoję, oto *hanuma*, oto i *komszije*, którzy na własne oczy widzieli, jak nim prasował wojskowe portki, a *czaksziry* z Carogrodu — dla mnie! Później w tych zielonych portkach naokolo *dżamiji* skakał, modlitwy przerywał, w piątek przed *dżamią* w myciu nóg i uszu nim zawadzał. Jakoby młotkiem nim przybijał, jakoby kleszczami wyciągał i rwał! Kto chce, może sprawdzić, czy poniekąd nie mydlił nim i nie golil lepiej niż nasz Sabrija. Cesał się nim, pucował. Zaświadczyć mogę, gienierale, że do papryki mielonej go wtykał, do soli, do miodu sandżackiego, a wszystko to później jadł i lizał, i jeszcze nas ganiał, żebyśmy z niego jedli! Gary, dzbany i *tepsije* nim szorował. Dawał go kocurom, psiskom, *komszijom*. Ale Nidżary, gienierale, nie dupczy! Przecie bym widział, przecie to nie igła! W leb się stuknijcie, ludzie, wy, co się śmiejecie, żeśmy go polubili jak swojego! Gdzie by tam moja Nidżara, ani to kobyła, ani oślica, ani maciora, z włoskim cudakiem, który kutasem z karabinu pięciostrzalowego w stronę gór, ptaków i chmur kropił! «Z powodu nieprzystojnego, haniebnego twojego nazwiska jazda z tego domu, czerwoniuchu!» — tak mu raz wygarnąłem. Ostrzył właśnie siekierę, nim, a czym by innym? Nie pojął, albo udawał, jeszcze i sierp chciał nim wyostrzyć! «Podle masz nazwisko, Barbagallo, nijakiego rodu, a najpewniej partyzanckie!» — rzekłem pokazując mu leworwerem, *kolaszem* z sześcioma nabojami, co znaczy po turecku *sikter*... Nie ma go już dłużej jak miesiąc, wiadomo, w innych *tepsijach* piecze tera w Górnej Mahali żaby i jaszczurki, koty i pieski! *Elem*, gienierale, *mutevelijo* silny a sprawiedliwy, ryknij jako wół przed nimi, że Muhica Muho Merdan, którego w *kijamet* spłodziłem, na chwałę Allacha ze wschodu i na cześć dywizji «Venezia» z zachodu, mimo wszystko jest tylko mój i twój! Przyjacielu mojej wiary, przyjacielu w Allachu, *amico amico amico*, śmiem cię tak nazwać, bo — nie tak jak ci tutaj karciarze i złodzieje — wyczekiwałem ciebie niby kania deszczu, zdejmij ze mnie, *jaukłasz*, ten haram i hańbę, abym nie był pośmiewiskiem...

General Besta byłby się udlawil lupinami niedojrzałych orzechów, surowymi kartoflami wielkości śliwek, paluszkami z miodu i ciasta koloru gliny, jagnięcymi oczami jakimiś korzonkami kozim językiem i podniebieniem, śmiechem swoim wreszcie, gdyby hodża Merdanović spod obrusa, stambulskiego, nie wyciągnął szabli z gładkiej stali. Mustafa Agić zwiesił nos i uszy, jako że o szabli dotychczas nie wiedział; pop Vukić rozdziawił usta i osłonił ręką mosznę; Padre natomiast tylko niezznacznie się przeżegnał i dalej ogryzał gęsie udko, natarte śmietaną powidlami kobylim śluzem. Antonio Peduto nigdy nie był bardziej pewny, że szaleństwo życia przekracza granice upojnej wyobraźni. Antonio tłumaczył przemówienie hodży generalowi, zaabsorbowanemu tyleż orientalnym jadłem, co wpatrywaniem się w czaszki, ośle ludzkie końskie, zawieszzone na ścianie, nad wyścielaną ławą. Peduto wyjmował z mięsa pestki dyni, ogórków i arbuźów, melonów i dzikiej róży, zielone niteczki i sierść borsuka zza Limu, dodane od uroku, po czym jadł. Hodża tymczasem, natchniony Merdan, trzymając przed sobą szabłą damascenkę, deklamował jak aktor:

„Gienierale, wyzwoliciele, ty nie jesteś dla mnie zwykłym *musafir* ani jebajlą, ani oszustem jak poniekąd, co tutaj przybywali. Italiano, ty, którego nam zesłały wyższe siły a może i samo niebo, zostań w Dolinie Nadlimskiej na wieki, na tym i na tamtym świecie! Dla ciebie, który niczego się nie boisz, jest *dżenet*, nasz raj. A w raj u niczego nie brak, wiadomo. Italiano, bracie, weź, co tutaj mamy, bo wszystko jest twoje i Benita, ale pierwszej przyjmij tę szabłą. Z Damaszku pochodzi sławnego, toteż *firaunskie*, serbskie pieśni ją nazywają — szabłą damascenką. Jak wąż jest giętka, popatrz! Z ostrej stali, zielonkawej. Ta szabla ma serce i oczy, ma język! Bez *dziozłuków* zostałem, ukradł mi je polityczny *baksuz*, *compagno* Malić, dla Pięćset Pierwszej Armii Czarnogórskiej, partyzanckiej, dla jakiejś ich Kominterny, ukradł mi je i *ahmediję* z głowy, i paciorki do modlitwy,

i laskę, bywa, dla Ruchu nie wiem jakiego, i chodaki z nóg mi ściągnął, i jeszcze groził, że wszystko da Światowej Rewolucji. *Dziozłuków*, mówię, nie mam, więc ci nie mogę przeczytać, gdzie po arabsku pisze: «Siekę wszystko co chrześcijańskie *czifuckie* gjaurskie». Jak każda szabla sławna, tak i ta, gienierale, ma swój pergament. Zasięka pierwej dziewięćdziesięciu dziewięciu weneckich kupców, którzy hercegowińskim dalmatyńskim czarnogórskim Serbinom przywozili karabiny, sól, *dżebanę*. Posięka siedemnastu Ormian krzywonych, którzy z Kotoru przedrzeć się chcieli do Cetinja, niby to że skórąmi welną miodem. Posięka trzydziestu dwóch mnichów ze Świętej Góry, prawosławnych samych Greków, Gruzinów i Serbów z tłustymi karkami, którzy, zbrojni po zęby, przebili się do bram Cetinja, zasięka weneckiego konsula w Skadarze, bo jej, tej tutaj szabli dowiedziono, że lotrem był, do buntów podszczywał i tak już dzikich Albańczyków. Zasięka siedmiu *Czifutów* z Dubrownika, z powodu oszustw rozmaitych, przenoszenia fałszywych pogłosek i wstydliwych chorób, wszy, świerzbu, jak też dlatego, że kradli cudze pisma księgi dzieje, sporządzali leki, od których ludzie padali jak bydło tknięte zarazą, i dlatego, że po siedmiokroć sprzedawali te same naczynia na mleko *rakiję* miód. Posięka — to ci się chyba najbardziej spodobą — wedle fermanu Petrow-agi Czengicia, roku 1836, na Grahovcu, ośmiu sławnych Petrovićów bratanków Njegosa, najpewniej *Czifutów* serbskiej wiary. Lecz ach, zasięka później ta szabla samego Smail-Agę, roku 1840, w Drobnjakach, bo i on był gjaurskiej i *firaunskiej*, to jest chrześcijańskiej i serbskiej, prawosławnej wiary. Gienierale, ta tutaj szabla rozplatała i posięka wielkiego agę Czengicia, a nie tamta, którą pokazują na Cetinju...”

„*Signor Merdan... egregio muezzino...* interesują mnie te nisz w salonie, który jest wprost bezkonkurencyjny... i te pięćdziesiąt pudeł zbitych z desek, na balkonach... Co w nich trzymacie?”

„Pszczoly, nie trzmielę, panie gienierale — ożywił się hodża, Muhamed Muho Merdanović. — Pszczoly sandżackie i bałkańskie, czarnogórskie, a tera i twoje. Nie ma drugiego miejsca tak bezpiecznego, pięknego i ciepłego, jak ten Pałac-Pomnik Królowej! Lepiej im tutaj niżli w rajskim gnieździe! Pokarmu mają w obfitości, paszę przez cały rok. Nie trza im bzu, łąk, kwiatów, W tej strawie, którą im *dżabdżabale* zostawiają wojskowi, i my, lojalna, wierna część obywateli, jest wszystko — samo życie! a pierwsza trzy dzbany miodu, które się tutaj zbierze, przeznaczamy dla króla, naszego sławnego zięcia, dla Benita, Duce, wodza wspólnego, a może i wodza, pana caluńskiego świata, i dla ciebie, wielki, strachu nie znający gienierale i orle, jakiego nasze oczy jeszcze nie widziały...”

Jedna z desek w podłodze popuściła, czyjaś noga zapadła się powyżej kostki. Wionął smród. General Besta nie zdążył podziękować hodży. Muho Merdan, w przekrzywionej *czalmie*, mówił coś nadal o przyszłości nadlimskiego miodu. Pop Vukić jęknął, wyrwał oczy, zażądał noszy, ale wojskowych. Trzasnęła druga deska, rozwarła się czeluść. Smród buchał z podłogi, spod dachu, z pudeł przyszłej pasieki.

General Besta ocierał czoło zroszone potem. Kapitan Brambilla rozglądał się za maską gazową. Peduto powiedział tak, aby poziewniały pułkownik Allegretti i kapelan nie uronili ani słowa, że maski zniknęły z magazynu, że je wykupiono. Kapelan, Padre, nadal stał wyprostowany, lecz Allegretti, gdy zapadła się kolejna deska, tuż przed hodżą Merdanowiciem, kazał otwierać drzwi. Szabla damascenka wysliznęła się z rąk starca i zniknęła w fekaljach.

Syty kurzego gołębiego zajęczego mięsa, pijany zazdrością i strachem Mustafa Agić, szpieg, wyszarpnął zza pasa rewolwer z początków tego stulecia. General Besta wyrzucił z siebie gotowane glisty, całą garść, pieczone pod *saczem* skrzydło kruk, wysmarowane lisim sadłem, po czym spontanicznie podniósł ręce do góry. Mustafa Agić wystrzelił w smród wszystkie sześć naboju, w ślad za szabłą.

Słowniczek turcymów

Ahmedija, inaczej: *czalma* — cienkie płótno okręcane wokół fezu; hodza nosi ahmediję z białego płótna.
Amidza — stryj.
Asker — żołnierz.
Baksuz — nieszczęśnik.
Birjadżija — sprawny, znakomity jeździec.
Cienifa (cenifa) — ustęp, szalec.
Czaksziry — spodnie z sukna, z długą, zwisającą częścią górną i wąskimi, zapinanymi po bokach nogawkami.
Czalma — zob.: *ahmedija*.
Czifut — Żyd.
Daidża — wuj.
Dunjaluk — świat, ten świat, ludzie.
Dzioluci — okulary.
Dżaba, dżabdżabale — za darmo, bezpłatnie, fuksem.
Dżamija — większy meczet, z jednym lub kilkoma minaretami.
Dżabana — amunicja, ryszunek wojenny.
Dżahanam, dżahanemski (por. *gehanna*) — piekło, piekielny.
Dżamadani — ozdobny, wyszywany serdak, zakładany na koszulę i krzyżujący się na piersiach.
Dżanabet — poganin, lajdak, nikczemnik.
Elom — tak czy inaczej; a więc.
Firun, firaunski — Cygan, cygański, także: zuchwałec, awanturnik.
Hanuma — małżonka, pani domu.
Haram — to, co niedopuszczalne, grzeszne, przekłete.

Hrsuz — złodziej.
Jauklasz — ukochany.
Javrumi — sokole, junakul
Jolpaz — włóczęga, darmozjad, rozpustnik.
Kaczamak — potrawa z mąki kukurydzianej, rodzaj mamalygi.
Kasaba — małe miasto, miasteczko na prowincji.
Kijamat — sądny dzień.
Komszija — sąsiad.
Mahala — część miasta albo wsi, dzielnica, także: ulica.
Mufliz — człowiek bez grosza przy duszy, bankrut.
Muhamed (dosłownie: sławny) — Mahomet; humorystyczne autorskie zdrobnienie „Muhlica” znaczy skądinąd „muszka”.
Musafir — podróżny, przypadkowy przybysz.
Mutevelija — zarządca mienia, dobytku muzułmanów.
Peksinulja — kobieta brudna, nieczysta.
Pulka — guzik, także: cekin.
Rospija — prostytutka.
Sacz — duża pokrywa żelazna lub gliniana, na którą nagarnia się żar, popiół i piecze pod nią ciasto, mięso itp.
Seiz — koniuszy, koniuch.
Siktarl — wynoś się, precz!
Sinija, inaczej: *sofra* — niski, okrągły stół.
Sofra — zob.: *sinija*.
Tepsija — okrągłe, miedziane lub emaliowane naczynie do pieczenia chleba, ciasta, a także mięsa.
Zevzek — lobuz, drań, szelma.

IDEA JUGOSŁOWIAŃSKA

ANTONI GIZA

Idea jugosłowiańska, zwana też w skrócie jugoslawizmem jest niewątpliwie jednym z najsilniejszych i najdłużej trwających nurtów myśli politycznej na obszarze dzisiejszej Jugosławii. Zawierała w sobie dążenie narodów południowosłowiańskich do wyzwolenia się spod panowania innych państw i połączenia się w jednym organizmie państwowym. Te bliskie sobie pod względem językowym i kulturalnym narody, Serbowie i Chorwaci, Słoweńcy i Macedończycy, znajdowały się w początkach XIX wieku w niewoli austriackiej i tureckiej. Dążenia narodowyzwolenicze przeplatały się z pragnieniem utworzenia silnego państwa południowosłowiańskiego, na przeszkodzie czemu stało z kolei wiele innych czynników, tak zewnętrznych jak i wewnętrznych. Z grupy tych pierwszych należy wymienić przede wszystkim mocarstwową pozycję Turcji i Austrii. Do wewnętrznych zaliczyć należy głównie sprzeczności istniejące pomiędzy bratnimi narodami, ogniskujące się w obszarach wyznaniowych i orientacji polityczno-cywilizacyjnej. Serbowie wyznawali prawosławie, podczas gdy Słoweńcy i Chorwaci byli katolikami, a Słowianie macedońscy — muzułmanami. Serbowie posługiwali się cyrylicą i wyznawali z krótkimi przerwami orientację na carat rosyjski, podczas gdy Słoweńcy i Chorwaci używali alfabetu łacińskiego i źródeł swej cywilizacji i kultury upatrywali w historycznych związkach z Zachodem. Podobnie zapatrywali się na swoją przyszłość, unikając raczej bliskich związków z Petersburgiem i rozwijającym się tam panslawizmem.

Jugoslawizm miał swoją genezę w iliryzmie, nurcie powstałym w granicach monarchii habsburskiej. W 1828 r. Moisiej Baltić, Serb w służbie austriackiej, oficer z tzw. Pogranicza Wojskowego, utworzył wśród studentów w Grazu Klub Iliryski. Działali w nim Słoweńcy oraz Chorwat, Ljudevit Gaj, który wkrótce objął przywództwo, a także nawiązał liczne kontakty z Serbami i przedstawił imi innych narodów słowiańskich, w tym także ze sławistą polskim Andrzejem Kucharskim. Gaj wydał specjalną broszurę, zawierającą zasady gramatyki chorwacko-słowiańskiej oraz dzięki talentom organizacyjnym i krasomówczym stał się najbardziej wpływowym działaczem wśród młodzieży studenckiej, Serbii, Słowenii i Chorwacji. Uważając Chorwatów za ten naród południowosłowiański, który ma najważniejsze atuty w ręku aby zjednoczyć pobratymcze

narody na Balkanach, Gaj i inni iliryści rozpoczęli pośpieszne prace nad przekształceniem jednego z trzech dialektów chorwackich w język narodowy. Podjęli też działania o charakterze czysto politycznym, postulując zjednoczenie najpierw Chorwacji, Sławonii i Dalmacji, a potem Bośni, Hercegowiny i Słowenii. W dalszej kolejności zakładano walkę w parlamencie węgierskim o samodzielność administracyjną tego tworów, który stanowić miał punkt wyjścia do realizacji celów dalekosiężnych.

Działacze iliryzmu, poprzednicy jugoslawistów, w różnych formach upowszechniali prawdę o bliskości języków słowiańskich, o zazębianiu się kultur, folkloru, zwyczajów i obyczajów, a niektórzy z nich głosili przekonanie o zjednoczeniu Słowiańszczyzny południowej w przyszłości przez Chorwatów, czy też przez Serbów. Tak więc początki jugoslawizmu, za które należy uznać iliryzm, wiązały się z dwoma konkurencyjnymi poglądami, przechodzącymi stopniowo w dwie przeciwstawne i wykluczające się nawzajem ideologie. Chodzi tu o ideę wielkoserbską i wielkochorwacką, które na swój sposób były wypadkową koncepcji politycznych wybitniejszych Serbów i Chorwatów, zmierzających do budowy w pierwszym przypadku Wielkiej Serbii, a w drugim — Wielkiej Chorwacji. Idea serbska wykluczała jugoslawizm, jako ruch zasadzający się na dobrowolnym i równym zjednoczeniu Słowian południowych w przyszłości, holdując długo zasadzie zwykłego podporządkowania pozostałych ziem południowosłowiańskich Belgradowi. Idea wielkochorwacka zaś nacechowana była nadziejami na połączenie pobratymców w ramach państwa chorwackiego, do którego dążono. Tak się właściwie stało, że jugoslawizm nie mógł się na stałe uwolnić od panserbizmu ani od panchorwatyizmu, dlatego też te obydwa nurty przedzierali się poprzez powłokę jugoslawizmu, aby komplikować i tak przecież skomplikowaną i trudną drogę zamieszkujących omawiany teren narodów. Należy bowiem pamiętać o stalej i niekiedy zaciekłej rywalizacji serbsko-chorwackiej, o wysoce skomplikowanej sytuacji Bośni i Hercegowiny aż do 1918 r., o rywalizacji serbsko-bułgarskiej o Macedonię, a także o małych możliwościach skutecznego działania Serbii, czy Chorwatów w obliczu przewagi ówczesnych mocarstw — Rosji, Austrii, czy nawet słabszej Turcji. Nie bez znaczenia pozostawał też niezaprzeçalny

obok całej bliskości, fakt znacznego zróżnicowania Słowiańszczyzny południowej pod względem religii, alfabetu, sympatii i antypatii politycznych etc.

Początki jugoslawizmu są trudne do zdefiniowania, ponieważ jego idee były przemieszane z panchorwatyzmem i panserbizmem, tkwiły też głęboko korzeniami w iliryzmie oraz działalności duchowieństwa południowosłowiańskiego. Na uwagę zasługują tu nazwiska biskupa zagrzebskiego Maksymiliana Vrhovaca, Jerneja Bartolomeja Kopitara, autora chorwackiego hymnu narodowego Antoniego Mihanovicia, Juraja Šporera. Jednakże najbliższym jugoslawizmu stał hr. Janko Drašković, który w 1832 r. żądał zjednoczenia Chorwacji, Sławonii wraz z Dalmacją, Słowenii oraz Bośni i Hercegowiny w państwo, które byłoby zaczątkiem Jugosławii. Nie było wtedy jednak na całym interesującym nas terenie żadnych możliwości urzeczywistnienia tego zamysłu, a już najtrudniej w Chorwacji, poddanej przez Węgrów brutalnemu naciskowi madziaryzacyjnemu, wyrażającemu się najczęściej słowami: *Toth ember nem ember* (Słowianin to nie człowiek — A.G.). Ruch wyrażał się więc w opozycji przeciw madziaryzacji i zachęcaniu ludu do kultuwowania języka narodowego. Protestujący przeciwko narzuceniu Chorwatom języka węgierskiego w 1827 r. i potępiający jednocześnie zbyt mało skuteczny opór Chorwatów, poeta i jugoslawista Paweł Stooś napisał z goryczą: *Vre i svoj jezik zabit Hrvati, Hote ter drugi narod zostati...* (Już i swój język chcą zapomnieć Chorwaci i stać się innym narodem... — A.G.).

Działania o charakterze typowo jugosłowiańskim przybrały na sile z chwilą podjęcia współpracy chorwacko-serbskiej, wyrażającej się bliskim współdziałaniem Gaja z Vukiem Karadžićem. Podjęcie wizji połączenia Słowenii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny z Serbią było dojrzałą, już zupełnie jugosłowiańską koncepcją serbskiego reformatora gramatyki ojczystej Karadžicia i chorwackiego ilirysty Gaja. Kolejnym przejawem jugoslawizmu było drukowanie wszelkich utworów ilirystów w chorwackim dialekcie sztokawskim, który był najbliższy serbszczyźnie. Gaj zdawał sobie doskonale sprawę, że wybór dialektu kajkawskiego na trwałe rozdzieliłby Chorwatów i Serbów, a to byłoby sprzeczne z uczuciami jugosłowiańskimi. Stwierdzając bliskość serbskiego do dialektu sztokawskiego zarówno Gaj, jak i Karadžić doszli do wniosku, że Serbowie i Chorwaci stanowią jeden naród, zajmujący ziemie od Timoka do Morza Adriatyckiego.

Wcześni jugoslawiści osiągnęli niemałe sukcesy w wydawaniu zbiorów pieśni, podań i literatury różnych narodów południowosłowiańskich. Utworzyli sporo czytelników ludowych i drukarnie słowiańskie, a także stały teatr w Zagrzebiu. Walnie przyczynili się do rozwoju szkolnictwa narodowego. W zbliżonym okresie czasu dążenia do stworzenia państwa jugosłowiańskiego przejawiał książę serbski Miłosz. Zamierzał on opanować w myśl idei jugosłowiańskiej zamieszkałe w znacznej mierze przez Albańczyków Kosowo, które było jednak niezbędne w planie przyszłego państwa, a także sandżak nowopazarski, oddzielający Serbię od Czarnogóry. Zajęcie sandżaku pozwoliłoby na połączenie się dwóch państw zamieszkałych przez Serbów. Zamierzał również opanować Bośnię, a nawet Bułgarię, której mieszkańców uważano jeszcze wtedy za część narodu serbskiego. Miłosz już w 1830 r. próbował wznieść powstanie antytureckie w Bośni i Albanii, ale nieudane insurekcje nie otrzymały pomocy caratu rosyjskiego, zajętego tłumieniem powstania listopadowego w Królestwie Polskim, zaś Czarnogóra wystąpiwszy w ich obronie poniosła klęskę w wojnie z Turcją. W podejmowanych licznych kombinacjach militarnych i politycznych Miłosz liczył na rozmaite sily obce, szczególnie na Rosję i Francję.

Idea jugosłowiańska była bardzo bliska rodzinie Petrovićów-Njegośów, rządzącej Czarnogórą. Władcy prezentowali dojrzały program jugosłowiański, który nacechowany był rachubami na pomoc Rosji. Apogeum jugoslawizmu w polityce zagranicznej Czarnogóry przypadło na okres panowania Piotra II (1830—1851), który dążył do unowocześnienia i scementowania kraju, aby stał się zdolny do wypełnienia roli jednego z centrów jugoslawizmu. Blisko

współpracowali z nim Dymitr Mialaković z Mostaru oraz niejaki Iwanowicz, były podoficer rosyjski z czasów powstania listopadowego, uważający się i podający za rosyjskiego generała. Iwanowicz wpływał na podniesienie uczuć jugosłowiańskich i niestety, na coraz dalsze wiązanie ich z podporządkowaniem się Rosji. Piotr II wyrażał zainteresowanie odebraniem Turcji Hercegowiny, postawił na współdziałanie z Serbią i infiltrację innych ziem jugosłowiańskich. Największe znaczenie dla jugoslawizmu miały jednak liczne wojny prowadzone prawie nieprzerwanie z Turkami o ziemie południowosłowiańskie. Czarnogórcy wielokrotnie zajmowali przejściowo różne miasta hercegowińskie, jak np. Grahovo, które ostatecznie otrzymał dopiero w 1858 r. Piotr II utrzymywał stały kontakt ze wszystkimi ziemiami południowosłowiańskimi.

W latach 1840—1867 jugoslawizm wszedł w nowe dojrzałe stadium. Poważny posiew idei wolnościowej i zjednoczycielskiej przyniosła Wiosna Ludów, wreszcie wojna krymska, załamanie się austroslawizmu i przeistoczenie się rosyjskiego słowianofilstwa klasycznego w panslawizm wpłynęły na udoskonalenie się i okrzepnięcie nurtu. Poważne znaczenie miał też udział Polaków — przedstawicieli emigracyjnego ugrupowania Hotelu Lambert w akcji jugosłowiańskiej serbskiego ministra spraw zagranicznych Iliji Garażanina. Skierowany przez ks. Adama Czartoryskiego do Belgradu specjalny emisariusz Franciszek Zach ułożył plan polityki zagranicznej Serbii, który był pierwszym tego typu dokumentem w dziejach Słowiańszczyzny południowej. Doniosłość planu Zacha polegała na tym, że to według niego Serbia prowadziła swą jugosłowiańską politykę aż do 1918 r. Główne myśli planu można sprowadzić do następujących tez: Serbia winna aktywnie popierać wszelki ruch narodowowyzwoleńczy Słowian południowych. Nie może ona zadowolnić się posiadanymi granicami, lecz dążyć do pozyskania otaczających ją słowiańskich narodów. Ponieważ Turcja wcześniej, czy później ulegnie rozpadowi, to możliwym jest, iż Rosja będzie dążyć do zaspokojenia swych aneksjonistycznych zapędów, zwłaszcza w kierunku Konstantynopola, a Austria może postarać się o likwidację niebezpiecznej dla niej z punktu widzenia panowania Wiednia nad licznymi Słowianami, Serbii, posądzanej o popieranie wrogiej monarchii habsburskiej irredentystycznej agitacji. Wówczas przy pomocy mocarstw zachodnich Serbia powinna zająć ziemie południowosłowiańskie i starać się zastąpić Turcję na jej dotychczasowej pozycji w Europie. W oczekiwaniu tych zadań państwo serbskie powinno przygotować się nie tylko politycznie i militarnie, ale przede wszystkim propagandowo. Należało wysłać agentów serbskich o poglądach jugosłowiańskich, „ludzi bystrych, oddanych” na tereny Bośni i Hercegowiny, Czarnogóry i północnej Albanii oraz na ziemie południowosłowiańskie pozostające pod władzą austriacką. Agenci powinni być zaopatrzeni w instrukcje i informacje o sposobach kontaktowania się ze swoimi informatorami na miejscu. W instrukcjach dla agentów serbskich, winny według Zacha znaleźć się punkty, określające ich cele badania, a więc stan polityczny kraju, działające partie polityczne, stan wojskowy, tj. rozmieszczenie regularnej armii austriackiej lub tureckiej, jak też magazynów i arsenałów. Każdy agent musiał sporządzać listy szczególnie wpływowych osobistości, w tym również przeciwników jugoslawizmu i Serbii, powinien orientować się co w jakim kraju myślą o Serbii, czego od niej oczekują, czego się obawiają. Każdy agent musiał mieć wyznaczone obszary problematyki politycznej, które mogłyby w sensie pozytywnym zwrócić uwagę jugoslawistów.

W tekście tego dokumentu jest wiele ostrzeżeń przed Rosją, jako państwem kierującym się zdradą, chytryością itp. Serbia powinna wykazać dużo energii, aby nie pozwolić wydrzeć sobie z rąk przewodnictwa wśród Słowian przy konieczności przeciwdziałania caratowi w szukaniu oddanych sobie ludzi. Rząd serbski powinien zorganizować akcją jugosłowiańską w nowy sposób, tj. drukować dla innych narodów słowiańskich modlitewniki, książki kościelne i świeckie, kalendarze itp. oraz dążyć do porozumienia prawosławia z katolicyzmem. Należy też według Zacha, zaciągać jak największą liczbę Słowian południowych na służbę serbską i tym samym

budować zastęp sprzymierzeńców serbskich. W dziedzinie handlu dokument zalecał szeroką wymianę z różnymi krajami i szukanie drogi, która „wyprowadzi Serbię na morze”, a kupcy powinni zakładać swoje faktorie i agencje w portach dalmatyńskich, które wzięłyby pod opiekę wymianę towarową z Anglią i Francją. Gospodarka serbska musi bowiem w obliczu czekających ją zadań wzmocnić się, podobnie jak czarnogórska. Ten najważniejszy dokument — wykładnia jugosławizmu akcentował znaczenie strategiczne Czarnogóry, zalecając Serbii udzielanie rocznego subsydium władcy tego kraju, za co Belgrad „pozyska dla siebie za małą cenę kraj, który może wystawić co najmniej 10 tysięcy górali”. Belgrad powinien zadbać o poprawę stosunków z Albańczykami, a chcąc widzieć w przyszłości Albanii w granicach państwa jugosłowiańskiego, wypłynąć na zmianę relacji albańsko-czarnogórskich.

Pragnąc zyskać poparcie dla swych planów jugosłowiańskich poddanych austriackich, będących Słowianami południowymi, Serbia winna wykazywać dobrą organizację państwową, stale rosnący potencjał, aby stać się siłą atrakcyjną i konkurencyjną względem Wiednia. W myśl założeń planu Zacha i kierunków polityki zagranicznej Garaszana władze serbskie w latach 1845—1846 stworzyły szeroką sieć agentów jugosłowiańskich w posiadłościach austriackich i tureckich. Ich działalność w okresie poprzedzającym Wiosnę Ludów nie może być oceniona inaczej, jak bardzo wysoko. Zachowały się, szczególnie w Archiwum Serbskim w Belgradzie liczne dokumenty obrazujące ich zabiegi i wyniki. Główni luminarze jugosławizmu rozpoczęli przygotowania do wywołania powstań antytureckich w Bośni i Hercegowinie oraz antyhabsburskich w Wojwodinie i Chorwacji. Przebieg tych powstań z uwagi na brak miejsca nie może być przedmiotem niniejszych rozważań. Istotne natomiast było to, że były to w gruncie rzeczy zjawiska zsynchronizowane, wybuchające w mniej lub bardziej ścisłym związku ze sobą, przy silnej propagandzie jedności jugosłowiańskiej, prowadzonej w Chorwacji, Wojwodinie, Serbii i Czarnogórze. W powstaniu Serbów wojwodińskich przeciwko Węgrom w 1848 r. padały hasła jugosławizmu, łączności z księstwem Serbskim i Chorwacją, a rząd serbski wysłał na teren Wojwodiny licznych agentów. Nie mogąc ryzykować konfliktu zbrojnego z Austrią i być może, Turcją, Serbia zdobyła się jednak na wysyłkę pieniędzy, odzieży, żywności, a przede wszystkim broni i amunicji. Dowodem solidarności był udział 10 tys. ochotników serbskich, walczących u boku powstańców, a także wysiłki Czarnogóry w celu dosłania do Wojwodiny 2 tys. ochotników, co uniemożliwiła zbyt duża odległość do przebycia i brak środków transportu.

W powstaniu chorwackim również podnoszono hasła jugosławizmu, a ich dowodem była próba wysłania przez Czarnogórę 10 tys. ochotników, co znowu uniemożliwił brak transportu morskiego. Nie udało się Czarnogórcom zdobyć Kotoru, ani zakończyć sukcesem zamierzeń odnośnie Bośni i Hercegowiny. Ważnym akcentem w realizacji tej idei był udział delegatów południowosłowiańskich w Zjeździe słowiańskim 1848 r. w Pradze. Na uwagę zasługują tam liczne akcenty antywęgierskie oraz hasła stworzenia państwa jugosłowiańskiego. Nas, Polaków pewnie zainteresuje to, że w całym okresie walk Słowian południowych w Wiośnie Ludów i później, korzystali oni z licznych polskich wzorców. Nie tylko dostosowywali poezję Adama Mickiewicza do potrzeb różnych proklamacji, ale posługiwali się polskimi wzorcami walki podjazdowej z okresu konfederacji barskiej, powstania kościuszkowskiego i listopadowego. Na potrzeby walki zbrojnej w Serbii przetłumaczono i wydano pracę Ludwika Mierosławskiego „Regulamin wojny partyzanckiej”, która ukazała się jako „Pravila o cetničkoj vojni”.

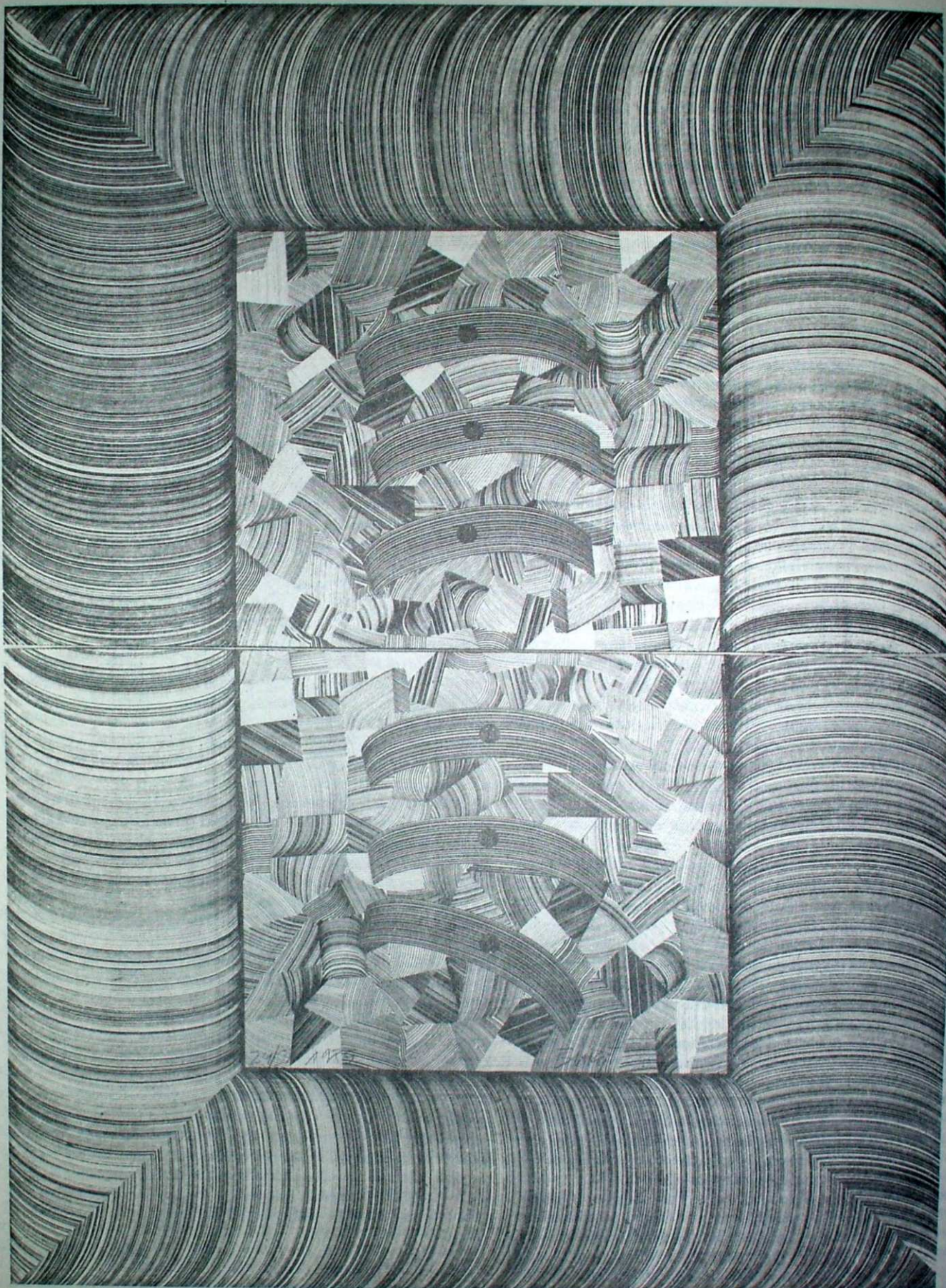
Pewne szanse dla jugosławizmu wniosła wojna krymska 1853—1856 r., ale nie toczyła się ona zbyt długo na Balkanach i została przez Rosję przegrana. Podobnie jak w Pradze w 1848 r., tak w Moskwie 1867 r. jugosławizm znalazł się wśród podnoszonych hasel wszechsłowiańskich. Ogólnie jednak na Zjeździe Słowiańskim w Moskwie królowały kwieciste wypowiedzi eksponentów rosyjskiego reakcyjnego pansławizmu. Podczas wielkiego kryzysu bałkań-

skiego 1875—1878 r. zarówno Serbowie, jak i Czarnogórcy wystąpili z roszczeniami i działaniami, mającymi doprowadzić do zbudowania choćby namiastki Jugosławii. Czarnogóra i Serbia wszelkimi środkami popierały powstanie bośniacko-hercegowińskie przeciw Turcji, a kiedy to nie pomogło, wówczas te dwa małe państewka słowiańskie stanęły do nierównej, ale heroicznej walki zbrojnej przeciwko nadal potężnej Turcji. Całość wysiłku militarnego została uratowana na skutek przystąpienia Rosji carskiej do wojny i ostatecznego pokonania przez nią Turcji. Był niepodległy Serbii i Czarnogóry został uratowany, ale dążenia jugosłowiańskie pozostały niespełnione, ponieważ w traktacie berlińskim 1878 r. przyrzeczone poprzednio przez carat Serbii i Czarnogórze Bośnię i Hercegowinę, oddawano Austro-Węgrom, tworząc w ten sposób słynny „kocioł bałkański” i stwarzając już wtedy podłoże I wojny światowej.

W latach osiemdziesiątych XIX w. i później zawiedziona Serbia odchodziła od politycznego jugosławizmu, skłaniając się ku nierównoprawnemu sojuszowi z Austro-Węgami. Pozostawała przy nim Czarnogóra i inteligencja krajów południowosłowiańskich w składzie Austro-Węgier i Turcji. Sytuacja uległa zmianie w wyniku zamachu pałacowego w Belgradzie w 1903 r., który obok wielu zmian przyniósł i tę, że Serbia ponownie wkroczyła na drogę jugosławizmu i tym razem, niezwykle zdecydowanie. Stosunki z monarchią habsburską zaczęły się coraz bardziej psuć, prowadząc aż do dramatycznego zamachu w Sarajewie w 1914 r. i do wybuchu I wojny światowej. Serbom wtedy chodziło już zdecydowanie o Jugosławię, podobnie jak Czarnogórze. Obydwa państwa południowosłowiańskie były popierane przez patriotów o nastrojach jugosłowiańskich w Słowenii, Chorwacji, Wojwodinie, Bośni, Hercegowinie. Oczywiście, oprócz polityczno-militarnego wymiaru jugosławizm nieprzerwanie rozwijał się w dziedzinie oświaty i nauki, kultury, piśmiennictwa, współpracy szkół i uczelni, bibliotek itp. Nie bez znaczenia były spotkania jugosławistów i ich udział w zjazdach neosławistów w Pradze 1908 r. i w Sofii w 1910 r.

W ciągu wojen bałkańskich 1912—1913 r. i I wojny światowej 1914—1918 r., przy wielkiej ofiarowości Słowian południowych i wielkich stratach nastąpiło urzeczywistnienie idei jugosłowiańskich. Powstałe po I wojnie światowej Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, w 1929 r. otrzymało nazwę Jugosławii. W tym kształcie, przy pewnych zmianach terytorialnych Jugosławia istnieje do dziś. Jest to państwo wielonarodowościowe (Słoweńcy, Chorwaci, Serbowie, Macedończycy, Albańczycy, Turcy, Arumuni), wielojęzyczne (słoweński, serbochorwacki, macedoński, albański itd.), wielowyznaniowe (prawosławie, katolicyzm, islam), charakteryzujące się obecnie występującymi tendencjami do dalszej dezintegracji. Istniejące konflikty Serbów z Chorwatami zaostrzają się, dochodzi konflikt słoweńsko-serbski, ostry charakter przybrał opór Albańczyków z Kosowa przeciwko Serbom i Czarnogórcom, aktywizują się muzułmanie — Turcy i inni. Serbia ma kłopoty z mniejszością węgierską w Wojwodinie, w Chorwacji nie darzy się sympatią autochtonicznych Serbów, w Bośni mieszanica wyznaniowa zaczyna coraz ostrzej pokrywać się z narodowościową. Przy tym wszystkim Jugosławia ma nie najlepiej ustalone granice z Włochami, Węgarami, Albaniami i Bułgarią. Spośród sąsiadów ci dwaj ostatni nie kryli, a szczególnie Albania i to w ostatnich latach, zamiarów rewizjonistycznych. Skomplikowane problemy językowe są pogłębiane poprzez liczne żądania spełniania coraz to nowych postulatów różnych grup ludności. Podobno żądano wprowadzenia języka chorwacko-serbskiego, jako przeciwwagi dla oficjalnego serbsko-chorwackiego. Powstaje pytanie, czy ten jugosławizm, tak kontrowersyjny niegdyś, chociaż w różnych momentach dosyć silny, będzie tym czynnikiem, który zahamuje tendencje rozpadowe w tym kraju. Na pewno nie można w tej mierze liczyć na słabą gospodarkę i finanse.

ANTONI GIZA



Miroslav Šutej, „Obraz z wystawy”, serigrafia, 1986

Narodowe paranoje i ekonomiczne szaleństwa

SLOBODAN SELENIĆ

Byłoby ze wszech miar korzystnie zastanowić się nad problemem, czy liczne niedobre okoliczności kompromitujące ideę jugosłowiańskiej wspólnoty państwowej wynikają z natury tej wspólnoty, lub też czy niektóre z nich są uwarunkowane innymi czynnikami. Zadajmy sobie pytanie: czy Jugosławia byłaby w sytuacji największego, odkąd istnieje, konfliktu narodowościowego, gdyby w ciągu ostatnich dwudziestu lat jej sytuacja ekonomiczna była stabilna? To samo pytanie można sformułować nieco inaczej: czy ustrój państwowy ponosi winę za ekonomiczną niewydolność naszej wspólnoty, albo czy to właśnie ekonomiczna nieefektywność jest głównym źródłem antyjugosłowiańskich neuroz?

Część winy za katastrofalną ekonomiczną sytuację Jugosławii ponosi, rzecz jasna, także i jej ustrój. Jugosławia jest tym, czym w każdym momencie chcą ją widzieć jej suwerenne części; nie istnieje więc jako stabilna, silna państwowo i co gorsza (a co jest najbardziej irracjonalne) jako gospodarcza całość. Niby osiem niezależnych państwówek chce sześcioletniemu czterech rozmaitych rzeczy naraz. Po każdorazowym osiągnięciu porozumienia staje się coraz większym i coraz bardziej niezdrowym kompromisem pomiędzy niemożliwymi do pogodzenia racjami. Dzisiejsza Jugosławia zamieniła się w pole bitwy, na którym nieustannie toczą walkę republiki i okręgi. Każde z nich dla jednego kawałka mięsa gotowe jest zarznąć całego wolu. Tym sposobem Jugosławia wystawiła sobie niesłychany, szalony rachunek: za osiem kotletów musi zapłacić dwadzieścia miliardów dolarów. Dzieci narodów i narodowości Jugosławii splatę tego długu zostawiają w spadku swoim dzieciom. Nasze narodowe nonsensy, ośmielone Konstytucją z 1974 r., która wręcz dekretuje nienawiść między narodami, są zatem jednym z powodów, które doprowadziły do dzisiejszego ekonomicznego i społecznego upadku kraju.(...)

Tymczasem winy za ekonomiczną ruinę Serbii nie ponosi Słowenia, w jeszcze mniejszym stopniu, za znacznie lepszą, choć i tak fatalną, sytuację Słowenii nie są odpowiedzialne mniej rozwinięte republiki i okręgi. Winna nie jest także Jugosławia. I obszary słabo rozwinięte, i Słowenia, i Serbia są w katastrofalnym położeniu, ponieważ ogromu nonsensów, na których wspiera się jugosłowiański system ekonomiczny i społeczny, żadne państwo, ani naród nie są w stanie zbyt długo wytrzymać.

Utrzymując w istocie sowieckie mechanizmy monopolu partyjnego w podejmowaniu decyzji we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego, kiepscy wizjonerzy naszkicowali projekt, który w zamiśle wyraźnie im przypadł do gustu, ale który w realizacji szybko doprowadził do totalnej ruiny państwa, społeczeństwa i całego systemu ekonomicznego. Uzasadniony byłby, rzecz jasna, zarzut, że łatwo już po bitwie udawać dobrego stratega. A jednak, nie jest to całkiem bez sensu. Bitwę niewątpliwie przegraliśmy, ale wciąż nie zmieniamy strategów, ani strategii. I głosem wolańczego na puszczy odkrywamy oczywistą prawdę, że system nie funkcjonuje, a więc że król jest nagi. Nie przeczę, że naiwna mieszanina bolszewizmu i anarchizmu w wydaniu Kardelja miała jak najlepsze intencje. W fazie początkowej wyglądała na korzystne odstępstwo od wulgarnego bolszewizmu, który przez dziesiątki lat wykazywał jak katastrofalnie jest nieskuteczny i nieludzki. Mimo to, kiedy eksperyment z systemem samorządowym zaczął wyraźnie

pokazywać, że jest nie do zaakceptowania, nie zrobiliśmy tego, co zrobiłaby każda racjonalnie myśląca wspólnota, czy to wielonarodowa czy też monolityczna: nie przerwaliśmy eksperymentu, mimo iż dotyczył życia dwudziestu milionów ludzi i kilku generacji przyszłych Jugosłowian, jeszcze nienarodzonych, a już zobowiązanych do płacenia za błędy niedouczonej, a żądnych sławy i wszechmocnych naprawiaczy ludzkości. Stało się tak, ponieważ nawyk większej wiary w dogmat niż w życie był zbyt głęboko zakorzeniony w świadomości eksperymentatorów.

U podstaw ideowej koncepcji systemu samorządowego nietrudno dostrzec mesjanistyczną wiarę, że wystarczy nakreślić idealny schemat nowego życia, żeby pobiegło ono jak owca za swoimi pasterzami. Przez siedemdziesiąt długich lat to życie udowadnia, że nie jest owcą i nie może i nie chce włączyć się w społeczeństwo wykoncypowane a priori, bez jakiegokolwiek próby analizy czy oceny wiary istotnych faktów.(...)

Dlaczego tak się dzieje?

Dlatego, że mesjasz i mesjanizm w kominternowsko-stalinowskiej szkole myślenia nie odpowiadają za sukces bądź klęskę mesjanizmu, a samozwańczy wizjoner, bez względu na rosnącą liczbę dowodów obnażających jego dydaktyczną indolencję, jest jednym, który na zawsze i niezależnie od faktów, zna ostateczną prawdę i drogę do niej prowadzącą. Łatwiej jest nam zrobić 20-miliardowy dług, wykrwawić się między sobą, usankcjonować stan rozpaczny i beznadziei, niż uznać, że mesjasz nieudolnie naszkicował projekt.

Dlatego też pytam: czy jest tak dlatego, że jesteśmy w Jugosławii, czy też Jugosławia jest taka, jaka jest dlatego, że tak to wszystko wygląda?

Nie znam wiarygodnej odpowiedzi, ale trzeba koniecznie rozróżnić te dwie rzeczy. Jugosłowiańska wielonarodowość, uzasadniona historycznie, najprawdopodobniej od wewnątrz pomogła zwyciężyć idei opartej na dośrodkowych i anarchistycznych ideałach. Jednakże mesjanistyczna natura projektu systemu samorządowego nie ma żadnego związku z naturą Jugosławii. Jej natura jest bowiem ideowo-religijna i związane z tym negatywne zjawiska występują także w innych państwach, a nie są wyłącznie jej właściwością. Z pewnością to nie Jugosławia jest autorką bolszewickiego irracjonalizmu, ale wydaje mi się, że to bolszewicki dogmatyzm przyczynił się najbardziej do skompromitowania Jugosławii jako wspólnoty państwowej. A zatem, dopiero wówczas, gdy stworzymy z naszego kraju politycznie i społecznie rozsądny organizm, będziemy w stanie, jak sądzę, z pełną świadomością zawyrokować, czy wspólne państwo południowych Słowian jest dobre czy nie.

Przygnębia mnie uczucie straszliwej daremności, kiedy widzę jak ogromna energia jest trwoniona w narodowych waśniach i wiem, wiem oczywiście, że narodowa paranoja nakręca, między innymi, także ekonomiczne szaleństwo. A tymczasem, amalgamat tych dwóch zgubnych elementów — czego doświadczamy — jest zabójczy.

Tłumaczyła Joanna Sławińska

Jugosławia — jedność czy pluralizm?

Państwo, noszące od roku 1963 nazwę: Socjalistyczna Federacyjna Republika Jugosławii, zajmuje zachodnią część Półwyspu Bałkańskiego. Od najdawniejszych czasów wędrowały tędy i lokowały się tu różne plemiona, w VI i VII wieku naszej ery osiedlili się też przybyli spoza Karpat Słowianie (nie jest przypadkiem zbieżność nazw Serbów bałkańskich i lużyckich w NRD). Część północną i środkową tego obszaru zajęli: Słoweńcy z ośrodkiem w Lublanie (ich grupa żyje do dziś w austriackiej Karyntii i Styrii), Chorwaci z ośrodkiem w Zagrzebiu i Serbowie ze stolicą w Belgradzie, zaś część południową Macedończycy ze stolicą w Skopje, którzy przywędrowali szlakiem wschodnim, od Morza Czarnego.

Plemiona te używały trzech języków: słoweńskiego, serbsko-chorwackiego i macedońskiego, bardzo sobie bliskich i należących do grupy południowosłowiańskiej. Grupę tę charakteryzowały takie wspólne cechy językowe jak: wymowa typu *cwet*, *zwезда* (pol. kwiat, gwiazda); uproszczenie grup *tl*, *dl*, np. *ralo*, *moliti* (pol. radło, modlić); typ *krawa*, *glawa* (pol. krowa, głowa); rozwinięty system intonacji; liczna grupa wspólnego słownictwa, np. *loza* (winne grono), *broj* (liczba). W obrębie tej grupy językowej macedoński był bliższy bułgarskiemu, z którym posiadał wspólnie wiele cech, np. zanik bezokolicznika i końcówek deklinacyjnych, rodzajnik postpozycyjny itp.

Warunki życia oraz historia narodów jugosłowiańskich powodowały, że na przestrzeni ich dziejów ciągle się przeplatały i nadal się krzyżują dwie tendencje: do jednoczenia się oraz do odrębności. Złożyły się na to wielorakie przyczyny: geograficzne, etniczne, językowe, historyczno-polityczne, religijne i gospodarcze.

Warunki naturalne Jugosławii są niezwykle urozmaicone: góry, nieco nizin, długi pas wybrzeża morskiego oraz około tysiąca wysepek. Powodują one ogromne zróżnicowanie klimatyczne sprawiając, że kraj posiada w jednym czasie wszystkie typy klimatów: ciepły i łagodny klimat śródziemnomorski, zmienny klimat górski oraz suchy i surowy klimat lądowy. Wynikają też stąd daleko idące konsekwencje dla stosunków językowo-etnicznych i gospodarczych.

Języki i dialekty Jugosławii wykazują bardzo duże zróżnicowanie. Jedną z przyczyn jest fakt, że Słowianie osiedlając się tu natrafili już na różnych poprzedników, że zastali tu zróżnicowany substrat językowy. Trudny i różnorodny teren powodował trudności w przemieszczaniu się ludności i w jej kontaktach z innymi okolicami, co powiększało różnice językowe i powstanie wielu gwar. Jeśli natomiast na takim terenie istniały różne gwary czy języki, w warunkach codziennego życia oddziaływały one na siebie. W ten sposób tworzyły się, zwłaszcza na pograniczach dialektów i języków, szerokie pasy gwar mieszanych i przejściowych. Można powiedzieć krótko, że mozaika geograficzna wpłynęła w Jugosławii na wytworzenie się mozaiki językowej.

Bogata i zmienna historia tych ziem sprawia, że na przestrzeni czasu od VII wieku do I wojny światowej wytworzyło się tu i upadło kilkanaście różnych organizmów państwowych, o odmiennych strukturach, wokół odmiennych ośrodków: w Karyntii i Słowenii, Chorwacji, Serbii, Bośni, Dalmacji, Czarnogórze i Macedonii. Fragmenty tych obszarów były zajmowane i okupowane przez różnych sąsiadów: Franków, Bizancjum, Bułgarię, Niemców, Turków, Włochów, Austro-Węgry. Dopiero w czasie I wojny światowej wytworzyło się pojęcie wspólnoty południowosłowiańskiej — jugoslawizmu. W dniu 1 grudnia 1918 roku utworzono Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, przemianowane w roku 1929 na Królestwo Jugosławii. Mimo to pojęcie narodu i świadomości

narodowej nie jest dla Jugosławian ani jednoznaczne, ani ostatecznie utrwalone.

Jugosławia nie jest też krajem jednolitym pod względem religijnym. Chrześcijaństwo przyjęto tu zarówno od Bizancjum, w Macedonii i Serbii, jak też od krajów zachodnich, w Słowenii i Chorwacji; w tej ostatniej działali również uczniowie Cyryla i Metodego, dlatego też przez pewien okres księgi religijne chorwackie pisane są kanciąstą glagolicą chorwacką. Tak więc główny podział religijny Jugosławii to prawosławni Macedończycy i Serbowie, używający też w piśmie alfabetu cyrylicy oraz katolicy Chorwaci i Słoweńcy, posługujący się pismem łacińskim. Ponadto, w wyniku wielowiekowej okupacji tureckiej, pozostało wielu Turków o religii muzułmańskiej, także wielu Słowian uległo sturczeniu bądź przyjęło islam. W samej Słowenii zaś od czasów reformacji spora część ludności przeszła na protestantyzm.

Kraje jugosłowiańskie ulegały też różnym wpływom kulturalnym. Na część południową silnie oddziaływała kultura grecka, zaś później wycisnęła swoje piętno kultura turecka (ominęło to tylko Słowenię). Od północy, na Słowenię i Chorwację, oddziaływała kultura niemiecka, nieco mniej włoska i francuska. Wpływy te widoczne są zwłaszcza w słownictwie tych języków. Ścisłe wiązały się z nimi i wpływy gospodarcze. Wzorużące się na krajach zachodnich republiki północne, zwłaszcza Słowenia, posiadają nowoczesny przemysł i wysoki poziom życia, natomiast prowincje południowe są mniej rozwinięte.

Wynikiem tych różnych czynników jest obecna sytuacja Jugosławii. Trudna historia, popadanie w zależność od każdego mocniejszego sąsiada spowodowały zwycięstwo idei zjednoczeniowych i powstanie, w roku 1918, państwa federacyjnego. Obecnie składa się ono z sześciu republik związkowych: Serbii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny, Słowenii, Macedonii i Czarnogóry oraz dwu okręgów autonomicznych, położonych w Serbii: Wojwodiny, zamieszkałej w większości przez ludność pochodzenia węgierskiego i Kosowa, zasiedlonego przez Albańczyków. W kraju zamieszkuje siedem narodowości. Poza trzema językami słowiańskimi w użyciu są jeszcze: albański i węgierski. Bezwzględna dominacja polityczną posiadają w państwie najliczniejsi — Serbowie, dążący do utrzymania federacji; pozostałe narody mają tendencje separatystyczne.

W specyficznej sytuacji znajdują się Chorwaci, drudzy pod względem liczebności, ale od początku istnienia wspólnego państwa zdominowani przez Serbów. Obydwa narody, tak samo Bośniacy i Czarnogórcy, mówią tym samym językiem, którego wersja literacka została ujednoliconą i formalnie uzgodnioną oraz zatwierdzoną w połowie XIX wieku (duże zasługi ponieśli tu językoznawcy: Vuk Karadžić i Ljudevit Gaj); zależnie od strony używającej, nosi on wspólną nazwę: serbsko-chorwacki lub chorwacko-serbski. Istnieje jednak odmienna historia, tradycja, religia, wśród intelektualistów chorwackich były już zakusy o wyodrębnienie chorwackiego jako samodzielnego języka. O autonomię, większą niż republika związkowa, zabiega Słowenia, która będąc najbogatszą republiką musi ciągle ponosić koszty finansowania państwa i republik biedniejszych. Federacja jugosłowiańska przechodzi, podobnie jak Związek Radziecki, kryzys, który może być rozwiązany pomyślnie jedynie w drodze rokowań i w sposób demokratyczny. Pluralizm to zjawisko pozytywne ale i kłopotliwe, trudne do regulowania, o czym właśnie mogą się przekonać sami Jugosłowianie.

Mieczysław Buczyński

Felieton obrazkowy

Fotografował Henryk Radej

UL. ARMII CZERWONEJ

ul. Żwirki i Wigury

ul. Feliksa Dzierżyńskiego

ul. Reformacka

ul. Karola Marksa

ul. ks. Ignacego Skorupki

ul. Włodzimierza Lenina

ul. Henryka Sienkiewicza

Smażalnia
„FRYTKA”

smażalnia
„FRYTKA”

Poleski Park Narodowy

Jesteśmy małą wyspą

Unikalne walory przyrodnicze Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, a szczególnie Durnego Bagna oraz rejonu jezior Długie, Moszne i Uściwierz były podkreślane przez naukowców od kilkadziesiąt lat. W roku 1959 Dominik Fijałkowski zgłosił propozycję utworzenia na tym terenie Wytyckiego Parku Narodowego. Była to wówczas pierwsza w kraju koncepcja utworzenia parku narodowego wodnotorfowiskowego. Myśl ta zaowocowała w osiem lat później utworzeniem w tym rejonie rezerwatu przyrody Durne Bagno o powierzchni 213 ha. Obszar rezerwatu był zbyt mały, aby chronić całość kompleksu przyrodniczego przed niekorzystnymi wpływami zewnętrznymi.

Kolejne lata były okresem starań o powstrzymanie degradacji tych terenów i zachowanie ich w możliwie nie zmienionym stanie. W roku 1970 Lubelskie Towarzystwo Naukowe z inicjatywy Tadeusza Wilgata podjęło uchwałę zalecającą utworzenie na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim parku narodowego. Rok później D. Fijałkowski opublikował mapę z propozycją przebiegu granic parku, tym razem zwanego Zachodnio-Poleskim Parkiem Narodowym, który obejmowałby obszar około trzech tysięcy hektarów. W tym samym roku Państwowa Rada Ochrony Przyrody opracowała plan koncepcji ochrony krajobrazu w Polsce, w którym wspomniano o potrzebie utworzenia Poleskiego Parku Narodowego. W roku 1972 Jezioro Moszne i otaczające go torfowiska uzyskały status rezerwatu przyrody obejmującego 215 ha. Sześć lat później utworzono rezerwat Jeziora Długie o powierzchni 640 ha.

W roku 1983 decyzją Wojewódzkiej Rady Narodowej w Chełmie utworzono na tym terenie Poleski Park Krajobrazowy obejmujący 10,5 tys. ha, a w roku następnym przystąpiono do przygotowywania dokumentacji naukowej Poleskiego Parku Narodowego. Oficjalnie powstał on 1 maja 1990 r.

Obszar ten jest miniaturą europejskiej tundry i lasotundry, najdalej w Europie wysuniętą na południowy-wschód. Rozległością i stanem zachowania torfowisk i bagien ustępuje w Polsce jedynie Bagnom Biebrzańskim. Duże nagromadzenie północnych gatunków roślin — około 150 — nie jest spotykane nigdzie w Polsce. Dodatkowo obecność roślin stref atlantyckiej, wschodniokontynentalnej i południowej stwarza osobliwość na skalę europejską. Na przeważającej części obszaru parku występują gleby torfowe, stale lub okresowo podmokłe. Tereny użytkowane rolniczo stanowią jedynie 17 proc. powierzchni. Nie występują tu żadne zakłady przemysłowe ani usługowe,

a gęstość zaludnienia jest najmniejsza w całym makroregionie środkowo-wschodnim.

Niestety, park nie może być rozpatrywany jedynie w jego formalnych, administracyjnych granicach. „Wciśnięte” weń trzy enklawy użytkowane rolniczo obejmują cztery wsie. Wprawdzie uznane są one za nie rokujące rozwoju, ale przemieszaniem terenu parku z obszarami wykorzystywanymi rolniczo zakłóca czystość teoretycznych założeń.

— *Musimy współżyć z miejscową społecznością* — mówi dyrektor parku Zbigniew Karbowski. — *Chcę tych ludzi, którzy tu zamieszkują przecież od dawna, traktować jako element tej przyrody. To, że ona dotychczas istnieje w stanie wartym ochrony najlepiej zaświadcza o ich umiejętnościach jej ochrony. Natomiast bardzo rygorystycznie mam zamiar podchodzić do turystyki oraz ingerencji osób z zewnątrz.*

W prowadzącym prace planistyczne nad utworzeniem parku Instytucie Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej Zakładu Zagospodarowania Przestrzennego i Urbanistyki w Lublinie zaproponowano swego czasu trzy warianty: maksymalnej ochrony terenów objętych granicami parku, maksymalnej rekreacji oraz minimalizacji konfliktów. Wybrano trzeci wariant. W efekcie zaprojektowano park — małą wyspę — o powierzchni 4 800 ha i okalającą go strefę ochronną o powierzchni niespełna 19 tys. ha.

— *Kwestia skorygowania granic parku jest kwestią być albo nie być* — mówi dyrektor Karbowski. — *Bo cóż z tego, że ja na terenie parku zakażę na przykład kopania rowów melioracyjnych, jeśli zaraz obok będzie się je kopać, gdyż jest to teren w innej administracji. A jest rzeczą oczywistą, że*

przyroda na te sztuczne podziały nie zwraca uwagi. Nadmiar nawozów z pól uprawnych splywa na tereny parku. Przykłady można mnożyć. Dlatego najważniejszą sprawą jest niedopuszczenie do dalszej degradacji terenu parku.

Wsie oraz znajdujące się w strefie ochronnej parku fermy hodowlane i wspomniana chemizacja stanowią niewątpliwie zagrożenie dla zachowania flory i fauny. Oczywiście, można rozważać możliwość rolnictwa ekologicznego, produkcję zdrowej żywności.

— *Dlaczego nie?* — pyta Zbigniew Karbowski. — *Przecież jeżeli zdecydowaliśmy się na ochronę resztek tej przyrody, to za tym powinny pójść jakieś — zresztą relatywnie małe — pieniądze. W ten sposób, poprzez dotowanie zdrowej, nie skażonej żywności powinno się zachęcać rolników do jej produkcji.*

Najistotniejszym pytaniem pozostaje to czy zachować istniejący stan, czy też próbować przywracać dawny? W przypadku tego parku podstawowym wyznacznikiem będzie woda.

— *Zrobiono kiedyś dużą krzywdę temu terenowi* — mówi dyrektor Karbowski. — *Najpierw coś zniszczono przeprowadzając „melioracje”, a dopiero potem, gdy zauważono, że z dawnej przyrody pozostały resztki, podjęto próbę jej reanimacji. Jestem wręcz przerażony tym, co tu widzę. Czekam więc z żmudną codzienną robotą nad próbą zachowania istniejącego oraz — być może — przywrócenia w części dawnego stanu przyrody.*

JERZY GÓRNY



Ataman poezji

Wracają twórcy polskiej kultury, którzy za oceanem, bądź za kilkoma granicami pisali w języku polskim lub akcentowali polskość w swojej sztuce, a my „odkrywamy” ich dziś pełni zdziwienia i wzruszeń.

Na tej fali powrotów polska publiczność literacka dowiedziała się całkiem niedawno o Józefie Łobodowskim, dożywającym wówczas swój wiek w Madrycie. Artykuły w prasie, przedruki jego wierszy (także w lubelskiej „Kamieniu”) i audycje radiowe sprawiły, że autor ten zaczął funkcjonować w świadomości społecznej. Jednak dopiero śmierć poety w kwietniu 1988 roku stała się okazją do przypomnienia jego bogatego życiorysu i różnorodnej twórczości literackiej.

Wypełniając testamentową wolę pisarza, urna z jego prochami złożona została uroczysto w grobie matki na lubelskim cmentarzu. Przewrotne koło historii zamknęło się nad życiem poety kpiąc sobie z polityków, ideologii i ustrojów politycznych. Tylko w kategoriach dziejowego paradoksu i literackiej anegdody można interpretować fakt, że Katolicki Uniwersytet Lubelski, który w roku 1932 pozbył się studenta Łobodowskiego za manifestowanie postaw komunistycznych, po 56 latach z pietyzmem zajął się pochówkiem wielkiego poety, ale tym razem jako nieprzejednanego antykomunisty.

Lublin literacki w dalszym ciągu kontynuuje przybliżanie czytelnikowi polskiemu spuścizny po Józefie Łobodowskim, tworzącym tu w latach trzydziestych w kręgu Józefa Czechowicza, w atmosferze towarzyskich i politycznych skandali. Rok temu ukazało się pierwsze powojenne wydanie krajowe wierszy Łobodowskiego. Jest nim tom „List do kraju” w opracowaniu Jerzego Świąticha. W tym roku Wydawnictwo Lubelskie opublikowało „Poezje” Łobodowskiego w wyborze i opracowaniu Józefa Zięby. Oba

tomy zasługują na uwagę i w pełni przybliżają sylwetkę twórczą poety.

„Poezje” przekonują czytelnika o wielkości talentu pisarskiego choć znajduje się w nich wiele wierszy artystycznie zróżnicowanych. Zestawienie chronologiczne pozwala prześledzić zapis doświadczenia historycznego i rozwój upodobań nie tylko artystycznych poety.

W obu tomach zabrakło utworów z „Uczty zadżumionych” (Paryż, 1954). Zapewne autorzy obu wyborów uznali je za mało poetyckie i mało znaczące w całości osiągnięć literackich Łobodowskiego. Mieli w tym względzie rację. Choć w „Poezjach” należało przywołać jakąś satyrę lub kilka frazsek, nawet dla dopełnienia obrazu.

Poetyka twórczości Łobodowskiego oglądana z dystansu czasowego, zwłaszcza w opozycji do współczesnych form poezjowania, uderza świeżością metaforyki i dynamiką form. To zapewne wpływ temperamentu poety, który żył bardzo aktywnie, trochę na sposób cygański, bo „zdarzyło mu się wypić, a potem komuś dać w mordę, lub na czymś łbie rozwalić krzeselko”. (W. Szymański, „Szkie literackie”, PIW 1961).

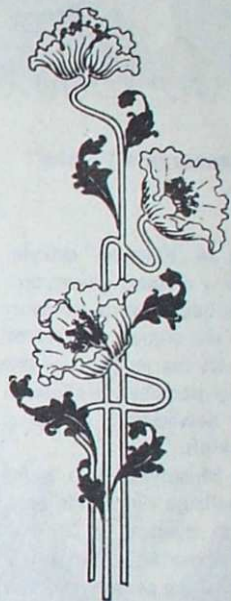
Kunsztem urzekają wiersze Łobodowskiego z tomu „Złota hramota” (1954) i „Pieśń o Ukrainie” (1959), w których autor nawiązał do romantycznego dziedzictwa poetyckiego szkoły ukraińskiej, przywołując tragiczne epizody z dziejów polskich Kresów. Tematy ukraińskie, to wątki prawie że osobiste dla poety. Ukrainę poznał Łobodowski dokładnie w okresie straszego głodu w połowie lat trzydziestych. Później pracował w Łucku jako redaktor tygodnika „Wołyń”. Tematyka ukraińska pojawiała się wielokrotnie w jego emigracyjnej twórczości. Nie bez przyczyny grono przyjaciół nazywało go „atamanem Łobodiją”.

Dobrze się stało, że pisarstwo Józefa Łobodowskiego wraca do nas właśnie teraz, kiedy coraz głośniejsze mówi się o potrzebie pojednania polsko-ukraińskiego. Swoje pozytywne stanowisko w tej sprawie wyraził Łobodowski już wiele lat temu i był mu wierny do końca.

Henryk Radej

Józef Łobodowski: *List do kraju*. Wybór wierszy i opracowanie Jerzy Świątich, Red. Wydawnictwo KUL 1989.

Józef Łobodowski: *Poezje*. Wybrał i wstępem opatrzył Józef Zięba. Wyd. Lubelskie 1990.



Dawne twarze, dawne widoki

Czwartego lipca br. w salach Muzeum Okręgowego w Chełmie otwarto wystawę starych fotografii ze zbiorów działu historycznego. Kilkunastu pierwszych gości usłyszało, że głównym powodem bezpretensjonalnej ekspozycji — bez bliżej określonego tematu, z minimalnymi objaśnieniami, przedwidzianej na lato, do końca sierpnia, kiedy do miasta i Muzeum trafi więcej odwiedzających — była chęć pokazania czegoś z własnych magazynów, jeszcze nieogłdanego, obok stałych ekspozycji.

Jest to wybór zdjęć i fotosów ze zbioru tymczasem niewielkiego, ale już uzupełniającego wiedzę o przeszłości miasta i okolic. Trafiały one do Muzeum przypadkowo, choć trzeba przypomnieć apele kierowane do mieszkańców w poprzednich latach o przeglądanie domowych szpargalów i wydobywanie ze strychów, szaf i kanap starych zdjęć, na których zastępy widoki odeszłego Chełma i spojrzenia ojców, dziadków i pradiadków. Zdjęcia te, gdy były nowe, wyszły z tutejszych atelier — i te są niewątpliwie najcenniejszymi eksponatami z regionalistów fotograficznych. Inne trafiały do pierwszych

właścicieli od krewnych i przyjaciół z daleka, nierzadko z zagranicy — mówią o tym firmowe passe-partout zakładów fotograficznych z mniejszych i większych miast polskich i zagranicznych, ze wschodu i zachodu. Trzeba nie bez lokalnej dumy podkreślić, że tutejsze szacowne starocie niczym nie ustępują zagranicznym poziomem graficznym firmowych kartoników, stanem zachowania obrazu, co między innymi świadczy o fachowości obróbki światłoczułego papieru przez rzemieślników, jeśli nie artystów sprzed dziesiątków lat — te najstarsze pochodzą z lat dziewięćdziesiątych XIX w. W tym miejscu godzi się przypomnieć, że ostatnie chełmskie atelier, takie z oszkloną ścianą wielkości co najmniej 30 m, służące kilku pokoleniom firmy „Czernobajew” przy ul. Lubelskiej 69, rozebrano około 1970 r. w związku z rozbudową magistratu. Dzisiaj w tym miejscu jest parking. Inne firmy, z których portrety fotograficzne eksponowano osobno, to J. Rosenblatt, B. Felhendler, J. Wajntraub („Venus”), B. Ostrowski, Sierocińska, Marie, Modern, Raphael. Nie wszystkie one

przeżyły czas pierwszej wojny światowej. W okresie międzywojennym, w latach trzydziestych, znany był zakład „Foto-Kupś”, (a imię właściciela — Marcin) przy Lubelskiej 75. Gdzieś po drugiej stronie Lubelskiej był zakład „Sztuka”. Niżej podpisane mu wiadomo, że co najmniej dwoje z tych dawnych fotografów wychodziło z warsztatów, fotografując miasto — Sierocińska i Ostrowski. Są też bardzo solidne przesłanki, aby szukać ludzi z aparatami fotograficznymi na ulicach Chełma już około roku 1875. Materiały z Muzeum jeszcze tego nie udowadniają, kolekcjonerzy, a może bardziej posiadacze starych fotografii, są niechętni kontaktom i rozmowom. Jednym z wyników wystawy w Chełmie, najbardziej pożądanym, może być wydobywanie więcej i starszych zdjęć. Uplywający czas nie sprzyja zachowaniu ich jako najbardziej bezspornych świadectw obrazów przeszłości.

Oprócz profesjonalnych wyłożono także pamiątkowe zdjęcia amatorskie: album z papierów po Wiktorze Ambroziewicz z internowania w Niemczech przed rokiem 1917,

zdjęcia z uroczystości szkolnych w gminazjum Czarnieckiego, ze sztandarem i przy pomniku poległych 7 pułku piechoty Legionów. W swoim czasie musiały ich być setki. Najmłodsze z eksponatów są z lat 30-tych. Z roku 1935 jest pamiątkowe tableau pań z Sodalicii Mariańskiej przy Parafii Mariackiej — ksiądz Jakubik i jego młodszy współpracownik widnieją wśród 50 miniatur — niestety anonimowych — podobizn aktywistek parafialnych.

Zwraca uwagę grupowe, duże zdjęcie notabli miejskich na tle wejścia do kończonego budynku magistratu — byłby to rok 1927. Wśród urzędników i zaproszonych widać bujną czuprynę Kazimierza Czernickiego, który w swym tygodniku „Zwierciadło” wytykał każdą wątpliwie wydaną złotówkę i niepewnie położoną cegłę w murach obiektu.

Dwie inne duże pamiątkowe fotografie doskonale się uzupełniają. Młodsze jest ze

zjazdu koleżeńkiego na 10-lecie seminarium nauczycielskiego żeńskiego, z 1 października 1929 r. Wcześniejsze o kilka lat — z tej samej firmy „Venus” — uwiecznia grupę absolwentek seminarium. Czas biegł i robił swoje i wtedy, zostawiając ślady nie tylko w sylwetkach i twarzach pani dyrektor Jadwigi Młodowskiej i grona pedagogicznego. Na młodszym zdjęciu młode panie nauczycielki są w sukniach i płaszczach, a twarze niektórych z nich to już nie filuternie uśmiechnięte buzie tych samych dziewcząt w mundurkach z białymi kolnierzykami sprzed kilku lat. A biegaly one po ulicach i wokół budynków, chodziły do wieży w Białawinie i w Stolpiu pokazanych z pierwszorzędną ostrością na zdjęciach zebranych przez kogoś w albumiku „Obrazki Chelma”.

Najwięcej miejsca zajmują zdjęcia z domowego archiwum Poletyłów z Wojsławic. Dłużej zatrzymują spojrzenie postaci i popiersie starszego hrabiego Leopolda u schyłku życia i dziecięce portrety jego syna Franciszka jako nadziei rodu, ujętego także w grupie krewnych (atelier „S. Nakielski a Vinnitza”)

— dowód artystokratycznych koligacji z polską gałęzią rodziny. Wywieszono także grupę seryjnych fotosów krajobrazowych z Alp austriackich. Najwidoczniej hrabia Franciszek pielęgnował tę lub album przypominający mu studencką młodość w Innsbrucku, gdzie w 1881 r. kończył studia nauk prawnych i politycznych, jako „Franz Graf von Poletylo geboren zu Woyslawitze in Russland” — tak jest na dyplomie zachowanym w archiwum w Krasnymstawie. Skłonność do Austrii to także ślub z hrabianką Elżbietą Miączyńską w wiedeńskim kościele OO. Zmartwychwstańców i ucztę weselną w jednym z najdroższych lokali cesarskiego Wiednia, w Grand Hotelu — to już wiadomość z zaproszenia widzianego gdzie indziej.

Miejmy nadzieję, że kiedyś historykom z Muzeum uda się zgromadzić i wystawić więcej zdjęć — i oby ta skromna ekspozycja stu kilkudziesięciu sztuk temu pomogła.

Andrzej Piwowarczyk

Listy do redakcji

„Masaryk a Polska”

Cieszę się, że „Kamena” odżyła. Co prawda w miejscu swoich dawnych narodzin i jako pismo subsydiowane, co może wróżyć stabilność — ale szkoda, że kwartalnik.

Ten pierwszy numer (z br. — przyp. red.) bardzo mi się podobał, zwłaszcza artykuł porządkujący zawiłą i niejasną historię rodu Rzewuskich.

Artykuł o Masaryku — b. sympatyczny — trochę idealizuje niezwykle zasłużonego polityka. Jego dysputy z Dmowskim nie przebiegały tak gładko; zdecydowanie i bez owijania w bawełnę przeciwny on był choćby najluźniejszej konfederacji, o czym mówi wyraźnie prezes Komitetu Narodowego w „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa”. Dyskusje toczyły się przy akompaniamencie bojów o Cieszyn, kiedy to poległ ukochany brat generała J. Hallera.

Ale to drobiazg; Masaryk rzeczywiście był politykiem dużo nam sympatyczniejszym od Benesza, nie mówiąc o dziwnych politykach po wyzwoleniu. (...)

Tadeusz Chróścielewski
Łódź

„Fotografia kresowa”

20 maja br. usłyszałem krótki komunikat w telewizji, że wydawnictwo „Kamena” zamierza urządzić wystawę obrazującą polskie „ziemie utracone”.

Pochodzę z województwa poleskiego, z miasta powiatowego Kossów Poleski. Posiadam ponad 100 fotografii krajobrazu i typów ludności Polesia, również zdjęcia z Merczowszczyzny z dworkiem, w którym urodził się Tadeusz Kościuszko. Fotografie moje

znajdują się w zbiorach muzeów Warszawy, Krakowa i innych placówek w Polsce i za granicą. Posiadam negatywy tych zdjęć; format — malobrazkowy 6 x 9 oraz klisze szklane 10 x 15. Zdjęcia wykonałem w latach 1934—37.

Jestem obecnie emerytem, mam 81 lat. Byłem fotografem zawodowym od 1927 do 1985 roku.

Mam nadzieję, że część moich zdjęć może być eksponowana na wystawie. (...)

Józef Szymańczyk
Łódź

Od redakcji: Z wielką satysfakcją przyjmujemy wyrażony w korespondencji zamiar przesłania przez Pana tak cennych zdjęć na

naszą wystawę, która wszakże w intencji organizatorów nie będzie obrazować polskich „ziem utraconych”, lecz „Fotografie kresową”, jak brzmi pełna nazwa przygotowywanej ekspozycji.

Korzystając z okazji przypominamy wszystkim zainteresowanym, że regulamin wystawy opublikowaliśmy w „Kamieniu” nr 1/1990. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 listopada br., a należy je kierować pod adresem: Muzeum Okręgowe, ul. Lubelska 55, 22—100 Chelm (tel. 530—35). Sugerowana tematyka zdjęć (amatorskich, profesjonalnych) jest w istocie — jak stanowi regulamin — tak rozległa, że obejmująca wszelkie znaki polskości na b. Kresach Wschodnich, a nawet na terenach znacznie odleglejszych (np. Syberia, Kazachstan). Czas wykonania fotografii — bez ograniczeń.



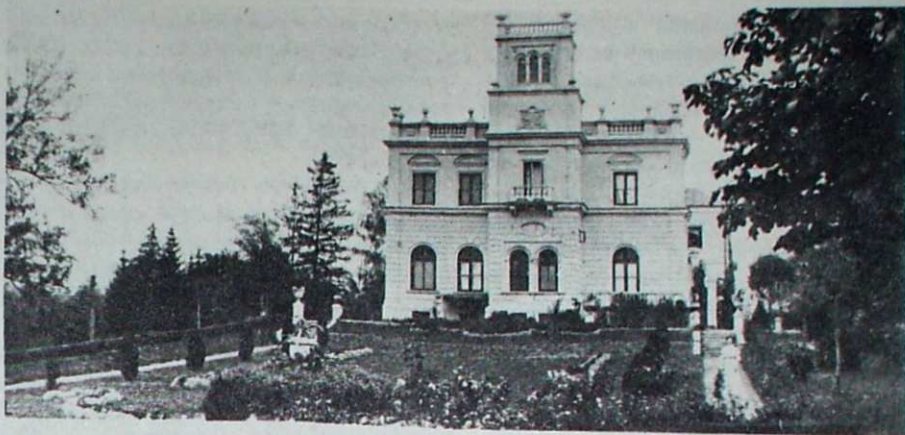
Rezydencje Smorczewskich

O pięknej neogotyckiej rezydencji rodziny Smorczewskich herbu Rawicz w Żdżanem między Krasnymstawem a Chelmem wiemy niewiele. Była niewątpliwie perłą XIX-wiecznej architektury romantycznej, o czym świadczy zachowana fotografia.

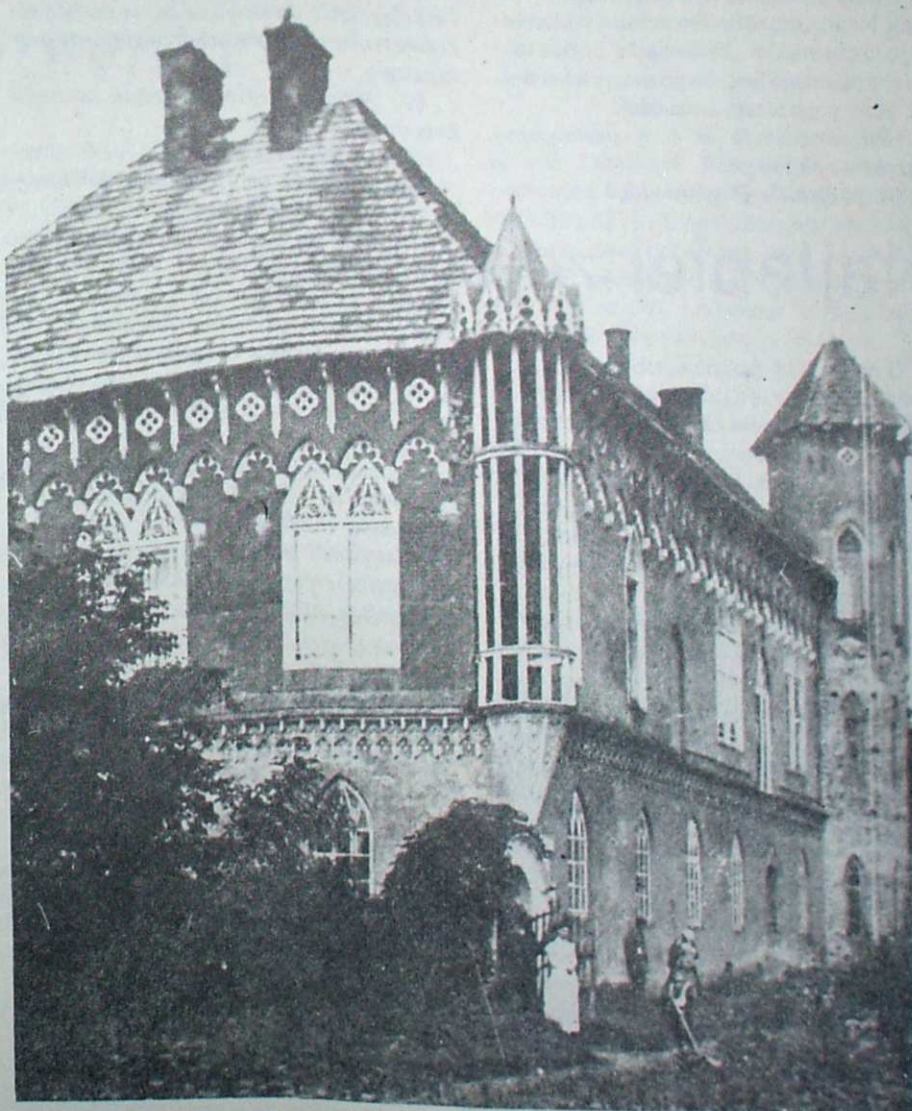
Właściciel zamku Medard-Adolf Smorczewski po likwidacji kościoła unickiego czynnie włączył się do walki o wiarę. W jego rezydencji na długie lata znalazł schronienie kapłan unicki udzielający sakramentów i odprawiający msze. W wyniku donosów Adolf Smorczewski, zagrożony zesłaniem na Sybir, kilkakrotnie opuszczał kraj. Za zasługi i pełną poświęcenia walkę o utrzymanie wiary na Chelmszczyźnie 17 maja 1892 r. papież Leon XIII nadał Medardowi-Adolfowi oraz jego dwóm synom tytuły hrabiowskie z prawem przekazywania ich męskim potomkom. Hr. Medard-Adolf zmarł cztery lata później. Starszy syn hr. Jan-Justynian Smorczewski żeniąc się z zamożną córką Dominika Rzewuskiego z Sielca, Marią, nadal kontynuował dzieło ojca, rozbudowując gospodarkę folwarczną w Żdżanem i podległych mu majątkach, natomiast młodszy Feliks przejął kupiony jeszcze przez ojca majątek ziemski Stryjów w Krasnostawskim. Zamieszkał tam w 1887 r. żeniąc się z dziedziczką pobliskiej Tarnogóry, Zofią, córką Władysława Czyżewskiego, a prawnuczką generała Józefa Czyżewskiego, zasłużonego w okresie wojen napoleońskich. Feliks wszechstronnie wykształcony po szkole, gdzie otrzymał tytuł doktora, rozpoczął studia w Krakowie. Wtedy też zaczęły się jego zainteresowania malarstwem.

Na przełomie wieków Feliks i Zofia Smorczewscy urządzają rezydencję w Stryjowie. Dobudowane zostają nowe skrzydła do starego dworu według projektu Feliksa, natomiast jego żona zaprasza znanego planistę ogrodowego Francuza Jamais, a następnie Waleriana Kronenberga do zaprojektowania najbliższego otoczenia rezydencji i dalszego krajobrazu, w oparciu o koncepcję właścicieli. Wnętrza pałacyku zapełnia Feliks meblami sprowadzonymi z Włoch oraz własnymi obrazami tak historycznymi, jak i scenami malowanymi w Stryjowie, Tarnogórze czy Mentonie, gdzie Smorczewscy spędzali kilka miesięcy w roku.

M. Kseniak



Pałacyk w Stryjowie



Pałacyk w Żdżanem

Rozmaitości kresowe

Na zapleczu planu Barbarossa

Oddziały Wehrmachtu szykowano do wojny niemiecko-radzieckiej jeszcze przed końcem 1940 r. Cele strategiczne tej wyprawy — wyznaczone na linii Astrachań, Wolga, Archangielsk — określał „Plan Barbarossa”, zatwierdzony w dyrektywie nr 21 Hitlera dla sił zbrojnych z 18 grudnia 1940 r. Od tego czasu nad wschodnią granicę hitlerowskiego imperium kierowano więcej armii i dywizji. O świcie 22 czerwca 1941 r. te milionowe hordy poderwały rozkazy do ataku przez granicę, jaką na Lubelszczyźnie był częściowo Bug. Powiaty nadbużańskie, w tym chełmski, stały się zapleczem frontu. O pewnym problemie, z jakim musiała się wkrótce uporać okupacyjna administracja tych terenów, mówi zarządzenie chełmskiego Kreishauptmanna (starosty) Hagera z 12 lipca. Na arkuszu różowego afisza, drukowanego w chełmskim „Zwierzciadło”, obok tekstu niemieckiego jest równoważny tekst polski, który przytaczam w całości:

„Rozporządzenie nr 6 o odstawieniu sprzętu wojskowego.

Na podstawie §6 pierwszego rozporządzenia

o organizacji administracji w Generalnym Gubernatorstwie z dn. 26.10.1939 r. i rozporządzenia o postępowaniu administracyjno-karnym w Generalnym Gubernatorstwie z dnia 13.9.1940 r. zarządzam co następuje:

§1. *Wszelkiego rodzaju przedmioty, jak np. broń, amunicja, sprzęty, pasza dla inwentarza, meble, części umundurowania, itd., które zostały pozostawione przez wojska niemieckie w kwaterach prywatnych, budynkach publicznych albo na polu, należy natychmiast odstawić burmistrzowi, który je pod kluczem trzymać powinien.*

§2. *Każdy, kto przedmioty należące do wojska niemieckiego posiada, albo je sobie przywłaszczy i nie odda, będzie karany grzywną do 1000,— złotych, w razie niemożności ściągnięcia aresztem, o ile na podstawie prawa wojennego nie jest przewidziana większa kara.*

§3. *Niniejsze rozporządzenie wchodzi natychmiast w życie.*

Podp. (isał) Hager.”

Dzisiaj przede wszystkim data dokumen-

tu mówi o jego związku ze zdarzeniami sprzed trzech tygodni, to jest z 22 czerwca, a widocznie czas ten nie wystarczał na bardziej dyskretne pozbieranie „przedmiotów” i przywrócenie porządku mniej otwartym i mniej kompromitującym działaniem administracyjnym. Komentarz wykraczający poza przytoczenie urzędowych słów jest w zasadzie zbyteczny. Wynikają oczywiste pytania o ilości tego różnorodnego wyposażenia i czy mógł z niego korzystać ruch oporu? Trudno jednak nie pamiętać o sile, mimo w zasadzie humorystycznego podtekstu sprawy, jaką dawały Wehrmachtowi sprzęt i amunicja nie porzucone z tej strony Bugu. Uderza też nadzwyczaj łagodna groźba, jaką była owa grzywna „do 1000,— złotych”, bo przecież normalnie za posiadanie każdej z wymienionych w zarządzeniu rzeczy groził obóz koncentracyjny lub kara śmierci. Może widać w tym paragrafie wstyd, którego nie mógł ukryć starosta Hager, za żołnierzy Fuhrera i pozostawiony przez nich nieporządek.

Andrzej Piwowarczyk

Najlepiej ze świecą

O chełmskich podziemiach napisano już wiele, ale w żadnej z publikacji nie ma takiej instrukcji poruszania się po tym kredowym labiryncie, jaką opracował i wydrukował Kazimierz Czernicki w swym ciągle interesującym i ujmującym sposobem narracji przewodniku „Chelm, przeszłość i pamiątki”, wydanym w 1936 roku. Oto stosowny fragment tego wydawnictwa:

„Aczkolwiek o podziemiach tych niektórzy mieszkańcy Chelma wiedzieli już od dawien dawna, nikomu nie przyszło na myśl bodaj pobieżne ich zbadanie. Dopiero w roku bieżącym, przy zakładaniu rur wodociągowych Zarząd Miejski, ze względów bezpieczeństwa, podjął pewne prace mające na celu zbadanie tych podziemnych ulic, bodaj w miejscach, gdzie krzyżują się one z rurami. W tym celu wykopano przy ul. Lubelskiej, pod posesją kościoła Rozesłania św. Apostołów, otwór, który można wejść do jednego z licznych chodników. Dla publiczności jednak wejście to nie jest dostępne. Stosunkowo łatwiej dostać się do jednego z największych labiryntów podziemnych przez kamienicę pp. Kupferów przy ul. Lubelskiej nr 27.

Ktoby chciał dostać się do tego podziemia, musi przede wszystkim prosić właściciela o pozwolenie przejścia przez jego

piwnicę, a następnie zaopatrzyć się w pewną, na kilka godzin obliczoną, ilość światła. Prócz laterek elektrycznych należy zaopatrzyć się w świecę, a to dla ustrzeżenia się od gazu lub braku tlenu do oddychania. Organizm ludzki nie zawsze jest zdolny w odpowiedniej chwili wyczuć niebezpieczeństwo. Natomiast gasnąca świeca jest najlepszym ostrzeżeniem. Są bowiem w tym labiryncie miejsca, gdzie nawet zapalka zapalić się nie chce.

Aby uniknąć zdenerwowania, przy bardzo łatwo mogącym się zdarzyć zablądzeniu, należy zaopatrzyć się w duży zwój szpagatu lub drutu cienkiego, którego koniec trzeba przywiązać przy wejściu i wchodząc rozwijać kłębek. Powrót jest bardzo łatwy, wystarczy bowiem związać drut, który sam zaprowadzi do wyjścia.

Kto wykopał te podziemne labirynty, w tej chwili, bez szczegółowego zbadania ich, trudno powiedzieć. Stosunkowo najłatwiejszym jest przypuszczenie, że są to chodniki powstałe przy kopaniu kredy. Ale niewykluczone jest, że były to kryjówki dla ludzi w czasach wojen, a nawet mieszkająca ludźmi przedhistorycznych, jaskiniowych”.

Prosta, oparta na sprawdzonej, śródziemnomorskiej tradycji (patrz: nić Ariadny) instrukcja Czernickiego — społecznika, pub-

licysty, wydawcy, drukarza — posiada nieestety wartość jedynie historyczną, bo gdzie dziś można kupić „zwój szpagatu lub drutu cienkiego”?!

Przy okazji przypomnijmy, że ostatnia wielka „eksploracja” podziemi odbyła się jesienią (w listopadzie?) 1966 roku, kiedy to do miasta zjechało mnóstwo ludzi zwyczajnych i uczonych, by wymienić opinie o średniowiecznym grodzie na Górcie, którego zachowane fragmenty zbadano pod okiem prof. W. Zina i dr. W. Grabskiego. Obaj krakowianie udzielili wówczas wywiadu „Kamienie” (nr 15), opublikowanego pod tytułem „Zasypany gród chełmskiej Górcy”. Tytuł okazał się zresztą proroczy, co każdy może dziś stwierdzić po wdrapaniu się na Górkę Katedralną, skrywającą wspomniane relikty. I wtedy właśnie, podczas tej konferencji, zaprowadzono tłum gości do podziemi, których fragment uporządkowano i oświetlono tak akuratnie, że bodaj tylko dwóch mężów zgubiło się w labiryncie, co nie było zresztą takie trudne, albowiem tu i ówdzie, w okazalszych pieczarach, częstowano okazajnych speleologów miodem pitnym o staropolskiej mocy. Owcześni gospodarze powiatowego Chelma nie byli rozrzutni, o nie, ale gast mieli. Ludność również nie chowała węża w kieszeni. Jak przewodniczący Prezydium

Powiatowej Rady Narodowej pojawiał się w tzw. terenie, to z reguły — zbiegiem okoliczności? — trafiał na świniobiecie, szczególnie zresztą, bo jakby urzędowe. Czas się zmieniły, w takim np. Sawinie tylko najstarsi ludzie pamiętają smak wybornej kaszanki, z której szeroko słynęła ta miejscowość, wyjątkowo często obdarzana niegdyś przywilejami przez królów polskich

— na wniosek biskupów chełmskich, posiadających tam zimową rezydencję. Kaszankę w Sawinie podawano oczywiście w czasach nowszych, ostatnio — chyba piętnaście lat temu.

MAK

Teatr w Krasnymstawie

Czy ktoś jeszcze pamięta, że już w październiku 1944 roku powstał w Krasnymstawie Zespół Teatralny im. Stanisława Wyspiańskiego? To był całkiem niezły teatr, na pewno bardzo ruchliwy, „obsługujący” aż trzy widownie: dorosłą, dziecięcą i taką, którą gromadziły jego występy w okolicznych wioskach. W repertuarze zespołu znajdowały się m.in. takie sztuki: „Dom otwarty” Baluckiego, „Gwaltu, co się dzieje” Fredry,

„R.H. Inżynier” Winawera, „Jeńcy” Rydla, „Wesele” i „Wyzwolenie” (fragmenty) Wyspiańskiego. Teatr z małego, pięciotysięcznego miasta dotarł nawet do Lublina, gdzie w 1945 roku dał adaptację „Placówki” Prusa, przygotowaną przez Stanisławę Zbyszewską-Kisielińską, która ponadto wyreżyserowała przedstawienie i dobrze spisała się w roli Jagny (prasa chwaliła też Kazimierza Pawłowskiego jako Ślimaka i Magdę Zby-

szewską jako „glupią Zośkę”). Szefową krasnostawskiej kultury była wówczas Maria Gładkowska, nauczycielka z profesji, repatriantka z Wołynia, która szczególnie sentymentem darzyła właśnie teatr, reżyserowała kilka przedstawień, własnoręcznie szyla kostiumy. Wspomnijmy, że w tym czasie funkcję zastępcy referenta kultury i sztuki w Hrubieszowie pełnił Wiktor Zin.

Niemcy na Wołyniu

Według spisu ludności z 1921 roku na Wołyniu mieszkało 24.900 Niemców, zatem niemal tyle, co Czechów (patrz „Rozmaitości” w nr. 2 „Kamień”). Najwięcej było ich w powiecie lukimskim (ponad 13 000) i kowelskim. Gospodarstwa niemieckie miały zwykle od 10 do 20 ha, czasami — znacznie

więcej (wielcy obszarnicy). Istniało 16 państwowych szkół niemieckich z 17 nauczycielami. (Dane te zaczerpnęliśmy z cytowanego już w „Kamieniu” opracowania M. Orłowicza „Ilustrowany przewodnik po Wołyniu”, które ukazało się w 1929 r. nakładem Wołyńskiego Towarzystwa Krajoznawczego i Opie-

ki nad Zabytkami Przeszłości w Lucku, z subwencji Ministerstwa Robót Publicznych. Stronę tytułową bardzo pożytecznego wydawnictwa poprzedza taka dedykacja: „Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej Profesorowi Ignacemu Mościckiemu na pamiątkę pobytu Jego na Wołyniu...”).

Porozumienie polsko-ukraińskie

10 marca br. we Lwowie zostało podpisane porozumienie o współpracy między Fundacją Kultury Polskiej w Warszawie a lwowskim oddziałem Funduszu Kultury Ukrainiejskiej. Redakcja otrzymała ów dokument znacznie później, więc dopiero teraz proponujemy Państwu lekturę kilku jego punktów, wartych chyba uwagi:

2. „Obie strony zobowiązują się do gromadzenia i opracowywania informacji o zabytkach kultury polskiej na Ukrainie i ukraińskich w Polsce. Podejmą starania o opracowanie dokumentacji tych obiektów, objęcia ich pracami konserwatorskimi, a także o publikowanie materiałów informujących o powyższych sprawach”.

3. „Kontynuując prace dokumentacyjne i konserwatorskie na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, obie strony działać będą na rzecz uznania kompleksu cmentarnego za obiekt zabytkowy, chroniony zgodnie z przepisami prawa obowiązującymi w USRR

w tej dziedzinie.

Strona ukraińska zobowiązuje się do realizowania wszelkich formalności, związanych z pracami polskich konserwatorów.

Strona polska zobowiązuje się do zorganizowania szkoleń specjalistycznych dla lwowskich konserwatorów, współpracujących z Funduszem Kultury Ukrainy. Koszty szkolenia zobowiązuje się pokryć strona ukraińska”.

5. „Obie strony dążyć będą do utworzenia przedstawicielstwa Fundacji Kultury Polskiej we Lwowie i podobnie placówki Funduszu Kultury Ukrainiejskiej w Przemysłu”.

Porozumienie podpisali: Tadeusz Polak i Emmanuel Myśko.

K.



Mauzoleum Orłowski, 1990

Kronika wschodnia

* Od 1 kwietnia br., dzięki retransmisji Litwini mają możliwość stałego oglądania telewizji Polskiej, zamiast — jak dotąd — leningradzkiej. Największą popularnością cieszą się programy dziecięce, filmy fabularne, teatr i pogadanki zoologiczne państwa Gucwińskich. Ceny telewizorów na czarnym rynku podskoczyły w tym czasie trzykrotnie.

* „Wydarzenia ostatnich miesięcy uświadomiamy nam, że za naszą wschodnią granicą radzieckie imperium zostanie prędko czy później zastąpione przez niezależne państwa utworzone przez narody Litwy, Białorusi i Ukrainy. Zwłaszcza wielki naród ukraiński musi powstać z kłęczek to nieuniknione. I nawet jeśli w jakiś sposób pozostanie on sfederowany z Rosją, to siła jego własnego oddziaływania wrośnie niepomierzenie. Ukraina będzie kiedyś po Niemczech naszym największym i najsilniejszym bezpośrednim sąsiadem. Byłoby dobrze, gdyby Polska i Polacy byli na to na czas przygotowani.” (Jerzy Harasymowicz w „Gazecie Krakowskiej” z 4 kwietnia br.)

* Na kwietniowym zebraniu oddziału wileńskiego Związku Polaków na Litwie nowym prezesem wybrany został Jerzy Surwillo — zastępca redaktora naczelnego „Kurier Wileńskiego”. Dotychczasowy prezes — mecenas Czesław Okinczycz rzekł się ponownego kandydowania. J. Surwillo kandydował również w wyborach parlamentarnych, ale nie odniósł sukcesu, głównie z braku poparcia ze strony Sajudisu.

* 19 kwietnia w Międzynarodowym Dniu Ochrony Zabytków wręczone zostały w Warszawie na Zamku nagrody za prace naukowe oraz popularyzatorskie w zakresie muzealnictwa i ochrony zabytków. Minister Izabella Cywińska wręczyła nagrodę główną Romanowi Aftanazemu, emertowanemu pracownikowi Ossolineum za 11-tomową pracę „Materiały do dziejów rezydencji”, w której opisał dzieje polskich dworów, pałaców i zamków na Wschodnich Kresach Rzeczypospolitej. Każdy tom składa się z dwóch woluminów: jeden zawiera tekst, drugi fotografie. Autor uwiecznił około tysiąca rezydencji i ich zbiorów. Po latach zostało ich jedynie kilkadziesiąt, często w różnym stanie, ze zmienionym wystrojem i funkcją społeczną.

* Wydarzeniem Białej Podlaskiej stała się otwarta 20 kwietnia w Galerii Sztuki Współczesnej BWA wystawa malarstwa Ja-

cka Spisackiego. Zaprezentowano w niej kompozycję przestrzenną „Calun katyński” — symboliczną konstrukcję dużej czaszki przebitej pięcioramienną gwiazdą. Towarzyszył jej malarski tryptyk o męce Polaków na Wschodzie. 30 kwietnia ekspozycję przeniesiono do kaplicy przy ul. Słonecznej.

* W dniach 20—21 kwietnia trwał w Chełmie finał VII Ogólnopolskich Spotkań Kabaretów Wiejskich. Jury pod przewodnictwem aktorki krakowskiej Iwony Omąkowskiej przyznało I nagrodę (2 mln zł) kabaretowi „Czwórka Turka” z Krynicy. II nagrodę (1 mln zł) uzyskał kabaret „Kociuba” z Sykowa.

* Od 23 kwietnia do 12 maja trwały „Dni Instytutu Wydawniczego PAX” w województwie chełmskim. Wypełniły je wystawy dorobku edytorskiego, spotkanie z kierownictwem wydawnictwa i kiermasze książek.

* Pejzaże Adama Bąka, jedyne na Zamojszczyźnie artysty fotografika, pokazano w kwietniu w zamojskim ratuszu. Była to ekspozycja na wysokim poziomie artystycznym.

* 28 kwietnia w kościele pod wezwaniem Św. Krzyża w Zamościu odbył się I diecezjalny festiwal piosenki religijnej, w którym wzięło udział 18 zespołów z woj. lubelskiego i zamojskiego. Jury festiwalu pod kierunkiem ks. dr. Edwarda Pudółko z KUL przyznało 8 wyróżnień, m.in. grupom z Krasnobrodu, Kocudzy i Hrubieszowa.

* Z powodu braku pieniędzy nie odbył się kolejny Ogólnopolski Konkurs Gitary Klasycznej dla szkół muzycznych, ani XI Zamojskie Dni Muzyki.

* Od 2 maja do 10 czerwca czynna była w sali muzeum hrubieszowskiego wystawa prac prof. dr. Wiktora Zina pt. „Szkiecy konferencyjne”. Wystawa składała się z 3 tematów akademickich obejmujących 124 szkice z autografami.

* Uniwersytet Kultury Polskiej w Kijowie swoje majowe spotkanie poświęcił pamięci Anny German. Placówkę prowadził Klub Polski przy tamtejszym Domu Nauczyciela.

* 12 maja w kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie odbyła się ceremonia pochowania prochów Hanka Ordonówny.

Po 40 latach, znana piosenkarka i patriotka powróciła do stolicy „na wieczny odpoczynek”. Jako 16-letnia dziewczyna występowała w teatrach Lublina i Lwowa. Będąc żoną hrabiego Michała Tyszkiewicza przez kilka lat mieszkała w Ormianach, na Wileńszczyźnie. Losy wojenne rzuciły ją w głąb Rosji, a później wraz z armią Andersa na Bliski Wschód i do Indii. Hanka Ordonówna zmarła w 1950 roku w Bejrucie.

* Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL zorganizował w dniach 14—16 maja sympozjum pod hasłem „Polacy w Kościele Katolickim w ZSRR”. Wygłoszono dziesięć referatów, m.in. w „Życiu religijnym obywateli polskich w głębi ZSRR w latach 1939—1957” (S. Siemaszko, Londyn). Gośćmi sympozjum byli przedstawiciele republik zachodnich i nadbałtyckich ZSRR.

* Dwa obrazy Donata Kowalskiego ze Szczeczeszyna uznano za dzieła roku w konkursie plastycznym ogłoszonym przez Galerię Sztuki Współczesnej w Zamościu. Ocenie poddano 39 prac 13 autorów z woj. zamojskiego.

* Dwa nowe tytuły prasowe pojawiły się na chełmskim rynku czytelnicy: dwutygodnik „Słowo Chełma” (wydaje Komitet Obywatelski) i kwartalnik „Kresy Literackie” (wydaje Miejski Ośrodek Kultury). Oba czasopisma kolportowane są przez „Ruch”.

* Do włodawskiej bożnicy powróciły judaika. Miejscowe muzeum zakupiło w Desie i od osób prywatnych wiele pamiątek obrazujących przeszłość i kulturę Żydów w Polsce. Ekspozycję uzupełniają bezcenne trzynastowieczne witraże, które w XIX w. jeden z Zamojskich przywiózł z Francji do swej przypałacowej kaplicy w Adampolu.

* Po raz pierwszy od 50 lat pojawił się litewski walor filtelistyczny. Jest nim koperta z wydrukowanym znaczkiem opłaty, herbem Pogoni i napisami w języku litewskim. Nadruk nominalu jest jeszcze w kopiejkach.

* Muzeum Złotnictwa w Kazimierzu Dolnym istnieje 12 lat. Jego utworzenie zapoczątkowała inicjatywa kolekcjonera Jędrzeja Jaworskiego, który w latach siedemdziesiątych prowadził przedstawicielstwo dużej amerykańskiej firmy w Warszawie. Muzeum zaczęło od stanu ponad 500 zabytków z

srebra. W ciągu ostatnich lat udało się powiększyć kolekcję o 300 eksponatów. Szczególnie cenne są zbiory sztuki sakralnej, zestaw precjozów żydowskich i wiele wyrobów użytkowych.

* „Do takiej sali i do takiej publiczności — to choćby pieszko i nawet za darmo” — powiedziała Bogna Sokorska do owacyjnie żegnającej ją publiczności po koncercie w sali muzeum przy ul. Kasprzaka w Chelmie 23 maja br. Zaś 5 czerwca wystąpiła tu kolejna muzyczna gwiazda sławy światowej, Halina Czerny-Stefańska. Jej recital fortepianowy też był wydarzeniem artystycznym.

* 7 czerwca Rada Miejska w Chelmie wybrała nowego prezydenta. Został nim Jerzy Frydlewicz, prawnik, lat 30. Przewodniczącym rady miejskiej został Zygmunt Gardziński, etnograf, lat 32. W wyborach do samorządu obaj kandydowali z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

* 8 czerwca redaktorzy „Kamenu” oraz dwóch prywatnych fundatorów spisał akt notarialny „Fundacji Kamena”, która gromadzić będzie fundusze m.in. na wspieranie działalności kulturalnej i organizacyjnej naszego kwartalnika.

* W dniach 8—10 czerwca odbywała się w Białej Podlaskiej biesiada literacka pod hasłem „Pogranicze 90”. Gospodarzem imprezy był klub literacki „Maksyma”. Uczestniczyli w niej także przedstawiciele klubów literackich z Chelma, Zamościa i Lublina. Gościem biesiady był Władimir Kazbieruk z Mińska na Białorusi. Przedstawił on historię polsko-białoruskich związków literackich oraz zarys współczesnej poezji białoruskiej. W trakcie dyskusji podjęto decyzję o podjęciu prac organizacyjnych w celu utworzenia ugrupowania literackiego „Pogranicze”, które skupiać będzie autorów związanych z kulturą literacką ziem wschodnich Rzeczypospolitej.

* Synagoga w Tarnogradzie odzyskała dawną świetność architektoniczną. Po gruntownej renowacji wprowadziła się do niej biblioteka i regionalna izba pamięci.

* W połowie czerwca ogłoszono komunikat KGB, że groby 3894 polskich oficerów z obozu w Starobielsku, zamordowanych przez NKWD wiosną 1940 roku, znajdują się na Ukrainie, w lesie położonym około 10 km od Charkowa.

* 16 czerwca br. w Grodnie odbył się założycielski Zjazd Związku Polaków Białorusi. Nowa organizacja społeczno-polityczna połączyła utworzone wcześniej w różnych regionach republiki polskie towarzystwa kulturalno-oświatowe i stawia sobie za

cel rozwój aktywności społecznej Polaków, zaspokajanie ich potrzeb duchowych, krzewienie kultury, pomoc wszystkim chętnym w poznawaniu języka, historii i tradycji narodu polskiego.

* Musicalem „Lwów semper fidelis” Andrzeja Rozhina z Teatru im. J. Osterwy w Lublinie rozpoczęło się 16 czerwca Zamojskie Lato Teatralne. Oprócz spektakli plenerowych przed ratuszem, zorganizowano kilkanaście prezentacji w Zwierzyńcu, Krasnobrodzie, Szczepieszynie, Hrubieszowie, Bilgoraju i Tarnogradzie. Do 15 lipca Zamość gościł 8 zespołów teatralnych, m.in. z Gdańska, Warszawy, Krakowa i Łucka.

* W obwodzie iwanofrankowskim (dawny Stanisławów) powstało Towarzystwo „Huculszczyzna”. Celem jego działalności mają być starania o zachowanie i propagowanie oryginalnej kultury huculskiej i huculskiego dialektu. Towarzystwo ma zamiar organizować festiwale i konkursy sztuki huculskiej, jak też nawiązać kontakty z Huculami spoza obwodu. Wsie huculskie rozrzucone są w Beskidach Wschodnich w górnych dorzeczach Czarnej Bystrzycy, Prutu oraz Białego i Czarnego Czeremoszu.

* 19 czerwca nowa Rada Miejska zamościa wybrała prezydenta miasta. Został nim Marcin Zamojski, syn ostatniego żyjącego ordynata Jana Zamojskiego. Prezydent ma 43 lata, studiował historię na KUL w Lublinie i Uniwersytecie Warszawskim. Przed objęciem nowej funkcji pracował jako dziennikarz agencji „Interpress” w Warszawie.

* Dwie interesujące wystawy przygotowała chelmska „Galeria 72”. W maju 40 autorów z kraju i 15 z zagranicy prezentowało swoje prace na wystawie malarstwa, rzeźby i aranżacji przestrzennych w holdzie Henrykowi Stażewskiemu. Zaś od 20 czerwca do 17 lipca eksponowane były tu prace Janusza Przybylskiego z Warszawy (zob. „Okolice sztuki”).

* Na wszystkich przejściach granicznych między Polską a ZSRR, przez kilka ostatnich miesięcy tworzyły się kilometrowe kolejki autokarów i pojazdów osobowych. Czas oczekiwania na odprawę celną po stronie radzieckiej wynosił nawet 3 doby. Na przejściu Medyka — Shiginia dochodziło do blokady przejazdu przez strajkujących kierowców. Groźono staraniem barier i zamiarem „wzięcia przejścia siłą”.

* Zamojskie BWA prezentowało w czerwcu wystawę rzeźb i rysunku Barbary Zbrożyny, laureatki wielu nagród i wyróżnień, w tym także nagrody im. Brata Alberta (1986) i nagrody „Solidarności” (1988).

* Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyślu oraz parafia rzymsko-katolicka w Krasiczynie zorganizowały w dniach 30 czerwca — 15 lipca „oazę muzyki kościelnej” dla dzieci i młodzieży z chóru polskiego w Mościskach (obecnie ZSRR). Na adres organizatorów przysłano wiele literatury religijnej, muzycznej, historycznej i beletrystycznej, którą przekazano gościom z Mościsk.

* Pan Eugeniusz Kuryllo (obecnie mieszkaniec Piwnicznej) wszczął poszukiwania 30 wybitnych dzieł autorów szkły flamandzkiej, włoskiej i niemieckiej, m.in. „Świętego Krzysztofa” Rubensa, które we wrześniu 1939 roku zdeponowane zostały w zamku Radziwiłłów w Olyce. Od tego czasu los ich jest nieznany. Po wojnie rodzina Kuryllów wielokrotnie zwracała się do Ministerstwa Kultury i Sztuki w sprawie zaginionych dzieł, jednak odpowiedzi były wymijające. Prawdopodobnie obrazy te znajdują się w zbiorach radzieckich.

* Z wakacyjnego wypoczynku w Polsce korzystały białoruskie dzieci ze stref najbardziej dotkniętych radioaktywnym skażeniem po wybuchu w Czarnobylu. Akcję koordynowała Swietlana Sawrasowa — dziennikarka z Mińska, prowadząca społeczny komitet „Dzieci Czarnobyla”. Ponad 1900 polskich rodzin przyjęło około 200 białoruskich dzieci.

* We wrześniu br. trafił do polskich szkół w ZSRR nowy elementarz przygotowany w Lublinie, dzięki Fundacji Pomocy Szkołom Polskim w ZSRR. Podręcznik pt. „Poznajmy się” składa się z książki oraz dwóch zeszytów do ćwiczeń. Nauczyciele otrzymają dodatkowo wydrukowany przewodnik metodyczny. Łączny nakład elementarza wynosi 40 tys. egz., większość zostanie skierowana na Białoruś, Ukrainę i do Kazachstanu. Autorką całości jest dr Helena Materowa z UMCS. Stronę graficzną elementarza opracowała Blanka Olszewska.

(hr).

Regionalny słownik biograficzny

WAWRZYNIEC BEREZECKI

Wawrzyniec Berezcki (1896—1989), publicysta i pisarz, urodził się w Chelmie w rodzinie bednarza posiadającego na Trubakowie nieduże gospodarstwo rolne. Po ukończeniu szkoły elementarnej wstąpił do miejscowego gimnazjum rosyjskiego. Wówczas zaprzyjaźnił się z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, z którym później utrzymywał stały kontakt. W lipcu 1915 r. przy zbliżaniu się do Chelma frontu, wyjechał w głąb Rosji i osiadł w Moskwie, gdzie ukończył naukę w szkole średniej. W czasie rewolucji pracował jako robotnik fabryczny na terenie Moskwy, a następnie w Bataumi. Jednocześnie parał się tam pisanem wierszy, które były drukowane w prasie codziennej. Zdolności literackie ujawniły się u niego już we wczesnej młodości. Początkowo pisał w zasadzie tylko w języku rosyjskim. Pierwszy wiersz noszący tytuł „Letnie wieczory” napisał mając zaledwie lat piętnaście.

Z wygnania powrócił do rodzinnego Chelma w lipcu 1918 r. i osiadł na gospodarstwie rodziców. Utrzymywał się przede wszystkim z udzielania korepetycji. W latach 1920—21 pełnił służbę wojskową w Warszawie i Poznaniu. Po powrocie z wojska przez krótki okres czasu prowadził odziedziczone

po rodzicach gospodarstwo, ale jego niespokojny duch nie pozwolił mu pozostawać na miejscu, wrodzona natura waga-bundy kazala mu wyruszyć w Polskę. Wędrował przez Kraków, Kobryń, Kowel, by zatrzymać się wreszcie w Równem. Imal się różnych zajęć nie zapominając jednak o pisarstwie. W Równem był redaktorem odpowiedzialnym gazety „Echo Rówieńskie” (1927). W następnym roku znowu znalazł się w swoim Chelmie. Tutaj związał się współpracą ze „Zwierciadłem” wydawanym przez Kazimierza Czernickiego, prowadząc dział wydarzeń i pisując humoreski. W 1929 r. był redaktorem naczelnym tego pisma, by później na krótko zająć się wydawaniem czasopisma „Ziemia Chelmska”. W latach 1933—1937 pełnił z przerwami funkcję sekretarza redakcji pisma „Kronika Nadbużańska”.

W. Berezcki wiele swych utworów literackich publikował w takich pismach, jak: „Mucha”, „Robotnik”, „Zwierciadło”, „Ziemia Chelmska”, „Kronika Nadbużańska”. Były to liryki, felietony, wiersze, opowiadania, wspomnienia i humoreski.

W latach okupacji pracował na własnym gospodarstwie rolnym, początkowo na Tru-

bakowie, a później w Żółtańcach. Nie przerwano tego zajęcia i po wyzwoleniu. Wiele trudu poświęcał hodowli kwiatów, czynił to jednak raczej amatorsko, z zamiłowania do piękna, a nie dla zysku. Wiele też pisał, duszoflady, dla siebie, z potrzeby serca. Zawsze cierpiał niedostatek materialny, żeby nie powiedzieć biedę. W swym długim życiu w przeszłości często zresztą doświadczał doli bezrobotnego.

Mając za sobą 85 lat życia, w 1981 r. zlikwidował gospodarstwo i osiadł w Młodutynie, gdzie urząd gminy przydzielił mu mieszkanie w budynku starej szkoły. Utrzymywał się z zasiłku społecznego i korzystał też z pomocy przyjaciół. Opiekował się nim stale miejscowy poeta ludowy Władysław Kuchta. Ostatnie lata swego życia spędził w Różance jako pensjonariusz domu rencisty. Zmarł 30 marca 1989 r. w wieku lat 93 i pochowany został w Chelmie.

Pozostawił po sobie znaczny dorobek literacki tworzony w języku polskim i rosyjskim, a zawarty w kilkunastu tomach rękopisów. Oczekuje on na badacza i wydawcę.

STANISŁAW LEOPOLD BRZOWOWSKI

Stanisław Leopold Brzozowski, ps. Adam Czepiel (1878—1911), filozof, krytyk literacki, powieściopisarz i publicysta, urodził się 28 czerwca w folwarku Maziarnia (gm. Żmudź). Rodzicami jego byli Feliks i Wanda z Borowskich. Ojciec trzymał dzierżawę u Polityłów i zarządzał ich majątkiem Wojsławice. Stanisław uczęszczał do gimnazjum w Lublinie, a następnie w Niemirówie na Podolu, gdzie też w 1896 r. uzyskał maturę, poczem podjął studia na Uniwersytecie Warszawskim. Po roku został relegowany z uczelni za wystąpienie antyrosyjskie. W końcu 1898 r. aresztowano go pod zarzutem przynależności do tajnego Towarzystwa Oświaty Ludowej. Po wyjściu z więzienia utrzymywał się z pisania artykułów popularno-naukowych. W latach 1899—1902 przebywał w Otwocku na leczeniu gruźlicy, na którą zapadł w więzieniu. Tutaj poznał Antoninę Kolberg, bratanicę sławnego etnografa i w 1900 r. zawarł z nią związek małżeński. Po powrocie do Warszawy nadal zajmował się publicystyką, a oprócz tego pisał powieści i dramaty. W 1903 r. na lamach „Głosu” podjął głośną kampanię przeciwko H. Sienkiewiczowi zarzucając mu wsteczność i gloryfikowanie szlachectwu, czym śmiertelnie naraził się Narodowej Demokracji. W tym samym roku zmuszony jest powrócić do Otwocka na leczenie i tam przebywał przez dwanaście miesięcy. Cały ten czas bez przerwy inten-

sywnie pracował, pisał, wygłaszał odczyty, studiował filozofię, poznawał obce języki, pochłaniał wprost lekturę ogromnej ilości książek. Był zdecydowanym stronnikiem ruchu lewicowego, jednakże nie należał do żadnej partii.

W 1905 r. wyjechał na leczenie do Zakopanego, a stamtąd przeniósł się do Krakowa, by z kolei przenieść się do Lwowa. Wobec jednak wciąż pogarszającego się stanu zdrowia zmuszony był wyjechać do Włoch, gdzie przebywał początkowo w Narwi, a następnie osiedlił się na stałe w Lozannie. Parokrotnie wyjeżdżał stamtąd na odczyty do Szwajcarii i Niemiec; przez pewien czas prowadził też na Politechnice Lwowskiej wykłady na temat swojej filozofii pracy i swobody oraz o świadomości polskiej XIX w. glosił zawsze pochwałę pracy ludzkiej i sam był wyrazem upartego, niespożytego trudu.

Śmiertelnie zapracowanego, gnębionego przez chorobę człowieka, dobilo rzucone przez przeciwników politycznych oskarżenie o współpracę z carską policją. W obronie Brzozowskiego stanęły takie autorytety moralne, jak: Stefan Żeromski, Wacław Nalkowski, K. Irzykowski, O. Ortwin. Sprawę badał sąd międzypartyjny w Krakowie lecz do ostatecznego wyjaśnienia zarzutu nie doszło.

W końcu 1909 r. ukazało się dzieło życia Brzozowskiego — „Legenda Młodej Polski”, w którym krytykuje on bezkompromiso-

wo wady narodowe i słabości polskiej kultury XIX wieku. Spośród utworów literackich największy rozgłos uzyskała jego powieść pt.: „Plomienie”, ukazująca idee rosyjskich rewolucjonistów stawiających wartości ogólnoludzkie ponad cele narodowe.

W ciągu zaledwie dziewięciu lat swej twórczej działalności, ten tytan pracy napisał dwadzieścia książek i ponad dwieście opracowań i artykułów. Wypowiadał się w nich jako zdecydowany lewicowiec, jednakże teorie socjalistyczne pojmował na swój sposób i stąd nazywany był heretykiem polskiego socjalizmu. Zasłynął jako niezrównany mówca, porywający swych słuchaczy, stał się idolem radykalnej młodzieży galicyjskiej. Człowiek niezwykle utalentowany, o ogromnie chłonnym umyśle, posiadający szeroki zasób wiedzy, władający przy tym pięcioma obcymi językami. Styl jego wypowiedzi znamionuje jedność języka, ogromny ładunek emocji i nadzwyczajna siła przekonywania. Uważany jest za jednego z najwybitniejszych polskich krytyków literackich. Pod koniec życia, ten zdecydowany ateista, nawrócił się na katolicyzm.

Stanisław Brzozowski zmarł dnia 30 kwietnia 1911 r. we Florencji, mając zaledwie lat trzydzieści trzy. Zabiła go gruźlica kości i płuc, zaszczerli przeciwnicy ideowi.

Konstanty Prożogo

Wydawnictwo Lubelskie proponuje

Julian Aleksandrowicz Ewa Stawowy
TYLE WART CZŁOWIEK...

Wyd. 1, ark. wyd. 20, nakład 20 tys. egz.
Seria: „Wspomnienia ludzi nauki”

Wspomnienia i rozmowy profesora medycyny, hematologa i ekologa, absolwenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, przed drugą wojną światową prowadzącego prace badawcze nad sposobami konserwacji krwi, od 1951 r. profesora Akademii Medycznej w Krakowie, kierownika III Kliniki Chorób Wewnętrznych, później Kliniki Hematologicznej, członka wielu towarzystw naukowych w kraju i za granicą, laureata nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego w roku 1978 za badania nad rolą mikroelementów i mykotoksyn w patogenezie białaczek i nowotworów, autora takich prac i książek, jak: *Choroby krwi i narządów krwiotwórczych, Kartki z dziennika doktora Twardego, Wiedza stwarza nadzieję, Sumienie ekologiczne, Nie ma nieuleczalnie chorych, U progu medycyny jutro* (wspólnie z Harrym Dudą) i innych.

Współautorka książki, dr Ewa Stawowy, pisze we wstępie: „... w kwietniu 1987 roku [...] zaczęły się nasze rozmowy. O intuicji, wyobraźni, emocjach, ich roli w procesie twórczym, w praktyce życia codziennego, w zawodzie lekarza, nauczyciela. Profesor gwałtownie poszukiwał formuły dla nazwania swej, jakże rozległej i intensywnej działalności. Opowiadał mi o swym życiu, pracach, ludziach, których spotkał i którzy wywarli wpływ na jego myślenie i działalność, o swoim odczuwaniu świata. Nasze rozmowy nagrywałam na taśmę magnetofonową — i tak powstał materiał do tej książki. Opowieść osobista, przekazywana życzliwej, ale krytycznej słuchaczce...”

Profesor Julian Aleksandrowicz zmarł 18 października 1988 r. „Nie ma w książce o umieraniu przez długie tygodnie — pisze Ewa Stawowy. — W książce są tylko słowa. Zapis przeżyć i myśli” i jest epilog, ostatnia wola Profesora, spisana 5 października 1988 r., dotycząca sprawy pogrzebu: „... Proszę, by zamiast kwiatów przekazać datki na krakowski oddział Towarzystwa Chorych na Stwardnienie Rozsiane. Julian Aleksandrowicz”.

Zbigniew Czernicki

W ODDZIAŁACH „PODKOWY” I „CIĄGA”. WSPOMNIENIA PARTYZANTA Z ZAMOJSZCZYZNY

Wyd. 1, ark. wyd. 16, nakład 10 tys. egz.

Wspomnienia z lat okupacji hitlerowskiej na Zamojszczyźnie spisane przez żołnierza Armii Krajowej, uczestniczącego w wielu akcjach partyzanckich, m.in. na Urząd Gminy w Sulowie, uwolnieniu więźniów w Bilgoraju, w akcjach zaopatrzeniowych i rekwizycyjnych na majątki będące pod zarządem niemieckim, w akcjach odwetowych na wsie zasiedlone przez kolonistów niemieckich, w walkach z bandami, w likwidowaniu konfidentów, esesmanów i innych.

Zbigniew Czernicki (1921—1988), związany z miejscowością Zwierzyniec na Roztoczu, pochodził z rodziny, która za swój patriotyzm zapłaciła wysoką cenę. Jego ojciec, Jan Czernicki — „Dolega”, zginął w 1942 roku w Oświęcimiu wraz z innymi członkami oddziałów szturmowych, zdradzonymi przez ich dowódcę — „Wismana”. Autor walczył w latach 1943—1945 w oddziałach partyzanckich Tadeusza Kuncewicza — „Podkowy” i Józefa Śmiecha — „Ciąga”. Książka ta jest pełna szczerości i prostoty wypowiedzi. Jej wartość dokumentalną podnosi bogaty materiał ilustracyjny.

Nahapet Kuczak

JABŁUSZKA I KARMEŁKI OTO SĄ DARY KOCHANKÓW

Tłum. *Antoni Jakubowicz*

Ilustr. *Tomasz Zawadzki*

Wyd. 1, ark. wyd. 8, nakład 20 tys. egz.

Jest to zbiór 101 hajrenów — pieśni pochodzących prawdopodobnie z XVI w., przypisywanych ormiańskiemu poecie Nahapetowi Kuczakowi. „Hajreny — czytamy we wstępie — to utwory składające się w zasadzie z czterech wersów piętnastozgłoskowych, najczęściej ośmiowiersze. Jest to poezja miłosna, pisana językiem prostym, żarliwa, świeża i spontaniczna. Dla polskiego ucha pobrzmiwa wschodnią egzotyką i wzrusza oryginalnością zaklęć miłosnych...” Tłumaczenie niniejsze oparto na wydany w 1976 r. przez L. Mkrctzjana zbiorze „101 hajrenów” w języku ormiańskim wraz z przekładami lingwistycznymi i poetyckimi w języku rosyjskim.

Piękna i staranna oprawa graficzna Tomasza Zawadzkiego (bogata ornamentyka wschodnia) jest doskonałym uzupełnieniem tej urokliwej książeczki.

Andrzej P. Przemyski

OSTATNI KOMENDANT

GENERAL LEOPOLD OKULICKI

Wyd. 1, ark. wyd. 16, nakład 20 tys. egz.

Książka poświęcona postaci generała Leopolda Okulickiego ps. „Niedźwiadek”, żołnierza Legionów Polskich podczas I wojny światowej, uczestnika obrony Warszawy w 1939 r., członka Służby Zwycięstwu Polski, dowódcy 7 Dywizji Piechoty, uczestnika Powstania Warszawskiego i ostatniego głównego komendanta Armii Krajowej, straconego wyrokiem NKWD w tzw. procesie szesnastu w moskiewskim więzieniu na Łubiance prawdopodobnie 24 grudnia 1946 roku.

Jest to jedna z pierwszych, obok biogramów Jerzego J. Tereja i Andrzeja K. Kunerta oraz prac Józefa Garlińskiego, Jerzego Krzyżanowskiego i Janusza Kurtyki, obszerna biografia Generała Okulickiego wypełniająca dotkliwą białą plamę w polskiej historiografii najnowszej.

Ostatnia część książki, oceniająca stosunek władz radzieckich do polskiego podziemia, tzw. proces szesnastu, naświetlany dotychczas jednostronnie, jak i okoliczności śmierci Generała, przynosi wiele nowych ustaleń, jak i refleksji.

Podsumowując swoje ustalenia, oparte na najnowszych badaniach i materiałach, Andrzej Przemyski tak pisze o Generale Okulickim: „Ostatnio coraz częściej zajmuje on należne mu miejsce w historii Polski, z tym, że próbuje się przypisywać mu cechy, których chyba nigdy nie posiadał. Próbuje się na przykład łączyć jego decyzje skoku do okupowanej Polski wstrząsem, jakiego doznał na wieść o zbrodni katyńskiej, przedstawia się decyzję ową niemal jako akt bohaterstwa — a było to po prostu wykonanie żołnierskiego obowiązku, odpowiedź na prośbę gen. Sosnkowskiego, której Okulicki zarówno jako oficer, jak i jako były legionista nie mógł odmówić.”

General Okulicki nie był politykiem, był on typowym polskim zawodowym oficerem, ze wszystkimi zaletami i wadami. Nie stronił od kobiet i alkoholu, nie miał ambicji zrobienia kariery politycznej, ani przed wojną, ani w jej trakcie. Zmuszony na procesie moskiewskim do wygłoszenia mowy obrończej przeciw oskarżeniom wysuniętym przeciw Armii Krajowej i Narodowi Polskiemu, zdolał uczynić to z godnością, której pozazdrościć by mu mogli zawodowi politycy. Brał na siebie wszystkie rzeczywiste i urojone winy, które zarzucano podległym mu żołnierzom Armii Krajowej”.



TADEUSZ ŻOŁĘDZIEWSKI, *Brama Uściliguska w Chełmie*